

Artur Górski

Zdrada Kopernika


INSTYTUT
WYDAWNICZY 25

WSTĘP

Czy Mikołaj Kopernik był kiedykolwiek w Gdańsku? Naturalnie, przecież duża część jego rodziny, na czele z matką, Barbarą Watzen-rodę, pochodziła z tego miasta. Także Anna Schilling, domniemana kochanka (przyjaciółka, muza, towarzysza życia?) wielkiego astronoma urodziła się nad Motławą. Wątpliwości badaczy budzi jednak to, czy Kopernik pojawiał się w cieniu Bazyliki Mariackiej po 1539 roku, a więc po wyjeździe swej ukochanej z Fromborka. Spór w tej materii będzie trwał jeszcze długo i na pewno nie zakończy go publikacja niniejszej książki sensacyjnej. Tym bardziej że powieść ta (dziejąca się jak najbardziej współcześnie, czyli w lipcu 2009 roku) bardzo luźno odnosi się do kłopotów Anny i jej Mistrza, które dla niżej podpisanego stały się jedynie inspiracją. A może raczej pretekstem literackim.

Wszystko zaczęło się od śledztwa, jakie miesięcznik „Focus Historia”, piórem autora tej

książki, przeprowadził w sprawie Anny Schilling. Otóż niedawno w jednej z kamienic przy ulicy Mariackiej, gdzie obecnie znajduje się hotel Kamienica Gotyk, odnaleziono fragmenty XVI-wiecznej skrzyni z zachowanym napisem: „Anna Schill... 1539”.

To, że piękna Anna zamieszkała wówczas w Gdańsku, nie budzi niczyjej wątpliwości. Czy spotykała się wówczas potajemnie ze swym ukochanym? A czemu nie? Przecież mógł przyjechać nad Motławę w związku z wydaniem (1540 r.) dzieła Joachima Retyka „Narratio prima”, w którym po raz pierwszy zostały ujawnione kopernikańskie teorie heliocentryczne. A po wizycie w drukarni mógł popędzić na Mariacką.

Tak samo nie można wykluczyć, że owo „Narratio prima” szczególnie najstarsze jego wydanie jest obiektem westchnień mafiosów zajmujących się kradzieżą starych cennych ksiąg. Skoro łupem międzynarodowej szajki stało się najstarsze wydanie „De revolutionibus orbium coelestium” Kopernika, wyniesione z krakowskiej biblioteki Polskiej Akademii Nauk przez polskiego naukowca (takich kradzieży było zresztą więcej), to chyba można założyć, że i dzieło Retyka stanowi łakomy kąsek.

Powieść ta łączy tajemnicę Anny Schilling i ponure sekrety gangsterów. Jednym z nich jest

„fioletowy człowiek”, który wystąpił w moich poprzednich powieściach: „Gucci Boys”, „Łowca ciał” czy „Magia Sacro Arsenale”. Niestety, choć to wyjątkowa kanalia, darzę go sympatią i tylko dlatego wciąż pozwalam mu egzystować w moich książkach. Wprawdzie w powieści „Magia Sacro Arsenale” Parezzio dostał kulę w pierś i można było odnieść wrażenie, że rozstał się z tym światem, ale... przecież nikt nie przedstawił aktu zgonu. A skoro nie przedstawił, pragnę zapewnić, że był jedynie ciężko ranny i pozostaje wśród żywych. Na razie.

Wszyscy inni bohaterowie „Zdrady Kopernika” debiutują jako postacie literatury popularnej.

Przy okazji chciałbym serdecznie podziękować tym, bez których pomocy droga do słowa „koniec” byłaby o wiele trudniejsza. Jednym z nich jest wybitny znawca Gdańska, profesor Andrzej Januszajtis, który udzielił mi wielu cennych wskazówek dotyczących i samej Anny Schilling, i życia w jej mieście 500 lat temu. Na marginesie, bardzo przepraszam Profesora, inicjatora odbudowy Zegara Astronomicznego w Bazylice Mariackiej, że moi gangsterzy nieco uszkodzili owo cudo średniowiecznej techniki.

Za liczne komentarze do kwestii Anny i Mikołaja dziękuję Jackowi Repcheckowi z wydawnic-

twą Norton Publishing Co., autorowi bestsellera „Sekret Kopernika”, z którym prowadzimy korespondencję po dziś dzień. Żeby było jasne, Rep-check nie ma wątpliwości, że Kopernik pozostawał w intymnym związku z panią Schilling.

Za życzliwe zainteresowanie moją powieścią wdzięczny jestem szwedzkiemu pisarzowi, wybitnemu znawcy czasów Kopernika, Kurtowi Olssonowi. To on podsunął mi pewien trop, który pojawił się w „Zdradzie Kopernika”, a który rozwinę szerzej w kolejnej książce. Dotyczy pewnego wybitnego naukowca z XVII wieku, który rozstał się z tym światem w dość niejasnych okolicznościach. Pisarze sensacyjni bardzo lubią takie okoliczności, szczególnie jeśli są udziałem innych.

Dziękuję także Agnieszce Ucińskiej z „Focusa Historia”, która wyświadczyła mi niezwykle ważną przysługę w zakresie języka łacińskiego, oraz Jankowi Stradowskiemu z „Focusa” za doradztwo w zakresie medycyny stosowanej w... złej sprawie.

Autor

PROLOG

Denat leżał twarzą do ziemi.

Policję zawiadomił przechodzień, który zobaczył mężczyznę osuwającego się po ścianie majestatycznej Bazyliki Mariackiej na chodnik i słyszał wyraźnie oddalające się kroki. Wydawało mu się nawet, że w świetle latarni oświetlającej wejście do gotyckiej kamienicy pod trzema świńskimi łbami, dostrzegł znikającą pośpiesznie postać. Ale nie był tego pewien.

Potem wokół głowy zabitego pojawiła się kałuża krwi.

Opowiedział to wszystko przez telefon, a zapytany o nazwisko, natychmiast odłożył słuchawkę.

Jeden z policjantów, którzy przyjechali na miejsce zbrodni, lekko uniósł głowę zabitego.

- Trafili go w samo oko, chirurgiczna precyzja... - powiedział do kolegi, który wolał nie zbliżać się do zakrwawionego ciała. W wydziale kryminalnym pracował od niedawna i takie sceny

wciąż budziły w nim coś w rodzaju lęku pomieszanego z obrzydzeniem.

- Dlaczego od razu chirurgiczna? Być może strzał padł z bardzo bliskiej odległości... - odparł, przyglądając się ulicznym gapiom.

- W takie cuda to ja nie wierzę - powiedział pierwszy. - Kto daje sobie wsadzić lufę do oka?

- Czasami nie ma się wyboru.

Policjant, który uniósł głowę ofiary, teraz położył ją delikatnie na chodniku. — Kto wie, różnie bywa - szepnął ni to do siebie, ni to do kolegi. - Może świadkowie coś widzieli? Chociaż wątpię. Pewnie przyszli już „po”. Ciekawe dlaczego ten facet, który widział ostatnie chwile naszego klienta, nie chce z nami gadać.

Drugi odważył się w końcu spojrzeć na denata, choć nie na głowę, z której wciąż płynęła, coraz węższym strumieniem, strużka krwi.

- Zobacz, coś mu wystaje z marynarki.

- Faktycznie, jakaś kartka papieru. Chyba nic się nie stanie, jeśli ją sobie obejrzymy.

Pierwszy wyszarpnął z kieszeni marynarki zmięty papier, rozłożył go i zdębiał.

- A co to takiego? Albo matematyka, albo czarna magia.

Zaintrygowany zdumieniem kolegi, drugi funkcjonariusz odważył się w końcu podejść kilka kroków w stronę zabitego i spojrział na kartkę.

-
- Żadna matematyka, zwykła tarcza.
 - Jak tarcza?
 - Strzelnicza. Przypina się do solidnej deski czy płyty wiórowej i strzela. Na przykład z wiórowki. Największe koło - najmniej punktów, to w środku, za setkę. Nigdy nie byłeś w wesołym miasteczku? Popatrz, mamy nawet punktację - najmniej, jeden punkt, za trafienie w największe koło. Siódemka za sam środek. Nie, niezupełnie, w samym środku jest jakaś ikonka, chyba jakiś kwiat albo słońce.
 - Hmm, trochę dziwna ta tarcza, wygląda na starą. I jeszcze jakieś opisy, chyba po łacinie
 - odparł pierwszy, kręcąc kartką w różne strony. - Zupełnie, jakby do tych kół ktoś dorysował dwie kreski - poprzeczną i podłużną.
 - A ten punkcik na górze z lewej strony? - Drugi policjant wskazał palcem na czarną kropkę, nie większą niż jednogroszówka.
 - Narysowany, nie przestrelony.
 - Może to jakaś sugestia?
 - Jaka niby sugestia?
 - Wyobraź sobie, że w tę tarczę wpisana jest ludzka głowa.
 - Rany boskie, nie sądzisz chyba, że...

Telefon komórkowy zadzwonił w środku nocy - fuga d-moll Jana Sebastiana Bacha w piskliwej elektronicznej wersji skutecznie budziła go nawet z najcięższego snu. Wciąż obiecywał sobie, że zmieni dzwonek, choćby na odgłos tradycyjnego telefonu, ale jakoś nigdy tego nie zrobił. Wziął komórkę do ręki - na wyświetlaczu pojawiła się godzina czwarta rano oraz informacja, że dzwoni ktoś, kogo telefon nie potrafi zidentyfikować. I chyba tylko dlatego postanowił odebrać - po to, by burknąć „pomyłka” i dorzucić coś jeszcze, tak od serca.

- Pomyłka... - rzucił awansem i czekał na rozwój wypadków.

- Excuse me, I don't speak Polish - usłyszał odpowiedź.

- Pomyłka - powtórzył, tym razem po angielsku, mając absolutną pewność, że nieznajomy wykręcił niewłaściwy numer.

- Fakt, pomyłki zdarzają się często, ale akurat nie w tym wypadku - odparł nieznajomy.

Wprawdzie doskonale posługiwał się językiem Szekspira, ale z jego wymowy można było wynioskować, że jest albo Włochem, albo Hiszpanem. No, ostatecznie Burgundczykiem.

- Czy pan wie, która jest godzina?

- Wiem i od razu chciałem pana serdecznie przeprosić za tę pobudkę. Ale sprawa jest na tyle istotna, że nie wahałem się pana niepokoić. Poza tym, w miejscu, z którego do pana dzwonię, jest nieco wcześniej. A właściwie - dużo wcześniej.

- A czy wie pan, do kogo zadzwonił?

- Och, podejrzewa mnie pan o to, że nie wiem, do kogo dzwonię i o której godzinie... Wielka nieufność już na samym początku rozmowy. A może być bardzo ciekawa, zapewniam. Wracając do pańskiego pytania: pan Łukasz Dybowski, prawda?

- Tak, to ja. A z kim mam przyjemność?

- Łukasz w przyspieszonym tempie odzyskiwał pełną świadomość, choć do ideału było jeszcze dość daleko.

- Moje nazwisko Parezzio, Stefano Parezzio, jestem Włochem.

- Czego może ode mnie chcieć Włoch o czwartej nad ranem? Nie zamawiałem pizzy - zdobył się na dowcip, który jego rozmówca skwitował serdecznym śmiechem.

- Roznosiciel pizzy, to znakomite. Niestety, drogi panie - Parezzio nagle spowaźniał - życie to nie tylko pizza. Czasami trzeba się zdobyć na większy wysiłek kulinarny.

- Filozof z pana - wymamrotał Dybowski. - Ale ja nie potrafię dyskutować o sensie istnienia o czwartej nad ranem. Chyba, że mnie pan jakoś rozrusza.

- O, do tego lepsza byłaby jakaś urocza blon dynka. Na marginesie - nie przepadam za blon dynkami, bo przeważnie są farbowane. A skoro zmieniają kolor włosów, to pewnie wszystko inne też mają sztuczne. Tak między nami mówiąc, najbardziej przemawia do mnie kolor fioletowy...

Dybowski pokręcił głową - czy to wszystko mu się śni? Dzwoni do niego o świcie jakiś dziwny Włoch, zapewnia, że ma do przekazania bardzo ciekawe informacje, a potem wkracza na obszar filozofii, kobiet i kolorów. Niech wreszcie przejdzie do sedna sprawy.

- Poproszę o konkrety. O tej porze zupełnie mnie nie interesują kolory.

- Doprawdy? A niech pan spojrzy przez okno.

Dybowski niechętnie wstał z łóżka i poczłapał w stronę okna. Mieszkał na ósmym piętrze warszawskiego apartamentowca, więc jedyne co zobaczył, to rozjaśniające się bezchmurne lipcowe niebo.

- Patrzę.
- I co pan widzi?
- Niebo.
- A jaki ma kolor?

Dybowski pokiwał głową - faktycznie, był to fiolet, złamany pomarańczowymi refleksami.

- Powiedzmy, że fioletowy. I zakończmy na tym temat barw. W porządku?

- Ależ oczywiście, to wyszło tak zupełnie niechący, spontanicznie, nie miałem najmniejszego zamiaru opowiadać panu o kolorach. Chociaż... Czy był pan kiedyś w Prowansji?

- Kilka razy - odparł Dybowski, czując pewną satysfakcję, że mógł pochwalić się znajomością południa Francji. - A co to ma do rzeczy?

- Jeśli tak, to zapewne przypomina pan sobie ten cud natury, jakim są ciągnące się aż po horyzont fioletowe pola lawendowe. I ten intensywny zapach, szczególnie, gdy rozetrzeć kwiat lawendy w dłoni...

Tym razem Dybowski pozostawił słowa Pa-rezzio bez komentarza. Czuł się wprawdzie skołowany, ale ta pozornie bezsensowna rozmowa wciągała go coraz bardziej. Po chwili milczenia odezwał się Włoch:

- Chciałbym porozmawiać o przedstawieniu pierwszym.

-
- Przedstawieniu pierwszym?
- Tak, zresztą może źle to tłumaczę na angielski. Pan rozumie, obroty ziemi, obroty słońca...
- Obroty słońca? Nie dość, że dzwoni pan z daleka, to jeszcze z odległej przeszłości. O ile mnie pamięć nie zwodzi, to w średniowieczu wierzono, że Słońce i gwiazdy krążą wokół Ziemi. Potem pewien facet z Fromborka zdezaktu alizował tę teorię - w głosie Dybowskiego pojawiła się kpina.
- Ten facet także mnie interesuje. A pan nie potrzebnie udaje głupiego. Doskonale pan wie, co mam na myśli, mówiąc o obrotach Słońca.
- Dybowski nie miał pojęcia o co chodzi, ale uznał, że lepiej zachować pokerowe milczenie - bo przecież nie kamienną twarz - sugerując, że trzyma w ręku mocne karty. Ale zaraz potem coś mu zaczęło świtać w głowie.
- Wie pan, prawda? - domagał się odpowiedzi Parezzio.
- Może i wiem, ale pan naprawdę zadzwonił o złej porze. Kiepsko kojarzę fakty, mój umysł, w przeciwieństwie do oczu, jeszcze się nie obudził.
- To jasne, wobec tego nie będę pana dłużej dręczył. W przyszłym tygodniu będę w Warszawie, więc może spotkalibyśmy się? Wyluszcze

panu szczegółowo pewien problem, który muszę rozwiązać, a pan mógłby mi pomóc.

- A mam inne wyjście?
- Obaj go nie mamy. Odezwę się.

Prezes Fundacji Promocji Miast Historycznych Marek Kowalczyk ważył w dłoni książkę, zupełnie, jakby jej ciężar był istotniejszy od zawartości. Uśmiechał się przy tym, dając do zrozumienia, że jest naprawdę zadowolony.

- Muszę przyznać, że wykonał pan dobrą robotę, panie Łukaszu. Wierzę, że „Złota legenda Gdańska” odniesie taki sukces, na jaki liczymy. Nawiasem mówiąc, tytuł chyba z lekka zapożyczony, prawda? „Legenda Aurea” Jakuba de Voragine... Ale to dobrze, takie odwołania wydają się bardzo zacne.

Dybowski skłonił się niczym renesansowy artysta pochwalony przez magnata, który zlecił mu wykonanie rzeźb na rodzinnym grobowcu.

- Zrobiliśmy co w naszej mocy. Gdybym miał trochę więcej czasu, efekt byłby jeszcze lepszy.

- Bez przesadnej skromności - prezes poklepał Dybowskiego po ramieniu i podsunął mu pod nos talerzyk z ciastkami.

- Poza tym, pan prezes widzi jedynie opakowanie. A najważniejsze jest w środku, czyli tekst i ilustracje.

Kowalczyk pokiwał głową i, na chybił trafił, otworzył książkę mniej więcej w samym środku.

Dybowski wstrzymał oddech - choć korekta kilka razy czytała cały tekst, bał się, że jego rozmówca od razu wychwyci jakiś kompromitujący błąd. Ortograficzny, gramatyczny, a może historyczny - bez znaczenia. Gdyby faktycznie książka zawierała jakieś byki, wówczas Dybowski mógłby się pożegnać z kolejnymi zleceniami.

To wygrał w drodze przetargu - fundacja zaprzęgnęła wydać książkę o związkach wielkiego astronoma Mikołaja Kopernika z Gdańskiem. Wprawdzie wydanie nie było związane z jakąkolwiek spektakularną rocznicą, ale skoro Unia Europejska przeznaczyła spore fundusze na promowanie regionów, to grzechem byłoby ich nie wykorzystać. Fundacja miała bardzo ambitne plany stworzenia całej serii na temat miast związanych z wielkim astronomem. Po Gdańsku miał być Toruń, Frombork i Olsztyn.

Łukasz Dybowski był właścicielem malutkiej oficyny wydawniczej, której udało się przetrwać na rynku tylko i wyłącznie dzięki kupionym (rzecz jasna, za kredyt) prawom do książek Ro-

berta Millera. Wprawdzie za oceanem Miller uchodził za autora drugiej, a może nawet trzeciej ligi, jednak Dybowskiemu udało się go wy-promować w Polsce jako autentyczną gwiazdę literatury sensacyjnej. Amerykanin pisał książki osadzone we współczesności, ale ich akcja zawsze toczyła się wokół jakiejś historycznej zagadki. Jej bohaterem był fajtłapowaty prywatny detektyw włoskiego pochodzenia Bili Paolini - zupełnie niepodobny do bohaterów Chandlera - obdarzony wszakże wspaniałą intuicją. Można było odnieść wrażenie, że archetypem Paoliniego był porucznik Colombo. Miller należał do pokolenia, które wychowało się na serialu z owym pozornie groteskowym, a tak naprawdę - genialnym gliniarzem.

Trzeci tom przygód Paoliniego (Dybowski już pracował nad czwartą częścią) dotyczył pewnego wstydlwego sekretu Girolamo Savonaroli, XV-wiecznego reformatora życia religijnego we Florencji. Rewoltę Savonaroli, który publicznie krytykował zarówno Kościół Katolicki, jak i samego papieża, popierały tłumnie kobiety, które opuszczały swych mężów i wstępowały do klasztorów, by oddawać się kontemplacji i ascezie.

Według pewnego nieznanego dotychczas (bądź bardzo mało znanego) dokumentu, Savonarola miał urządzać seksualne orgie ze swymi „aniołkami”, za-

mieniając żeńskie klasztory w domy nieokiełznanej rozpusty.

Detektyw Paolini prowadził zaś śledztwo w sprawie śmierci antykwariusza, który nie-opacznie wszedł w posiadanie owego dokumentu.

Wprawdzie Dybowski odczuwał pewien moralny dyskomfort, publikując, jak sam to określał, „ten stek bzdur”, ale skoro ludzie chętnie kupowali książki o Paolinim, skoro cały czas było zapotrzebowanie na thrillery parahistorycz-ne, choćby o najbardziej niewiarygodnej akcji, nie zamierzał z tego rezygnować. Zresztą uspokajał swe sumienie, powtarzając sobie: dzięki tej książce znacznie poszerzyła się liczba Polaków, którzy usłyszeli nazwisko Savonarola. A to już jest coś warte.

Co więcej - udał się nawet na targi książki do Frankfurtu, by wybadać możliwość przejęcia praw do kolejnych autorów tego gatunku.

Jednak kiedy dotarła do niego informacja o przetargu na książkę o związkach Kopernika z Gdańskiem, poczuł, iż jest to coś, na co czekał. Jako historyk - tak, skończył studia w tym zakresie, nawet z całkiem przyzwoitą oceną, tyle że nigdy w wyuczonym zawodzie nie pracował - wiedział na ten temat całkiem sporo. Szczególnie interesowała go historia domniemanego

romansu fromborskiego kanonika z pewną piękną gdańszczanką, Anną Schilling. Jeśli zatem Kopernik miał jakieś związki z Gdańskiem, to ten był szczególnie intensywny i wart opisania. Nawet jeśli w gruncie rzeczy stanowił li tylko uroczą legendę, wyśmiewaną przez profesorów historii.

Na szczęście książka, którą zlecała Fundacja Promocji Miast Historycznych, nie miała być naukowym opracowaniem, a raczej pozycją bliższą temu, co oferował światu Robert Miller. Oczywiście, w miarę możliwości, opartą na faktach, ale omawiającą także legendy, które przecież dla promocji miasta bywają lepsze niż dobrze udokumentowana i wszystkim znana prawda.

Stając do przetargu, miał w ręku kilka poważnych atutów. Był w miarę doświadczonym wydawcą, a także historykiem, który zleci właściwej osobie napisanie tekstu i zagwarantuje jego wysoki poziom (tak naprawdę napisał to wraz z przyjacielem, Hubertem Stopniakiem, asystentem na wydziale historii Uniwersytetu Warszawskiego, przy czym dzieło sygnował wyłącznie ten drugi). A poza tym... był tani. Pod tym, trzecim, względem pozostawił konkurencję daleko w tyle.

Teraz mógł wręczyć prezesowi Kowalczykowi owoc swej pracy.

Niestety, stało się to, czego się obawiał. Twarz zleceniodawcy nagle spochmurniała.

- Czy coś nie tak? - zaniepokoił się Dybowski.

- Bo ja wiem? Mógł pan sobie darować wątek tego zaginionego egzemplarza „Narratio Prima”.

- Przecież Joachim Retyk wydał to dzieło w Gdańsku! Ta informacja chyba powinna być w tej książce. Według mnie to szalenie ważne.

- To, że Retyk wydał w 1540 roku tak istotną - nie tylko dla Polaków - publikację, jak przedstawienie najważniejszych tez kopernikańskich, bez wątpienia musi być w tej książce. I bardzo do brze, że jest. Ostatecznie, to właśnie po sukcesie „Narratio Prima” Kopernik postanowił przemówić własnym głosem i wydać, niestety już nie w Gdańsku, pod swoim nazwiskiem „De revolutionibus orbium coelestium”. Tyle, że... Sam pan rozumie - teoria, jakoby istniał egzemplarz dzieła Retyka, na którym Kopernik, bojąc się reakcji Kościoła, własnoręcznie odżegnuje się od swych tez i zapewnia, iż wierzy w obroty Słońca, jest niezbyt wiarygodna. Poza tym, robi z naszego geniusza tchórza. A tchórzem nie był, jest na to wiele dowodów.

- Przecież konsultowałem to z pana pracownikami, oni rozmawiali z ekspertami. Nikt nie miał nic przeciwko tej teorii. W końcu to nie ja ją wymyśliłem - opublikowała ją niemiecka prasa.

- No, ale ten profesor, który ogłosił rewelację, jakoby widział taki egzemplarz w którymś z antykwariatów Uppsali, to chyba mitoman. Wiadział, ale nie jest pewien, czy widział, to było dawno temu, nie zdawał sobie wówczas sprawy z wagi tego odkrycia, poza tym było bardzo drogie. Z pewnością nie na kieszeń profesora historii. Bo gdyby było tańsze, kupiłby i mielibyśmy czarno na białym.

- Legenda, panie prezesie, taka sama jak romans Kopernika i Anny Schilling. Ja też nie ufam temu profesorowi. Poza tym, mógł wymyślić coś bardziej oryginalnego niż Uppsala, gdzie -jak wiadomo - znajduje się najwięcej pism Kopernika i jego księgozbiór.

Kowalczyk wypił kawę, odstawił filiżankę na wielkie biurko, będące uosobieniem tego, co określa się mianem mebla gdańskiego i puścił oko do Dybowskiego.

- Wydaje mi się, że jedna, niezbyt wiarygodna legenda, czyli ta o życiu erotycznym naszego kownika, wystarczyłaby w zupełności. Ale skoro jest i druga - to nic już na to teraz nie poradzimy. Przecież nie zmielimy nakładu, zresztą szkoda byłoby tak ładnej książki. Nawarzyliśmy piwa, gdańskiego rzecz jasna, albo nie - warszawskiego - to teraz trzeba je wypić. Ktoś na pewno się do tego przyczepi.

- Przed wojną mieliśmy w Warszawie świetny browar, Haberbusch i Schiele. Ale nic z niego nie zostało.

- W Gdańsku też były browary. Słynne na całą Europę. Sam Heveliusz miał pod swoją pieczęć ponad dwadzieścia browarów. Mam nadzieję, że napisał pan o tym?

Dybowski pokiwał głową: jakże mógłby pominąć tak wdzięczny wątek?

Vlado Stojković, w pewnych środowiskach znany lepiej jako „Oko”, wyciągnął spod łóżka niewielką walizeczkę. Otworzył ją i z lubością popatrzył na jej zawartość. W otulinie z szarej gąbki spoczywał lśniący nowością niewielki karabinek szturmowy Beretta cx4 Storm. „Oko” nabył go okazji w Hamburgu, ale nawet gdyby przyszło zapłacić pełną rynkową cenę, nie wahałby się. Znał tę broń i doskonale wiedział, że może się z nią czuć bezpiecznie, natomiast ten, na kogo „Oko” ma kontrakt, już teraz powinien zacząć się modlić.

Pogłaskał czule Berettę, po czym zamknął walizkę. Przez lata służby w Legii Cudzoziemskiej przyzwyczał się do karabinka automatycznego Famas, kaliber 5.56 - podczas wielu operacji w Czadzie tylko sile ognia tej broni zawdzięczał życie.

No, a przeciwnik śmierć. Ale nawet francuscy oficerowie z szacunkiem odnosili się do wyrobów firmy Beretta.

Kiedy opuścił szeregi legionistów i został najemnikiem paramilitarnych oddziałów serbskich, które w 1991 roku wkroczyły do Chorwacji, a potem Bośni i Hercegowiny, przyzwyczał się do innej przyjaciela: starego, niezawodnego karabinu snajperskiego Zastava M76. Wraz z nim oraz kilkoma innymi przyjaciółmi (nie da się przeżyć, posiadając jedynie broń snajperską) walczył na wielu frontach jugosłowiańskich wojen, kończąc swą karierę na potyczkach z bojownikami albańskiej Armii Wyzwolenia Kosowa czyli UCK.

W 1999 roku był świadkiem amerykańskich ataków bombowych na Belgrad - wtedy zrozumiał, że oto skończył się czas romantycznych najemników, mogących niemal w pojedynkę wpływać na losy wojen. Przynajmniej tych wielkich, międzypaństwowych, w które angażują się siły NATO.

Postanowił zawęzić swój biznes do drobnych zleceń - z reguły chodziło o wyeliminowanie jednej, dwóch osób za jednych zamachem. Potem następowały wakacje. Można więc powiedzieć, że wszedł do świata biznesu, bo większość zleceń dotyczyła wyrównywania rachunków finansowych. Robota była o wiele spokojniejsza niż w Legii Cudzoziemskiej, lepiej płatna, żaden kapitan nie wydzierał mu się nad głową, a jakoś

tak się składało, że egzekucje miały miejsce w przyjemnych, czy wręcz - komfortowych lokalizacjach. „Oko” strzelał więc w Monte Carlo, w Neapolu, kilka razy w Niemczech.

Szczególnie miło zapamiętał wykonanie wyroku w bawarskim Bambergu - świeciło piękne majowe słońce, wiał ciepły wiatr, a rozstający się z życiem szwedzki milioner milcząco spadał do rzeki Regnitz z kamiennego mostu, przylegającego do starego ratusza. Choć przez most prze-walał się tłum turystów, nikt nie usłyszał - bo nie miał prawa - wytłumionego strzału, a kiedy ten i ów zorientował się, że ktoś wpadł do wody, Stojković był już dość daleko.

Potem wypił miejscowy specjał, czyli wędzone piwo, w szynku Schenkerla i udał się do Monachium, gdzie czekała go druga rata honorarium.

„Oko” działał niczym doskonale naoliwiona maszyna, co nie znaczy, że był wolny od jakichkolwiek słabostek. Jedną z nich kosztowała go sporo pieniędzy - otóż po latach spędzonych w namiotach na pustyni bądź pod gołym bałkańskim niebem, postanowił, że udając się na akcję, zawsze będzie mieszkał w luksusowym hotelu. Z wyjątkiem miejsc, gdzie takowych nie było, rzecz jasna. A przecież nie dostawał osobnych środków na hotel - oferowano mu określoną sumę i musiał z niej pokryć wszelkie wydatki.

No, ale skoro przeciętne wynagrodzenie za zabójstwo wynosiło od 10 do 15 tysięcy euro (nie był drogi, nie był też przesadnie tani), to Stojko-vić bez wahania przeznaczał do pięciuset euro na nocleg. A z reguły były dwa noclegi. Mniej więcej tyle czasu potrzebował, by namierzyć cel, zorientować się w jego zwyczajach i wyczekać odpowiedni moment.

Kilka godzin wcześniej zakwaterował się w budapeszteńskim hotelu Palazzo Zichy, XIX-wiecznej rezydencji hrabiego Nandora Zichy'ego. Zawsze przed wyjazdem służbowym spędzał całe godziny w Internecie i wyszukiwał godne siebie hotele. Gdy na stronie luxuryho-tels.com przejrzał galerię zdjęć Palazzo Zichy, zrozumiał, że bardzo cieszy się na kontrakt w Budapeszcie.

Tyle, że to nie był standardowy kontrakt. Nie wiedział, kogo ma zabić, kiedy i dlaczego (a lubił choć trochę znać powód, dla którego pakował ludziom kule w serce). Miał nie rozstawać się z komórka i czekać na sygnał.

Tym razem zaoferowano mu więcej pieniędzy, bo czas oczekiwania mógł się wydłużyć.

- Byleby nie było jak z tym profesorkiem z Moguncji - mruknął do siebie i wypił jednym haustem całą zawartość małej buteleczki Johnny Walkera, wyjętej z barku. - Miałem nastraszyć,

nastraszyłem, ale włos mu z głowy nie spadł. A potem ochrzaniają mnie, że doprowadziłem człowieka do śmierci. Sam się do niej doprowadziłem. Pewnie był za głupi na biznes, do którego się pchał. Mnie do tego nie mieszajcie. Jak dostaję pieniądze za nastraszenie, to dlaczego miałbym świadczyć o wiele droższą usługę? Czy ja jestem instytucją charytatywną?

Ja nie zabijam dla przyjemności. A niech mnie ktoś nazwie zwyrodnialcem...

- Ok, dość pieaszczot, zakładamy rękawice, kaski, ochraniacze na zęby. Teraz poćwiczmy ciosy - Łukasz Dybowski powiódł wzrokiem po swej kilkunastoosobowej grupie i podszedł do ławki, na której, obok ręcznika, stała butelka z wodą mineralną. Zakończył rozgrzewkę i właśnie miała się zacząć najbardziej lubiana przez wszystkich część zajęć.

Adepci kick-boksu karnie sięgnęli do przepastnych toreb po sprzęt: rękawice, kaski i ochraniacze. Dwie minuty później wyglądali niczym oddział kosmicznych wojowników, gotowych do starcia z nieprzyjacielem.

Dybowski już od kilku lat łączył pracę wydawcy z obowiązkami trenera sztuk walki w jednym ze stołecznych fitness-klubów. Pierwszy z etatów przynosił mu tyle pieniędzy, że nie musiał szukać innego zajęcia. Nie, nie były to kokosy, ale wystarczyło na w miarę dostatnie życie, oczywiście wsparte kredytem. Posada trenera

była licho płatna, ale dawała Dybowskiemu znacznie więcej satysfakcji niż czytanie maszynopisów, poszukiwanie dobrej korektorki, akceptowanie okładek i użeranie się z dystrybutorami. Zasady boksu wydawały mu się znacznie prostsze: albo ty jego, albo on ciebie. A żebyś to ty był zwycięzcą, musisz podczas treningu wykonać określoną liczbę ćwiczeń. Ale nie na pół gwizdka, tylko dając z siebie wszystko.

Oczywiście, zdawał sobie sprawę, że nie jest trenerem prawdziwych kick-bokserów przygotowujących się do zawodów, ale instruktorem z lekka podstarzałych urzędników i biznesmenów, rzucających wyzwanie własnemu brzuchowi. Jednak lubił sobie wyobrażać, że ten i ów, dzięki niemu, przemienia się w obdarzonego piękną muskulaturą herosa, stającego do pojedynku w klatce konfrontacji sztuk walki. Nawet jeśli było to marzenie, które nie miało prawa się ziścić.

Jednym z jego „podkomendnych” był przyjaciel - Hubert Stopniak. Historyk, który stracił ostrość widzenia w mroku archiwów, a siłę mięśni przerzucając stronicie starych gazet, postanowił skorzystać z rady Dybowskiego i kupić sobie bokerskie rękawice. Zaopatrzony w nie pojawił się pewnego pięknego dnia na zajęciach, które przeraziły go już na samym początku.

- Jak mogę bić albo kopać drugiego człowieka w twarz? - Zapytał drżącym głosem Dybowskiego.

- Skoro on może bić ciebie, to nie widzę przez szkód, abyś mu oddał.

- Ale jeśli on mnie jeszcze nie uderzył, to dla czego mam być pierwszy?

- Bo takie są, w największym skrócie, zasady tego sportu. Okładamy się pięściami od pasa w górę, ale najbardziej zależy nam na trafieniu w głowę. Albo w nerki, co wcale nie jest takie proste, zobaczysz.

- A czy nie dałoby się wyprowadzać ciosów je dynie na tułów? No wiesz, klatka piersiowa, może odrobinę niżej... - Stopniak nie dawał za wygraną, próbując zmienić zasady sportowej walki na pięści i nogi.

Dybowski roześmiał się i poklepał przyjaciela po wąłym ramieniu: - Boisz się, przyznaj, że się boisz.

Stopniak kiwnął głową, choć jego oczy zapłonęły nienawiścią - czuł się upokorzony.

- Daj spokój Hubert, przecież my tu tylko się bawimy. Ciosy są lekkie, zabraniam uderzać z całej siły, bo łatwo o nieszczęście. Zresztą kup sobie kask, nie będziesz nic czuł.

Minęły dwa miesiące i Stopniak stał przed nim w kasku i palił się do walki - przydzielony mu przez Dybowskiego partner, właściciel kwia-

ciarni na Dworcu Centralnym, nie był urodzonym fighterem i zdarzało się, że podczas pojedynku odwracał się plecami do przeciwnika.

- Bijemy lewą w korpus, a prawą staramy się trafić w zewnętrzną część uda partnera. Kto oberwie więcej ciosów, robi dwadzieścia pompek. Dwie minuty, zaczynamy!

Dybowski machnął ręką i włączył stoper. Jednak nie potrafił skupić się na walce swoich zawodników - jego myśli cały czas krążyły wokół dziwnej rozmowy telefonicznej, jaką odbył z wielbicielem fioletu. Ciekawe, kiedy znowu zadzwoni i czego tak naprawdę chce?

Dopiero kiedy na twarzy kwiaciarza pojawiła się krew, przerwał walkę.

- Czyś ty zwariował? Przecież wyraźnie mówiłem: korpus i udo, a nie twarz! - krzyknął na historyka, który najwyraźniej postanowił wznieść jakoś swojego treningu na wyższy poziom i posmakować walki do pierwszej krwi. Stopniak zrozumiał swój błąd i chcąc wyrazić skruchę, zdjął rękawice i rzucił je na podłogę.

- Co ty wyrabiasz, obraziłeś się? - Spytał gniewnym głosem Dybowski. Stopniak pokiwał głową: — Tak, obraziłem się na siebie samego. Na dziś kończę trening.

Kwiaciarz otarł płynącą z nosa krew i wybałuszył oczy: - Najpierw rozwalasz mi nos, a po-

tem jeszcze pozbawiasz mnie partnera? Wracaj, nic mi się nie stało.

Historyk pokręcił głową. - Wybacz stary, muszę porozmawiać sam ze sobą. Nie mógłbym już dziś z tobą walczyć.

- Tu się uprawia kick-boks, a nie układa wiązańki, to nie kwaciarnia! - zagrział Dybowski, zapominając, że obok niego stoi przed stawiciel kwietnej profesji.

- Ale to nie był przypadek. Zapomniałem się, chciałem uderzyć w twarz, złamałem regulę! - w głosie Stopniaka zabrzmiała nuta hysterii. Sprawiał wrażenie człowieka, który najchętniej wyjąłby zza pazuchy bicz i przyłożył nim sobie kilka razy.

Wszyscy zebrani w treningowej sali parsknęli śmiechem — jego nadwrażliwość wzbudziła ogólną wesołość. Wyśmiany sportowiec opuścił salę i skierował się w stronę szatni. Dybowski pobiegł za nim, krzycząc już z korytarza do swych kursantów: - Rozciągamy się, najpierw skłony do przodu, potem na boki. Zaraz wracam.

- O co ci chodzi? Nie zachowuj się jak panienka, bo to nie pasuje do tej dyscypliny - usiadł na ławce obok zdruzgotanego przyjaciela.

- Ech, po cholere mi ten boks... I tak nie mam na to czasu. Zaniedbuję pracę na uczelni, coraz

rzadziej chodzę do biblioteki. A wszystko po to, żeby móc rozkwasić noc drugiemu człowiekowi.

- Przesadzasz, niczego nie zaniedbujesz. Przechodzisz kryzys pierwszej krwi i to wszystko.

- Jaki kryzys?

- No wiesz, przelałeś pierwszą krew, jesteś jak Rambo. Teraz już pójdzie z górki - Dybowski próbował obrócić całe zajście w żart. Widząc, że jego starania nie przynoszą oczekiwanego skutku, zmienił temat.

- Wiesz, dziś w nocy zadzwonił do mnie jakiś dziwny facet...

I opowiedział Stopniakowi rozmowę ze Stefa-no Parezzio. Historyk skwitował to przeciągłym gwizdnięciem.

- Dopiero teraz mi o tym mówisz? Albo to głupi żart, albo pomyłka, albo... coś dużego - powiedział.

- Dlaczego sądzisz, że coś dużego?

- No, bo mi się nigdy coś takiego nie przytrafiło - oparł Stopniak, przekonany, że to dobry argument.

- Pewnie masz rację. Wiedziałem, że to cię zainteresuje. W końcu jesteś rasowym historykiem.

- Albo historyk, albo rasowy - mruknął Stopniak, któremu, nie wiedzieć czemu, przypomnia-

ła się wysokość jego zarobków. — Nie wiesz co mógł mieć na myśli, mówiąc o przedstawieniu pierwszym?

- Jeśli faktycznie chodzi o Kopernika, to mam pewne podejrzenia, ale chciałbym o tym z tobą spokojnie pogadać. Nie tu i nie teraz.

Spotkamy się jutro w wydawnictwie?

Stopniak rozłożył ręce, jakby chciał dać do zrozumienia, że przecież i tak nie ma innego wyjścia.

Dybowski uśmiechnął się i wyrecytował ukutą na poczekaniu sentencję: - A rasowy bokser musi bić. Także w twarz. Nawet jeśli trener mu tego zabrania.

Choć podróżowanie samolotem było częścią jej życia zawodowego i spędzała w powietrzu kilkanaście godzin miesięcznie, nigdy nie zdołała przyzwyczać się do ostatnich minut lotu. Także i tym razem, gdy kapitan łagodnym głosem oznajmił rozpoczęcie podchodzenia do lądowania, a airbus przechylił się lekko w dół, poczuła zawrót głowy. Wyobraźnia, jak zawsze w takiej chwili, zaczęła jej podpowiadać tę samą wersję zakończenia podróży - maszyna spada coraz szybciej i szybciej, pilot traci kontrolę nad sterami, za oknami pojawia się czarny dym, wydobywający się z silników. Miasto rośnie w zaskajającym tempie, wieżowce już czekają na sparowanie żelaznej pięści spadającej z nieba. Pasażerowie tracą przytomność, ale nie ona; wie, że będzie musiała się spotkać ze śmiercią w stanie pełnej świadomości, że nie będzie jej oszczędzone najgorsze.

A potem koła samolotu miękko dotknęły lądowiska i po raz kolejny udało się uniknąć kata-

strofy. Spojrzała przez okno - airbus wytracał prędkość i zbliżał się do hali przylotów buda-
peszteńskiego lotniska Ferihegy.

Przyleciała na kilka godzin, jedynie po to, by się spotkać z człowiekiem, który chciał od niej kupić to, co miała w teczce na notebooka. Jedy-
nie? W gruncie rzeczy chodziło o interes życia, przynajmniej teoretycznie.

Pół godziny później taksówka wiozła ją w stronę Placu Bohaterów, wieńczącego najbar-
dziej elegancką ulicę Budapesztu, Andrassy Utca. Niejako na zapleczu owego placu, przy Al-latkerti korut, w imponującym secesyjnym pawilonie znajdowała się słynna restauracja Gun-del, gdzie miała się spotkać z kontrahentem.

Sięgnęła do torebki i wyciągnęła z niej pu-derniczkę. Spojrzała do lusterka - zobaczyła w nim wciąż jeszcze piękną twarz kobiety, której młodość była już bardziej stanem ducha niż ciała.

Za kilka miesięcy miała przekroczyć magiczną granicę czterdziestu lat. Wprawdzie hollywo-
dzkie gwiazdy występujące w reklamach kremów przekonywały ją z ekranów, że ten wiek jest początkiem drugiej, jeszcze atrakcyjniejszej młodości; że dzięki napiętej skórze i rozjaśnionej cerze przeżyje szaleństwa, jakich dotychczas nie zaznała, ale ona nie wierzyła tym zapewnie-

niom. Owszem, była wciąż piękna, ale w niczym nie przypominała podlotka. Nie czekała na miłosne uniesienia w ramionach muskularnych efe-bów - to już miała za sobą. Mąż, z którym rozstała się kilka lat wcześniej, był kiedyś takim właśnie efebem. Ale nie potrafił się pogodzić z faktem, że męska uroda także przemija i coraz mniej kobiet fantazjuje na temat zbliżenia z nim. Dlatego coraz częściej udowadniał sobie, że reflektory życia wciąż są skierowane na niego i jest w stanie podbijać serca coraz to młodszych kobiet. I co jakiś czas faktycznie pojawiała się u jego boku dziewczyna, której imponowało życiowe doświadczenie - wsparte grubym portfelem — mężczyzny.

Jej mąż był wiceprezesem wiedeńskiej filii wielkiego międzynarodowego banku. Dlatego mógł sobie pozwolić na fanaberie, o jakich inni mężczyźni w jego wieku nawet nie marzyli.

Znosiła to przez kilka lat (nie robił z tego tajemnicy, czasami celowo zostawiał w szufladzie biurka fotografie ze swoimi kochankami w nadziei, że je znajdzie), w końcu podziękowała mu za spędzone wspólnie lata. Mężczyźni przestali ją interesować.

Teraz pragnęła jedynie pieniędzy.

Tyle że to, co miała do zaoferowania, należało do kategorii towarów trudno zbywalnych.

Miało wartość jedynie w określonych kręgach, a jego sprzedaż była o wiele trudniejsza niż znalezienie chętnego na obraz Tycjana. Czy słusznie wierzyła w to, że już wkrótce będzie naprawdę bogata?

Po prostu wierzyła, a przecież wiara nie zawsze opiera się na racjonalnych przesłankach.

Taksówka zatrzymała się przed Gundelem. Kobieta wręczyła taksówkarzowi pięćdziesiąt euro, tłumacząc się z niewinnym uśmiechem na ustach: - I have no forints. Hope, it's ok.

Taksówkarz kiwnął głową, było ok.

Rozglądając się na boki, przekroczyła bramę posesji i weszła do pięknego ogrodu restauracji. Oprócz niej nie było tu nikogo, tak jej się przynajmniej wydawało. Widocznie zarówno mieszkańców Budapesztu, jak i turystów onieśmielała sława tego luksusowego lokalu i odstraszały horrendalne ceny.

Myliła się - przyglądał się jej pilnie pewien mężczyzna, siedzący po drugiej stronie ogrodu. Ona go jednak nie zauważyła.

Siadła przy stoliku pod białą markizą, tuż obok płąta, który właśnie zrzucał z siebie długie płaty kory.

Najpierw podszedł do niej ubrany w smoking kelner - zamówiła espresso, koniecznie ze szklanką wody.

A potem ujrzała mężczyznę w fioletowym garniturze. Zbliżał się do niej powoli, uśmiechając się coraz szerzej.

Nie miała wątpliwości, że to jest właśnie kontrahent.

Ufał także swojemu koledze o nieco egzotycznie brzmiącym imieniu H&K Mk23.

Bo wprawdzie karabinek automatyczny jest niezastąpiony w ostrzejszych ulicznych akcjach, ale jeśli trzeba trafić kogoś po cichu, bez zbędnego zamieszania, to pistolet Heckler&Koch idealnie się do tego nadaje.

Tę zabawkę „Oko” zabrał do Gundela jako osobę towarzyszącą. Spędzili tam wspólnie kilka nudnych godzin, aż wreszcie ta dziwna kobieta o smagłej twarzy raczyła się pojawić. Od razu wyczuł, że to ona. Poruszała się niepewnie, rozglądając się na boki, jakby w obawie, że może ją spotkać coś złego. Niesłusznie - on tylko zabezpieczał teren i wgrywał w pamięć swego mózgu jej twarz. Ładną, intrygującą, smutną. Zupełne przeciwieństwo jego. Któż by przypuszczał, że ten niewysoki, z lekka otyły, łysiejący facet o błękitnych oczach to bezwzględny zabójca? Miał urodę człowieka, na którego nie zwraca się

uwagi, ot, kolejny przechodzień bez większej historii. A jak już się zwróci uwagę, to nie ma wątpliwości: sympatyczny, życzliwy facet, dobry kompan do kufla.

A potem „buch, buch” i koniec znajomości.

Teraz „Oko” leżał na hotelowym łóżku i myślał o tym, co zaszło w ciągu dnia. Kim była ta babka?

Tak naprawdę, zleceniodawca niewiele mu o niej powiedział. Pochodzi z jakiejś dobrej - może arystokratycznej? - rodziny i chce sprzedać pamiątkę rodzinną. Klejnot albo obraz. To - jak powiedział ten fioletowy dziwak — na razie bez znaczenia. Chodzi o to, aby ją mieć na oku, bo z takimi nigdy nic nie wiadomo. Tym bardziej, że ma bardzo wysokie oczekiwania finansowe. Być może nie działa w pojedynkę. Właściwie to raczej niemożliwe, aby porwała się na tak wielką akcję bez jakiegokolwiek zabezpieczenia.

A może miała coś wspólnego z tym profesor-kiem, którego tak nastraszył, że biedak musiał popełnić samobójstwo? Trzy tygodnie temu, dwa dni po rozmowie. A przecież to była miła rozmowa, uczciwie postawienie sprawy: jeśli egzemplarz się nie znajdzie w ciągu dwudziestu czterech godzin, będzie źle. Naprawdę źle...

Tyle, że wtedy chodziło o jakąś księgę z cennym wpisem. A może... Cholera, może ta rodzin-

na pamiątka to nic innego, jak księga? Są rody, które nie pozostawiają po sobie niczego praktycznego i przekazują z pokolenia na pokolenie jakieś szpargały.

- Czemu ten cholerny fioletowy świr nie mówi mi całej prawdy? Znamy się tyle lat, a on ciągle traktuje mnie jak obcego. Przecież nie sprzątnę mu sprzed nosa tego białego kruka. Nie interesują mnie księgi tylko ludzie. Żywi ludzie, którym pomagam zmienić świat na lepszy - powiedział sam do siebie wzburzonym głosem i odbezpieczył Mk23. Skierował lufę w stronę telewizyjnego spikera, który spokojnym głosem czytał wiadomości. Nie wiedział, że płatny zabójca pieści jego twarz celownikiem optycznym.

Ale nie strzelił. Nie był przecież wariatem, a facetem, który potrafi sobie dawać radę z emocjami. Chłód spoczywającego w dłoni metalu uspokajał go. Dawał mu poczucie siły i autorytetu.

- Czemu mam ją zapamiętać? Mam ją sprzątnąć? Najchętniej strzeliłbym w ten głupi fioletowy łeb - pomyślał i postanowił przespacerować się ulicą Andrassy.

Zgodnie z sugestią przewodnika dotarł metrem do Placu Bohaterów i rozpoczął przechadzkę. Szedł ponad pół godziny, mijając ludzi, któ-

rym nawet nie przyszłoby do głowy, kim jest skromny mężczyzna w błękitnej koszuli i jasnych dżinsowych spodniach.

Dotarł do gmachu opery, gdzie dopadła go refleksja:

- Cholera, nigdy nie byłem w operze. Może warto się kiedyś wybrać?

I zaśmiał się zadowolony z dowcipu.

Przyszedł do biura później niż zwykle.

Dochodziła dwunasta w południe, gdy przekroczył próg dwupokojowego mieszkania zamienionego w siedzibę wydawnictwa. Mieściło się na placu Konfederacji, w samym sercu starych warszawskich Bielan - dzielnicy przedwojennych willi, otoczonych nieproporcjonalnie wielkimi ogrodami.

Uwielbiał tę okolicę i, jak często powtarzał bez cienia żartu w głosie, założył wydawnictwo tylko po to, by mieć tu biuro.

Gdy wychodził wieczorem z pracy, zawsze kierował się w stronę wąskiej uliczki, Płatniczej, rozjaśnionej wątłym światłem gazowych latarni - niewielu autentycznych, jakie zachowały się w Warszawie.

Jego sekretarka (a tak naprawdę osoba, która samodzielnie prowadziła wydawnictwo), Kasia, siedziała za biurkiem już od trzech godzin i nawet nie podniosła głowy znad papierów.

Dybowski wyjął z kieszeni swój telefon komórkowy i jak zawsze przekazał go sekretarce.

- Sprawdzasz korektę? - Spytał, patrząc, jak podkreśla zdania czerwonym długopisem.

- Nie mogę oddać korekcie takiego bubla - odparła ponurym głosem. - Przecież „wahać się” piszemy przez samo „h”, a ten twój ukochany autor ciągle się waha i pisze przez „ch”. Swoją drogą, jego bohaterowie mogliby mieć nieco więcej zdecydowania - powieść byłaby szybsza, ciekawsza i trochę krótsza.

- Nie autor, tylko tłumacz. Bardzo dobry tłumacz, może trochę roztargniony - próbował bronić swego współpracownika Dybowski, ale w głębi duszy był wściekły, że Kasia wciąż wynajdywała felery w pracy redakcyjnej. A przecież była teoretycznie jedynie sekretarką i wcale nie musiała troszczyć się o poziom tekstów. Fakt, nie zawsze najwyższych lotów.

- Poza tym, książki krótsze są cieńsze, a przez to tańsze. Dlatego bohaterowie muszą się wahać, zanim zrobią coś sensownego - dodał z kwaśnym uśmiechem.

Popatrzył na nią - miała o kilkanaście kilo więcej i była o kilkanaście centymetrów niższa niż trzeba. Do tego ewidentnie nie umiała zadbać o swój styl - fryzura na półeczkę zupełnie nie pasowała do jej okrągłej buzi, a różowe gar-

sonki sprawiały, że bardziej przypominała gwiazdę sanatoryjnego dancingu niż przedstawicielkę wydawnictwa. W duchu nazywał ją brzydką Kasią i drżał na myśl, że kiedyś może się pomylić i powiedzieć: Brzydka Kasiu, poproszę o wydruki drugiej korekty.

Dlatego zupełnie nie mógł zrozumieć, że jego przyjaciel Hubert Stopniak zaprosił ją kiedyś do kina. Owszem, historyk także nie należał do przystojniaków i rasowych uwodzicieli, ale z pewnością stać by go było na kobietę bardziej atrakcyjną. Zapytany, jak było w kinie, Stopniak odparł tajemniczo:

- Wiesz, zaprosiłem ją jeszcze na kawę.
- Na kawę? Do domu?
- Ależ skąd, do kawiarni. Właściwie to do baru na piwo.
- I to wszystko?
- A co ty sobie wyobrażasz? Naturalnie, że wszystko.

Stopniakowi nie przeszło przez gardło wyznanie, że tak naprawdę po piwie (a właściwie mieszance rozmaitych trunków) pojechali do niego do domu, gdzie Kasia - z własnej inicjatywy - zrzuciła z siebie różową garsonkę oraz czarną bieliznę i wzięła sprawy zbliżenia w swoje ręce. Jako, że post seksualny obojga trwał już przysłowiową wieczność, satysfakcję osiągnęli po kilku minutach.

Ale nawet gdyby Stopniak zwierzył się przyjacielowi z tej przygody, Dybowski uznałby ją za wytwór wybujałej wyobraźni historyka. Nie spostrzegł też, że Kasia na widok Stopniaka wyraźnie się ożywia, staje się weselsza i skłonna do rozmowy. Ba, potrafi nawet opowiedzieć dowcip, głównie o nierozgarniętych blondynkach.

- Co nas dziś czeka? - Spytał sekretarkę, wchodząc do swego gabinetu, w którym obok masywnej lwowskiej witryny na książki z końca XIX wieku stało prościutkie, niezbyt piękne biurko z Ikei.

- Zaprosiłeś Huberta na drugą, więc to my czekamy na niego.

Dybowski wznosił wskazujący palec prawej ręki do góry i pokiwał głową - faktycznie, mieli porozmawiać o tajemniczym telefonie. Po czym zaczął studiować katalog niemieckiego wydawnictwa Rowolth, specjalizującego się w kryminałach. Liczył na to, że dzięki pieniądzom za książkę o Gdańsku uda mu się rozszerzyć swą ofertę kryminalną o kolejnych zagranicznych autorów.

Według zawieszzonego na ścianie reklamowego zegara, Stopniak pojawił się w wydawnictwie za pięć druga.

- Myślisz, że chodziło mu o „Narratio prima”? To tylko twoja interpretacja. W gruncie rzeczy mógł mieć na myśli cokolwiek - Stopniak rzucił przeciągłe spojrzenie na Kasię, która z uśmiechem podawała mu szklanę z sokiem pomidorowym. Dybowskiemu nie zaproponowała niczego do picia.

- Fakt, to tylko spekulacja. Powiedział: „przedstawienie pierwsze”. *First presentation*. Tak naprawdę powinien powiedzieć: „opowieść pierwsza”. Narratio to opowieść - odparł wydawca.

- I szkoda, że nie powiedział „opowieść”, bo byłbym bardziej przekonany do tej wersji.

- No, ale z dzisiejszego punktu widzenia „opowieść” brzmi trochę głupio, jak jakaś bajka.

Stopniak wyjął wargi jak zawsze, gdy się nad czymś zastanawiał.

- Może i tak. „Narratio prima” to przedstawienie przez Joachima Retyka tez kopernikańskich. Coś w rodzaju zapowiedzi wydawniczej: jeśli interesują was dowody na to, że Ziemia nie jest płaska i nieruchoma, jeśli macie podejrzenia, że nauka Kościoła opiera się na kiepskich podstawach, ale boicie się to powiedzieć głośno, poczekajcie na książkę mistrza Kopernika. Już niedługo, czyli za kilka lat, w księgarniach.

Historyk rzucił lustrujące spojrzenie na Dy-bowskiego w oczekiwaniu na pochwałę. Ta jednak dotarła z pokoju, w którym siedziała Kasia.

- Doskonałe hasło! Przydałbyś się nam jako copywriter! - krzyknęła. Stopniak ukłonił się w nieokreślonym kierunku.

- Niestety, wydania dzieł Kopernika nie planujemy - powiedział Dybowski, po czym spytał przyjaciela:

- Powiedzmy, że faktycznie chodzi o Retyka. Co ja mam z tym wspólnego? Dzwoni do mnie facet z daleka - rozumiem, że zza oceanu, bo powiedział, że u niego jest znacznie wcześniej - i chce rozmawiać o „Narratio prima”.

- Wydałeś moją - przepraszam, naszą - książkę o gdańskich legendach. Kilka słów poświęciliśmy tej bajce, jakoby zachował się egzemplarz księgi, na kartach której Kopernik odżegnał się od własnych tez. Tak na wszelki wypadek. Pamiętaj, że inkwizycja miała wów czas zapalki i dobrą podpałkę.

- A może od razu zapalniczki Zippo?

- Prawdę mówiąc, nie zastanawiałem się, jak podpalano stosy w XVI wieku - odparł Stopniak.

- Będę musiał uzupełnić tę lukę w mojej wiedzy. A zatem upowszechniliśmy pewną niesprawdzoną informację, uczciwie zaznaczając, że mamy do niej naukowy dystans.

Dybowski wzruszył ramionami:

- Oczywiście, za oceanem czytali naszą książkę i na jej podstawie od nowa piszą akademickie podręczniki.
- A czy ten twój wielbiciel fioletu jest wykładowcą Harvardu?
- Nie wiem, kim jest i czym się zajmuje.
- Może jest zwykłym świrem, łowcą sekretów, kolekcjonerem sensacji. Fascynują go tacy goście jak Kopernik, Galileusz, Giordano Bruno czy Tycho Brahe. Na pewno może godzinami dywagować na temat śmierci Brahe: zmarł od nadmiaru piwa czy też został otruty rtęcią. Jak wiesz, to nie jest takie oczywiste. Pewnie życiorys Leonarda da Vinci też mu nie jest obcy. A tacy mają zwyczaj dzwonić o każdej porze dnia i nocy. Słyszał o tej legendzie, dowiedział się, że wspomina o niej po ważne opracowanie napisane na zlecenie fundacji o zacnej nazwie i postanowił wyjaśnić sprawę.
- I dlatego przyjeżdża zza oceanu do Polski, żeby się ze mną spotkać?
- Nie bądź megalomanem. Pewnie będzie tu na aukcji koni, a z tobą spotka się na marginesie swoich prawdziwych interesów. Będiesz czymś w rodzaju wartości dodanej. Pasuje?

Dybowski pokręcił głową - nie przemawiała do niego wersja Stopniaka, ale też nie miał alternatywnej.

- Ale przecież powinien skontaktować się z tobą, formalnym autorem książki.

- Tak? A jak niby miał mnie znaleźć? A numer twojej komórki jest łatwo dostępny - zamieściłeś go na internetowej stronie wydawnictwa. Możliwe, że kiedy się spotkacie, padnie propozycja, abym i ja dołączył do waszej kompanii. Ale ja się nie napraszam, mam co robić.

Wydawca ciężko westchnął: - Wiesz, najprawdopodobniej facet nigdy więcej już się nie odezwie. Ostatecznie, nie byłem dla niego zbyt miły. Poza tym, znajdzie lepszych speców od zaginionych egzemplarzy starych książek.

W tym momencie na progu gabinetu pojawiła się Kasia, trzymając w ręku komórkę Dybowskiego.

- Łukasz, dzwoni jakiś Włoch, Stefano, na zwiska nie pamiętam. Chce z tobą rozmawiać.

Takich dreszczy emocji, jakie pulsowały w jej ciele, dotychczas nie znała.

Uświadomiła sobie właśnie, że choć w jej życiu miało miejsce wiele interesujących zdarzeń, to jednak żadne z nich nie mogło się równać z tym, które miała przed sobą.

Poza tym, przypomniała sobie uśmiechniętą gębę męża, gdy zaczynała mu robić awanturę o kolejną kochankę. Sadysta - jej gorycz sprawiała mu radość.

Fakt, jego zdrady przeżywała znacznie mniej emocjonalnie niż większość kobiet w podobnej sytuacji, ale mimo wszystko bolały ją, a przede wszystkim upokarzały. Nawet wtedy, gdy zrozumiała, że jej życiowy partner jest zwykłą śmieszną kreaturą, niewartą łez i rozpaczy.

Nie rekompensowały jej tego nawet sukcesy w pracy, choć jej znajomym wydawało się, że dziennikarstwo jest dla niej wszystkim.

Pracowała w jednym z wiedeńskich dzienników i zajmowała się problematyką naukową.

Przynajmniej raz w miesiącu spędzała czas na międzynarodowych konferencjach, a co kilka tygodni udawała się na wywiad do jakiegoś guru fizyki, chemii czy archeologii. Nierzadko za ocean. Luminarze nauki - przynajmniej płci męskiej - chętnie otwierali się przed piękną, cholernie inteligentną i czytaną kobietą, licząc na to, że i ona również się otworzy. Tak się jednak nigdy nie stało.

Pisała o nauce niezwykle kompetentnie, ale w sposób na tyle przystępny, że wielu czytelników zaczynało sobie stawiać pytania: czy nie popełniłem w życiu błędu? Czy nie trzeba było bardziej przykładać się do nauki i wybrać karierę naukową?

Mówiąc krótko - była gwiazdą swej gazety, jedną z najpoczytniejszych jej autorek.

Tymczasem sama czuła, że coraz bardziej wpada w rutynę, że ciągle pisze ten sam tekst, podstawiając nowe imiona i nowe dziedziny nauki w miejsce starych. Że wystarczy zamienić wykopalisko w Egipcie na nową teorię kwantową, a już będzie całkiem odmienna tematyka. Nawet stare wypowiedzi, typu „odkrywcy są przekonani, że wkrótce natrafią na trop kolejnych rewelacji” pasują do nowych artykułów.

Tak naprawdę wzruszał ją tylko Ótzi - w jakimś sensie jej rodak, tyle że z zamierzchłej

przeszłości. Gdy w 1991 roku, w lodowcu Południowego Tyrolu na granicy włosko-austriackiej zostało odkryte ludzkie ciało sprzed ponad trzech tysięcy lat, ona dopiero stawiała pierwsze kroki w dziennikarstwie. Dlatego to nie jej zlecono napisanie dużego reportażu o Ótzim, ale o wiele starszej, doświadczonej dziennikarce.

Na osłodę pozwolono jej napisać notatkę na podstawie agencji informacji - tak więc to ona (podpisana jedynie inicjałami) ogłosiła swym wiedeńskim czytelnikom tę rewelację, jakkolwiek tekst nie przekraczał dwóch tysięcy znaków. Wtedy to obiecała sobie, że zrobi wszystko, aby być numerem jeden, aby odkrycia naukowe były ważne głównie z tego powodu, że to ona o nich napisała.

Kilka razy odwiedziła Ótziego w muzeum w Bolzano - gdy patrzyła na niego, miała pewność, że on wszystko rozumie. Wie, że pomógł jej w karierze zawodowej. Uśmiechała się do niego, a on do niej - nie miała co do tego wątpliwości.

Bycie pierwszą damą gazety bawiło ją przez kilka lat, a potem zaczął jej doskwierać fakt, że ona jedynie relacjonuje, podczas gdy prawdziwymi bohaterami są odkrywcy i twórcy.

Teraz to ona miała do zaoferowania rewelację własnego chowu, nawet jeśli była podszyta lekким fałszem. Jednak ten fioletowy Stefano wy-

dał się zachwycony tym, co mu przekazała. Owszem, trochę kręcił nosem - bo przecież nie ma biznesu bez kręcenia nosem - ale widać było, że usta mu drżą, jakby za chwilę miały się rozciągnąć w pełnym uśmiechu.

Na razie przedstawiła warunki, a on odpowie w ciągu najbliższych dni - musi się skontaktować z tymi, na których zlecenie działa. A to bardzo poważni, bardzo bogaci i wpływowi ludzie.

Ale powiedział, że nie wierzy, aby chcieli wypuścić taką okazję z rąk. To tylko kwestia ceny oraz logistyki.

Gdy wyszedł na chwilę do toalety, zerknęła do książki, którą położył na stole. Nic oczywiście nie zrozumiała, bo była napisana po polsku, ale zapamiętała internetowy adres wydawnictwa. Nie wiedziała wprawdzie, do czego mógłby się jej przydać, ale skoro Stefano, mówiąc o transakcji, powoływał się na tę publikację, to może było warto zorientować się, co zawiera. A jeśli to była książka kucharska, a kontrahent chciał się jedynie popisać posiadaniem historycznych opracowań? Tak czy inaczej, postanowiła odwiedzić internetową stronę tej oficyny.

Gdy wrócił, pożegnali się i ona wyszła z Gundela, czując na swoich pośladkach jego wzrok.

Początkowo planowała powrót do domu jeszcze tego samego dnia - lot do Wiednia był 0 ósmej wieczorem. Ostatecznie, nic ją w Budapeszcie nie trzymało - nie znała tego miasta i nie miała ochoty na zwiedzanie. Początkowo...

Po rozmowie ze Stefano powzięła decyzję, że skoro zaczęła odmieniać swe życie, niech to, co dobre, zacznie się natychmiast. Cokolwiek to znaczy.

Zatrzymała taksówkę, wsiadła do środka i przez dłuższą chwilę nie wiedziała, dokąd ma jechać. Kierowca spokojnie patrzył na nią i nie spieszył - skoro wsiadła, niech nie wysiada. W końcu padnie jakaś dyspozycja.

- Hotel, jakiś dobry hotel... - powiedziała.

Taksówkarz zaśmiał się rubasznie i rozłożył szeroko ramiona: - Tu jest dużo hoteli, proszę pani.

- Chodzi mi o dobry hotel, nie musi być luksusowy, ale cztery gwiazdki - koniecznie. Aha i z tradycją. Nienawidzę nowoczesnych hoteli z aluminium i szkła.

- U nas jest dużo eleganckich hoteli z tradycją - taksówkarz domagał się sprecyzowania prośby.

Stało na tym, że to on wybierze hotel, zawiezie ją do niego, a ona nie będzie marudzić.

Po kilkunastu minutach jazdy mercedes zatrzymał się przy bulwarze Erzsebet, tuż pod głównym wejściem do imponującego pałacu z końca XIX wieku. Spojrzała przez szybę - od razu było widać, że Corinthia Grand Hotel jest bardzo drogi i ma więcej niż cztery gwiazdki. Taksówkarz w lot wyczuł jej rozterki, bo mrugnął porozumiewawczo okiem i powiedział: - Tu czasem mają promocje. A pani wygląda na osobę, która zasługuje na odrobinę luksusu.

- Dlaczego pan tak uważa?

- Widać, że pani za czymś tęskni. I to coś znajdzie pani w tym hotelu - zaśmiał się. - Na pewno stać panią na jedną noc albo i dwie. A co, myślę się?

Poklepała go protekcjonalnie po ramieniu, wręczyła mu trzydzieści euro, a on podał jej firmową wizytówkę: - Jakby pani była znowu w Budapeszcie, proszę skorzystać z mojej taksówki.

Przytaknęła i chwilę potem podawała recepcjonistce swoją kartę kredytową. Jednoosobowy pokój typu superior kosztował ponad dwieście euro za noc, ale gdy wkroczyła do niego - opuścił ją żal za utraconymi pieniędzmi.

Położyła się na wielkim łóżu, przykrytym bezową narzutą i powiodła wzrokiem po kremowych ścianach. Nad biurkiem wisiało olbrzymie

lustro w masywnych drewnianych ramach. Wstała i podeszła do niego - tym razem zobaczyła kobietę, która zaczyna promienieć, choć do pełni szczęścia brakuje jej jeszcze wiele. Bardzo wiele.

Ale nareszcie wkroczyła na właściwą drogę i żadna siła jej z niej nie wypchnie.

Chyba, żeby...

Nie - nie ma takiej siły.

Wydobyła z torebki wizytówkę, którą wręczył jej taksówkarz, i wybrała numer.

* * *

Kurs był krótki - taksówka zatrzymała się już po kilku minutach przy jednej z uliczek odchodzących od alei Barossa.

- Niech się pani dobrze bawi. Raz w życiu można się zapomnieć - powiedział kierowca i pokręcił głową, gdy wręczała mu banknot. - Proszę mi nie płacić. Powiedzmy, że to była przysługa starego budapeszteńskiego przyjaciela.

Uśmiechnęła się najpiękniej, jak potrafiła, schowała pieniądze do torebki i wysiadła.

Nocny klub „Donna S.” nie miał nad wejściem żadnego szyldu, a jedynie niewielką lata-renkę, z której snuło się delikatne różowe światło. Zadzwonila. Drzwi otworzył jej rosły

mężczyzna ostrzyżony na jeża w czarnym garniturze. Popatrzył na nią, a następnie na dobrze sobie znaną taksówkę. Jej kierowca pomachał do ochroniarza, a ten ruchem ręki zaprosił kobietę do środka.

Zeszła wąskimi schodkami do podziemia - to tam biło serce jednego z najbardziej znanych klubów erotycznych stolicy Węgier. W spowitej półmrokiem sali znajdowało się kilkadziesiąt osób. Zdziwiło ją to, że mniej więcej połowę stanowiły przedstawicielki piękniejszej płci. Wielu z nich nie towarzyszył żadnej partner - doskonale bawiły się same, choć prawdopodobnie liczyły na to, że drugą część nocy spędzą w czyichś objęciach. Męskich? Niekoniecznie...

Z głośników płynęła muzyka, której nigdy wcześniej nie słyszała, ba - nie potrafiła jej przypisać do żadnego gatunku. Była to przedziwna mieszanka elektroniki, muzyki klasycznej i funky, natomiast wokalista, bo nie było wątpliwości, że śpiewa mężczyzna, najwyraźniej naśladował kobietę. Nigdy wcześniej nie słyszała kompozycji zespołu „Anthony and the John-sons”.

Podeszła do niej hostessa i z wystudiowanym uśmiechem lalki Barbie zapytała, jakie są jej oczekiwania wobec baru „Donna S.” - czego się napije, czy chce obejrzeć show, a może jest zain-

teresowana udziałem w prywatnym pokazie prysznicowym.

- Prysznicowym? - Zdziwiła się, nie mając pojęcia, o co chodzi.

Hostessa wytłumaczyła, że jest to nowa, ale już bardzo popularna w tym miejscu, zabawa. Piękna pani tańczy, myjąc się pod prysznicem, a klient bądź klientka może się przyglądać, ale także przyłączyć. Bądź co bądź, higieny nigdy za wiele. Można zamówić sobie panią o rysach nordyckich, prawdziwą ognistą Węgierkę, ale także tancerkę z Dalekiego Wschodu i z Afryki.

- Brzmi zachęcająco, ale wołałabym, aby to był pan - odparła, choć na myśl o wspólnej kąpieli z kobietą poczuła dreszcz podniecenia.

Hostessa zmarszczyła brwi - niestety, nie mieli do dyspozycji tancerza. To się oczywiście da załatwić za dodatkową opłatą, rzecz jasna, ale musiałyby poczekać. Nawet kilka godzin.

- Wobec tego może być pani, Węgierka albo murzynka - odparła nonszalancko, jakby homoseksualne przygody nie były jej obce. A były obce - irracjonalnie bała się lesbijek i nigdy wcześniej nie wyobrażała sobie, że kiedyś pozwoli się pieścić innej kobiecie. Teraz też sobie tego nie wyobrażała, ale coś jej podpowiadało, że to może być fascynujące przeżycie. W każdym razie nie należy się przed nim bronić, skoro zdecydowała

się tu przyjść. A było oczywiste, że wiele klientek tego osobliwego miejsca pali się do wspólnej kąpieli z tancerką.

Poczuła, że wystarczą dwa, trzy drinki, a opuszczą ją wszelkie wątpliwości i zahamowania.

Hostessa zaprowadziła ją do baru i obiecała, że wkrótce wróci, by zabrać ją na prywatny show.

Zamówiła podwójną whisky, bez lodu i jakichkolwiek dodatków. Po chwili szklanka była już zupełnie pusta i domagała się repety. Gdy roznegliżowana barmanka wlewała alkohol, ośmieliła się spojrzeć na scenę ulokowaną za barem - dwie panie powoli zrzucały kolejne części garderoby, namiętnie spoglądając na siebie. Miały do odegrania scenę przypadkowego spotkania w trudnym do zidentyfikowania miejscu. Powiedzmy, że na plaży. Gdy pozostały już tylko w stringach, przytuliły się do siebie i spoiły w gorącym pocałunku. Jedna z nich ułożyła się na ławeczce (a może to był park, a nie plaża?), a druga zsunęła z niej majtki i wsunęła swą głowę między jej uda. Imitacja kontaktu oralnego trwała kilka minut, co doprowadziło widownię do wrzenia. Także leżąca tancerka zaczęła się wic niczym podłączona do prądu i przejmująco jęknęła.

Wówczas przyjaciółka podała jej różowego fallusa, który natychmiast stał się instrumentem wspólnej zabawy i czule pogłaskała ją po piersiach.

Patrzyła na tę scenę z rosnącym oczarowaniem - nie zdawała sobie sprawy, że stosunek damsko-damski może wzbudzić u niej takiej emocje. Wychyliła kolejną szklankę whisky. Jej serce biło jak oszalałe, jak nigdy.

Wtedy poczuła na ramieniu delikatny dotyk czyjejś dłoni. To była hostessa, która przyszła z dobrą nowiną.

- Klara jest już gotowa - powiedziała, wzięła dziennikarkę za rękę i zaprowadziła do jednego z pokoi znajdujących się w górnej części lokalu.

Panowała w nim niemal totalna ciemność - mrok rozświetlała jedynie mała świeczka stojąca na podłodze, tuż obok fotela.

- Proszę wygodnie usiąść i czekać - szepnęła hostessa i wyszła z pokoju. Z głośnika, zamiast muzyki, popłynął odgłos szumu fal.

Po chwili, gdy się rozjaśniło, zobaczyła kabinę prysznicową, w której stała czarnowłosa piękność, zupełnie niezwracająca uwagi na widza. Po jej ciele spływała woda, tryskająca spod prysznic. Tancerka powoli namydliła nogi, potem piersi, a na koniec pośladki. Wtedy spojrzała w stronę jednoosobowej widowni.

- Och, nie jestem sama - pisnęła w nienaganym angielskim. Hostessa najwyraźniej poinformowała ją, że klientka posługuje się tą właśnie mową.

Kiwnęła głową, ale nie odpowiedziała. Czekwała na rozwój wypadków, jednak nie miała wątpliwości, że stanie się coś, czego nigdy wcześniej nawet nie brała pod uwagę. Była gotowa do podróży w nieznane.

- A może się mylę, może nikogo tu nie ma? - Klara uśmiechnęła się figlarnie i wplotła swe dłonie we włosy. Popatrzyła wokół i zatrzymała wzrok na dziennikarce.

- Mam gościa, piękną kobietę, to nieczęsto się zdarza.

- Bez przesady, jestem stara, a do tego nie zbyt atrakcyjna. Tak przynajmniej uważa mój mąż - padło z widowni.

- Ale jego tu nie ma, prawda?

- Całe szczęście. Nawet nie wie, że tu jestem.

- I niech tak zostanie. Jesteśmy tu tylko dwie i nie potrzebujemy żadnych głupków.

- Głupków?

- Bez urazy, ale jeśli twój mąż uważa cię za niezbyt atrakcyjną, to jak inaczej mam go nazwać?

- Nie mówmy o nim...

- Ale ty też nie jesteś zbyt mądra. Naprawdę uważasz się za starą? - tancerka stawiała pyta-

nia, nie przestając masować swych ramion olejkami kąpielowymi.

- Wszyscy uważają mnie za... bardzo dojrzałą. A to przecież eufemizm.

- Dojrzała nie znaczy stara. Zresztą chodź tu bliżej, niech ci się przyjrzę.

Powoli uniosła się z fotela, zrobiła niepewnie dwa kroki w stronę osobliwej sceny i zatrzymała się.

- No, co jest? Boisz się mnie? - Klara zmarszczyła brwi.

- Nigdy tego nie robiłam...

- Brudaska, nigdy się nie kąpała. No, to najwyższy czas zacząć. Rozbierz się, przecież nie wejdiesz pod prysznic w ubraniu.

Zrzuciła z siebie wszystko.

Pomyślała, że jest to nagość istoty nowonarodzonej — że kiedy już będzie po wszystkim, ubierze się w nową tożsamość. I nie poczuje więcej wstydu.

Wsunęła się do kabiny prysznicowej i poczuła cudowne ciepło spadającej wody oraz delikatność ciała swej przewodniczki po nowej rzeczywistości. Tancerka pocałowała ją w usta, a potem szepnęła do ucha:

- Wspólna kąpiel jest dodatkowo płatna. Jeszcze możesz się wycofać, choć sprawiłoby mi to przykrość.

- Nie pozostawiasz mi wyboru. Zresztą właśnie przestałam się wycofywać.

- Jak masz na imię?

- Anna.

- A na nazwisko?

Chciała skłamać, podać pierwsze lepsze nazwisko, tym bardziej, że Klarze musiało to być obojętne, ale rozmyśliła się i powiedziała prawdę.

- Anna Schiegl.

W kościele - oprócz Dybowskiego - nie było nikogo.

Nie miał pojęcia, dlaczego tajemniczy nieznajomy zaproponował, a właściwie - wyznaczył spotkanie w tej świątyni, znajdującej się w samym sercu lasku bielańskiego.

Skąd w ogóle wiedział o istnieniu pokamedulskiego kościoła pod wezwaniem Niepokalanego Poczęcia Najświętszej Marii Panny i dlaczego zapragnął rozmawiać o Koperniku właśnie tu?

A może to wcale nie chodzi o Kopernika? Może wszelkie domysły miały się nijak do rzeczywistych intencji Stefano Parrezio? Tak czy inaczej, czekał, wodząc wzrokiem po śnieżnobiałych ścianach barokowego kościoła.

- Modlić się tu, to czysta przyjemność. Duchowość połączona z hedonizmem - usłyszał za plecami. Odwrócił się. Tuż za nim stał siwiejący mężczyzna o bałkańskiej urodzie, w wieku mniej więcej pięćdziesięciu pięciu lat, ubrany w garni-

tur koloru - jakżeby inaczej? - fioletowego. Ale to nie był odpustowy fiolet - to była prawdziwa elegancja z lekką nutą ekstrawagancji.

- Ma pan rację, ale jakoś nie przyszło mi do głowy, aby się teraz modlić - odparł Łukasz, ścisnąc miękką dłoń Włocha.

- Czemu, czy jest pan niewierzący?

- A co to ma do rzeczy?

- Bardzo wiele, oczywiście z pańskiego punktu widzenia. Wiara pomaga żyć, podejmować decyzje, a także - Parezzio uśmiechnął się szelmowsko — pogodnie rozstawać się z tym światem.

- Rozumiem, że pan często rozmawia z Bogiem?

Włoch wzniosł oczy ku niebu niczym święty Franciszek z obrazu Zurbarana. - Rozmawiam bardzo często. Ale czy to znaczy, że się modlę? Sądzę, że w moim wieku mogę sobie pozwolić na bardziej swobodną formę pogawędki niż czoło-bitna modlitwa. Może w ostatniej godzinie zwrócę się do Niego w sposób bardziej formalny. Ale póki co...

- Póki co, chciałbym wiedzieć o co chodzi, co my tu robimy? - Dybowski postanowił przejść do rzeczy, choć czuł, że to nie on będzie rozdawał karty w trakcie tej rozmowy. Nie mylił się.

Parezzio siadł w ławce i pokiwał głową.

- Wszystkiego pan się dowie, ale to bardzo skomplikowana sprawa.

- Skoro fatygował się pan do mnie z daleka, to znaczy, że warto się nią zajmować.

- Święta racja, gra toczy się o dużą stawkę. A duże stawki wymagają dużych poświęceń.

- A konkretnie?

Parezzio spojrział na Dybowskiego z udawanym wyrzutem: - Ależ pan w gorącej wodzie kąpany. Przyjeżdżam tu do pana z daleka, muszę wyjaśnić panu kilka trudnych kwestii, a pan chce, abyśmy rzecz załatwili od ręki. A tak się niestety nie da. Czasami warto dochodzić do sedna krętymi drogami - podróżni przyzwyczajają się do drogi, dochodzą do wniosku, że jest lepsza i bezpieczniejsza od najkrótszej trasy. Jeśli zatem zwlekam z wyjaśnieniem, o co mi chodzi, robię to w pana interesie. Ale dobrze, rozumiem, że nie ma pan dla mnie zbyt wiele czasu. Zaczynajmy.

Włoch wyciągnął z kieszeni marynarki białą chustkę i wytarł nią lekko spocone czoło.

- Podczas naszej rozmowy telefonicznej użyłem terminu „przedstawienie pierwsze”.

- Tak jest, sądzę, że chodziło panu o „Narratio prima” Joachima Retyka.

Parezzio zagwizdał przeciągle, a echo powtórzyło jego gwizd: - Niezły z pana zawodnik, bravo, rzeczywiście o to mi chodziło.

- Właściwie powinien pan powiedzieć „pierwsza opowieść”, ale dałem sobie radę z tą zagadką. W końcu przyznał pan, że chodzi o pewnego faceta z Fromborka.

- No tak, a pan jest wybitnym specjalistą od Kopernika, nieprawda?

Dybowski spuścił wzrok niczym nastolatka, której podstarzały wujek powiedział, że ma piękne oczy.

- Bez przesady, jestem tylko wydawcą. Prawdziwym specjalistą jest autor książki o...

- Znam tę pozycję, mam nadzieję, że będę miał okazję poznać także pana Huberta Stopniaka. Ale na razie prowadzimy rozmowy wstępne. Na tym etapie wystarczy mi obecność pana, panie Łukaszu.

- Jestem do pana dyspozycji. W czym mogę pomóc?

- Pyta pan, jak panienka z centrali telefonicznej jakiejś firmy usługowej. Tak, może mi pan pomóc. Powiem więcej: nie wyjadę z Warszawy, dopóki mi pan nie obieca tej pomocy. Proszę mnie posłuchać - interesuje mnie wyłącznie zaginiony egzemplarz „Narratio prima”, na którym Kopernik odręcznie odżegnał się od swoich heliocentrycznych poglądów. Niby nic w tym dziwnego, że XVI-wieczny kanonik zabezpiecza się na wypadek nieprzyjemności ze strony in-

kwizycji, ale przecież Kopernik zawsze uchodził za człowieka niezwykle odważnego. Pan wie, że miał złamany nos?

- Sądzi pan, że stało się to na jakimś ringu? Nauka milczy na temat bokerskich skłonności doktora Mikołaja.

- Ale nie ma wątpliwości, że jego brat Andrzej miał smykałkę do ulicznych burd. Można więc śmiało założyć, że Mikołaj towarzyszył bratu w jego konfrontacjach z innymi rozrabiakami. Ale nie o boks mi chodzi.

- Chodzi panu o to, że Kopernik tak naprawdę był tchórzem. Mam rację?

- To zbyt uproszczenie. Pójdźmy na kompromis - był asekurantem. I nie potępiajmy go, bo to nie nasza rola. Do rzeczy - egzemplarz „Narratio prima” z takim wpisem to nie lada rarytas dla bibliofilów. Bogatych bibliofilów, bardzo bogatych.

Parezzio zmierzył Dybowskiego przenikliwym spojrzeniem, jakby chciał podkreślić, że bogactwo bibliofilów jest w tej rozmowie kluczowe.

Dykowski wzruszył ramionami: - Jeśli czytał pan wydaną przeze mnie książkę, to wie pan, że mowa o legendzie czy raczej plotce. Nie jestem w stanie dać panu słowa honoru, że taki egzemplarz istnieje i czy kiedykolwiek istniał.

Parezzio wznosił prawą rękę jak do przysięgi: - A cóż to jest honor? Czy my w ogóle cokolwiek

wiemy na pewno? Jedno, czego jestem pewien, to to, że ten kościół jest bardzo piękny.

- Dlatego wybrał go pan na miejsce spotkania?

Włoch uśmiechnął się tajemniczo: - Lubię wiedzieć, na czym stoję. Sprawdziłem, gdzie znajduje się siedziba pana wydawnictwa i, żeby pana nie fatygować, wybrałem pobliski kościół. A, że przy okazji jest to piękna świątynia... Oczywiście jest pan świadom, że na zakrystii można obejrzyć cudowne freski Michelangelo Palloniego? Wspaniały malarz, taka szkoda, że opuścił Toskanię i wyjechał do Polski. Może to niegrzeczne z mojej strony, ale ja takiej postawy mnie rozumiem - bardzo ładnie tu u was, w Polsce, ale jednak co Toskania, to Toskania. To co, widział pan te malowidła?

Dybowski pokręcił przecząco głową - nie miał pojęcia o freskach i nigdy nie słyszał o tym artyście.

- Wróćmy do zaginionego egzemplarza „Narratio prima” - odezwał się po chwili milczenia. - Opublikowałem pewną wersję, po raz pierwszy ogłoszoną przez profesora Heinza Schultza kilka miesięcy temu. Nie biorę odpowiedzialności za to, co powiedział dziennikarzowi.

- A powiedział, że dotarł w Uppsali do „Narratio prima” z odręczną notatką Kopernika, tyle,

że nie był w stanie jej nabyć. Jakoś tak - biedaczek — zapomniał, w którym antykwariacie - odparł Parezzio i przeżegnał się. - Świeć panie nad jego duszą - dodał ze śmiertelną powagą.

- Zmarł?

- To pan nic nie wie? Niestety, popełnił samo bójstwo. Nie sądzę, aby miało cokolwiek wspólnego z księgą Retyka. Sam pan rozumie, na ukowcy mają nierówno pod sufitem, wpadają w desperację z byle powodu. A może powody profesora Schultza wcale nie były błahe? Tego się nie dowiemy: tajemnicę swojej śmierci profesor zabrał do grobu.

Dybowskiego przeszył dreszcz - po raz pierwszy odniósł wrażenie, że jego rozmówca może wcale nie być świrem na punkcie historii, ale wysłannikiem jakichś szemranych sił.

- Miał pan okazję poznać profesora Schultza?

- spytał Włocha.

- Nie, za szybko nas opuścił - odparł Parezzio.

- Czy to znaczy, że jestem następny na pana liście?

- Pan reprezentuje zupełnie inną listę - Włoch położył dłoń na ramieniu wydawcy i spojrzał mu głęboko w oczy. - Ale nic nie stoi na przeszkodzie, aby znalazł się pan na tej pierwszej.

- Czy to groźba?

- A czy ja wyglądam na gangstera? Proszę się nie obawiać, na pewno dojdziemy do porozumienia. W skrócie wygląda to tak: profesor Schultz ogłosił rewelację, która zainteresowała kilku bogatych kolekcjonerów. Powiedzmy, że mowa o bardzo bogatych ludziach z Nowego Jorku. A ja, przynajmniej w pewnych kręgach, jestem znany jako facet, który potrafi dotrzeć do dzieł sztuki czy antykwarycznych białych kruków i umożliwić ich zakup. „Narratio prima” należy do takich właśnie rarytasów. Jakiś czas temu umówiłem się z profesorem Schultzem na rozmowę, ale kiedy dotarłem do Moguncji -już nie żył.

- A ja wciąż żyję, jeden zero dla mnie - zażartował nieco drżącym głosem Dybowski.

- No właśnie, czyli, że świat wyznaczył panu inną rolę niż profesorowi. Jedźmy dalej. Wkrótce po śmierci Schultza pojawia się niezwykle tajemnicza kobieta. Posiada „Narratio prima” z wyznaniem Kopernika i jest gotowa sprzedać księgę. Oczywiście, za bardzo duże pieniądze. Skąd ma egzemplarz? Tego na razie panu nie powiem, bo brzmi to jak bajka. Jeśli zgodzi się pan ze mną współpracować, być może wyjawię panu ów sekret.

- Ukradła profesorowi? Zabiła go? - zgadywał Dybowski, nie mając wątpliwości, że prawda jest zupełnie inna.



- Ależ nie, to delikatna, bardzo krucha kobieta. Jednocześnie niezwykle sprytna. Okazuje się, że знаła profesora i wspólnie z nim wymyśliła bajeczkę o antykwariacie w Uppsali.

- Po co?

- Zarzucili przynętę jak dobry wędkarz. Ci, których interesuje ten egzemplarz „Narratio prima”, natychmiast zainteresowali się opowieścią Schulzta. Nie uwierzyli, że tak łatwo odpuścił sobie tę księgę. To było jasne - żadna Uppsala, żaden antykwariat. Znalazł ją zupełnie gdzie indziej. To było ogłoszenie reklamowe: mam do sprzedania cenną księgę albo wiem, gdzie jej szukać i czekam na oferty.

- Czy znaczy to, że owa tajemnicza kobieta działała początkowo w zмовie z profesorem, a potem zleciła jego zabójstwo, żeby zgarnąć całą pulę? Kruche istoty nie likwidują same, ale przy pomocy bardziej odpornych osobników. Wiadziałem kilka filmów o podobnej akcji.

Parezzio ruchem głowy wskazał konfesjonał stojący w lewej nawie: - A gdyby pan wiedział, jakie filmy oglądają spowiednicy...

- Nie rozumiem.

- No, może niezupełnie oglądają. Ale historie, jakich się dowiadują od skruszonych wiernych, są lepsze od niejednego filmu. Wracając do pańskiego pytania — być może w filmie tak by się

stało. Ale to nie film, a scenariusz pisze życie. I czasami wymyka się on spod kontroli autora. Tak właśnie stało się z nieszczęsnym profesorem, który popełnił samobójstwo. Dlaczego? Tego nie wiemy. Tak czy inaczej, ominęła go spora sumka. Niech mnie pan nie pyta, czy w związku z tym zysk przypadnie w całości pani, której nazwiska na razie nie zdradzę. I jeszcze wielu innych rzeczy panu nie zdradzę. Powiem natomiast coś, co pana zainteresuje.

- Nie mogę się doczekać - szepnął Dybowski, czując, że znalazł się w środku gangsterskiej rozgrywki. Nagle do jego uszu dobiegła dobrze znajoma melodia - pierwsze takty fugi d-moll Bacha. Odruchowo sięgnął do kieszeni, w której spoczywał telefon komórkowy. To jednak nie był sygnał dzwonka - organista, przygotowujący się do wieczornego koncertu trenował dzieło mistrza, aby osiągnąć doskonałość.

- Koncert w tym kościele to musi być niezwykłe przeżycie - gloria baroku w środku, a na zewnątrz gęsty las. Mówiąc szczerze, nie przepadam za klasyką, ale „O sole mio” czy „Ave Maria” robią na mnie piorunujące wrażenie. Verdi też napisał kilka pięknych arii. Mam w samochodzie składankę z jego oper.

Jak to leciało? La donna a mobile, qual piuma al vento, muta d'accento - e di pensiero... To

z „Bigoletto”. Albo to: Libiamo, libiamo, ne' lieti
calici, che la bellezza infiora... „La Traviata”
-też piękne dzieło. Dla nas, Włochów, opera to
świętość.

Dybowski spojrzał na Parezzio z niedowierza-
niem - czy to możliwe, aby facet, który przedsta-
wia się jako biznesmen reprezentujący bogatych
klientów, tak łatwo zapominał w jakiej sprawie
tu się spotkali? A może to z jego strony gra? Ce-
lowe unikanie walki przed wyprowadzeniem
kończącego ciosu? Dybowski jako kick-bokser
nieraz dał się oszukać przeciwnikowi, czego
skutkiem były fioletowe poduszeczki pod oczami.
Poza tym, Al Capone też uwielbiał operę. Podobno
nawet potrafił uronić łzę podczas spektaklu.

- Ja natomiast kocham klasykę i mam w sa-
mochodzie ponad sto płyt z muzyką barokową,
w tym żadnej składanki - odparł dobitnie, nie
mał prowokacyjnie. - Czego pan ode mnie chce?
- Spytał mocnym głosem. Mówiąc po angielsku,
czuł się jak aktor w amerykańskim filmie akcji.

- Przysługi. Owszem, odrobinę absorbującej,
ale przyjemnej — bo nie wątpię, że lubi pan robić
to, o co poproszę - a przede wszystkim wysoko
płatnej.

- To brzmi dobrze.

- I dobrze smakuje. Otóż jako wydawca, a po-
dejrzewam, że i w jakiejś mierze współautor

książki „Złota legenda Gdańska”, nie odmówi pan jej kontynuacji?

- Kontynuacji? Co pan ma na myśli? - Dybowski zerknął z niedowierzaniem na swego rozmówcę.

- Skoro mógł pan wydać dzieło za pieniądze jakiejś fundacji, przy całym dla niej szacunku, nie odmówi pan tego samego prywatnym inwestorom?

- Ależ ja nie mam niczego do dodania. Nie przewiduję żadnej kontynuacji.

Twarz Parezzio nabrała rumieńców: - Bo nie ma pan pomysłu, a my mamy - powiedział. - Skoro mógł pan zasugerować, a w oczach wielu - legitymizować istnienie podpisanego przez Kopernika egzemplarza „Narratio prima”...

- To nieprawda, niczego nie legitymizowałem. Napisaliśmy wyraźnie: to niesprawdzona teoria, bajka, bujda - przerwał gwałtownie Dybowski i zerwał się na równe nogi. Parezzio uśmiechnął się dobrodusznie i poklepał go po tyłku z serdecznością człowieka południa. Kontynuował:

- ...może pan z równym skutkiem postawić kropkę nad „i”. Pan i pański kolega przeprowadziliście badania, poszperaliście tu i ówdzie, archiwa Europy przestały mieć dla was jakiegokolwiek tajemnice i doszliście do oczywistego wniosku: ten egzemplarz istnieje.

-
- Istnieje? - powtórzył ogłupiały Dybowski.
 - Naturalnie i wy, jako pierwsi, opublikujecie stronę z odręcną notatką Kopernika. Napiszecie, że to pochodzi ze zbiorów prywatnych, właściciel nie zgodził się na ujawnienie swoich personaliów.
 - To przecież jakaś horrendalna afera!
 - Ależ skąd, to po prostu zwykły dokument. Jeden z miliarda, jakie wyprodukowała ludzkość
 - Parezzio podsunął Dybowskiemu pod nos kartkę z komputerowym wydrukiem. Ten spojrzął i na moment utracił umiejętność oddychania.
 - Robi wrażenie, prawda? - Syknął Parezzio.
 - A to dopiero początek.
 - Czego początek?
 - Astronomicznej rewolucji na rynku antykwarycznych klejnotów - Parezzio wstał z ławki i zmierzył wydawcę surowym wzrokiem.
 - W sprawie szczegółów odezwę się wkrótce. To jasne, że będziemy współpracować przy powstawaniu tej książki. Proszę nie zmieniać numeru telefonu, bo mam coraz gorszy wzrok i nie lubię wpisywać nowych kontaktów.
 - Ale dlaczego akurat ja? Reprezentuję małe wydawnictwo, nic nieznaczące dla pańskich mocodawców. Nie lepiej z tym pójść do jakiegoś cenionego, znanego na świecie wydawcy? A najlepiej do gazet?

- Na wszystko przyjdzie czas. Uznaliśmy, że będzie dobrze dla sprawy, jeśli rewelacja została po raz pierwszy ujawniona przez tych samych autorów i tę samą oficynę, którą wybrała Fundacja Promocji Miast Historycznych. A jej szefowie przecież musieli znać prawdę, no nie? Myśli pan, że ich przeceniam? Bądźmy dobrej myśli... Na koniec dodam tylko, że nie lubię, kiedy mi się odmawia. Ludzie, których reprezentuję, także tego nie lubią. Ale pan przecież nie odmówi.

Parezzio puścił oko do Dybowskiego i ruszył niespiesznym krokiem w stronę wyjścia.

- Proszę tu zostać i jeszcze się pomodlić. To ja będę pana szukał, a nie pan mnie - powiedział złowrogo Włoch, a echo jego głosu zakołatało pod sklepieniem.

Gdy Dybowski wyszedł z kościoła, czarny le-xus skręcał w aleję biegnącą przez las.

Z wnętrza świątyni dobiegał majestatyczny śpiew organów.

- I niby my mamy udowodnić, że istnieje egzemplarz „Narratio prima” z odręcznym zapewnieniem Kopernika, że nie ma nic wspólnego z treścią tej książki? Że Retyk, dążąc do osiągnięcia naukowej kariery w protestanckim świecie, podparł się autorytetem naszego astronoma i popełnił wredną mistyfikację? A Kopernikowi udało się wyrazić swoją opinię tylko na jednym egzemplarzu?

- Jeśli to wszystko jest prawdą, to intencja Retyka i Kopernika była zupełnie inna. Nasze mu astronomowi, bądź co bądź funkcjonariuszowi Kościoła katolickiego, nie bardzo wypadało zaprzeczać podstawowym doktrynom swojej firmy. A doktryna była taka, że Pan Bóg stworzył Ziemię jako najważniejszą z planet, swego syna uczynił jej mieszkańcem, więc nie mogła być jedynie mało ważną częścią jakichś większych układów. Zaprzeczanie tym oczywistym prawdom mogło się wiązać z dużymi nieprzyjemno-

ściami dla kanonika. Fakt, z prowincjonalnego, warmińskiego biskupstwa, ale we Fromborku też dałoby się ustawić jakiś mały stos albo pręgierz. A już na pewno można było Kopernika zamknąć w jednej z wież, a tych we Fromborku nie brakowało, aby przemyślał pewne sprawy i nabrał rozumu.

- Ale w 1540 roku, kiedy po raz pierwszy ukazało się „Narratio prima”, Kopernik zbliżał się do siedemdziesiątki. Kto by chciał karać starego, zasłużonego dla Kościoła człowieka?

Dybowski uśmiechnął się i sięgnął po kufel z piwem. W gorący lipcowy dzień poszedł wraz z Hubertem do bielańskiego baru „Karuzel”, by się ochłodzić, a przy okazji porozmawiać o przedziwnej propozycji włoskiego biznesmena.

„Karuzel” tylko w niewielkim stopniu przypominał prawdziwy bar, był raczej elementem dekoracji kiepskiego teatru, do którego aktorzy znieśli z domu, co mieli pod ręką- ten przyniósł stare krzesło, inny - rozsypujący się fotel, jeszcze inny podarował scenie lampę z biurka dziadka. Jednak piwo było zimne, a stoliki wystawione do ogrodu, co stanowiło wystarczający powód, by bywać w tym specyficznym, zaimprovizowanym naprędce lokalu. A przede wszystkim, mieścił się o kilkadziesiąt kroków od siedziby wydawnictwa.

- Kto by chciał karać? Myślę, że zarówno hierarchia, jak i inni kanonicy, którzy zazdrościli Kopernikowi sukcesów na wielu polach. Nawet jeśli nie byli w stanie zrobić mu krzywdy, to jednak mogli o tym marzyć. A, jak wiesz, marzenia czasami spełniają się automatycznie. Zresztą bądźmy sprawiedliwi - ówczesni luteranie również uważali heliocentryzm za niezgodny z Biblią absurd, a więc Retyk także ryzykował - odparł Dybowski. Po chwili dodał: - Ale co nam do tego? Teraz to mamy problem, całkiem poważny.

- Myślisz, że nie uda się nam napisać takiej książki?

- Myślę, że jeśli jej nie napiszemy, to nam na piśmie - epitafium na grobach - Dybowski uśmiechnął się gorzko i skinął głową na kelnerkę. Jedno piwo nie zaspokoilo jego pragnienia ani nie wyciszyło niepokojów. - Rzecz w tym, że wymagają od nas czegoś niemożliwego. I z naukowego i, przede wszystkim, moralnego punktu widzenia.

- Udowodnić da się wszystko, najlepszym przykładem nasze tabloidy. Jeśli jest teza do udowodnienia, to znajdą się też dowody. Choćby zmyślone.

- Ale przecież nie chcemy brać udziału w czymś takim?

Stopniak rozłożył ręce i zrobił minę bezradnego dziecka:

- Skoro sam twierdzisz, że mamy do czynienia z gangsterami, którzy prowadzą negocjacje handlowe przy pomocy broni palnej, ale płacą godziwe pieniądze...

- Widzę, że cię to nie przeraża. Ty chyba nie rozumiesz, o co tu się gra. O księgę wartości kilku, a może i kilkunastu milionów euro. Dla takiej sumy warto zabić. A my zostaliśmy - choć bez naszej woli - dopuszczeni do pewnego sekretu. I teraz albo działamy z nimi, albo...

Dybowski przesunął dłonią po szyi, dając do zrozumienia, że mafia preferuje szybkie, sprawdzone od wieków rozwiązania.

- Takie rzeczy dzieją się tylko w filmach — odparł Stopniak, ale i jemu mina zrzędała.

- Nonsens, dzieją się naprawdę. Częściej film wzoruje się na życiu, niż życie na filmie. Uwierź mi, rozmowa z Parezzio nie należała do miłych, choć facet był cały czas uśmiechnięty. Uśmiechem kogoś, kto ma przewagę, poczucie siły. Nie powiedziałem ci jeszcze najważniejszego: ten egzemplarz istnieje. Nawet jeśli jest mistyfikacją.

Stopniak wybałuszył oczy i wydukał:

- A skąd ty to możesz wiedzieć?
- Bo widziałem.
- Księgę?

- Nie całą, reprodukcję najważniejszej strony. Tej, na której Kopernik napisał po łacinie zaskakujące słowa.

Stopniak pokręcił głową, gryząc chipsa. - Czyli to prawda?

- Albo coś, co ma się stać prawdą, także dzięki nam. Rzecz w tym, że jak raz wdepniemy w to gówno...

- Może powinniśmy pójść na policję?

- Obawiam się, że już od dawna jesteście śledzeni, wszystko o nas wiedzą. Rzeczywiście, można zaprosić do domu dzielnicowego i opowiedzieć mu o przekręcie, ale podejrzewam, że zaleci nam ostrożność i informowanie go o kolejnych telefonach od Parezziego. A potem skieruje nas do znajomego psychiatry. Straż miejska też raczej odpada.

Stopniak milczał - patrzył na tłum ludzi wylewający się ze stacji metra Stare Bielany. Groza sytuacji zaczęła do niego docierać z szybkością rozpędzonej podziemnej kolejki. Kiedy uświadomił sobie, że i z nim chciał się spotkać włoski biznesmen, poczuł na czole kropelki potu.

- O „Narratio prima” wiem dość dużo - jęknął nienaturalnym głosem. - Wystarczy, żeby ukuć jakąś zgrabną historyjkę. Jest bardzo wiele opracowań na ten temat, są tomy korespondencji Kopernika. Szkoda, że nie współpracuje z na-

mi twój autor, Robert Miller - on wiedziałby, jak stworzyć wiarygodną fikcję.

- „Narratio prima” zostało wydane w 1540 roku, w gdańskiej drukarni Franza Rhodego. Nie znam wysokości pierwszego nakładu i nie wiem, gdzie się mieściła drukarnia, ale to pewnie można ustalić, bo taka informacja powinna się znaleźć w książce - Dybowski przygotował się do tej rozmowy i poszukał w Internecie podstawowych informacji na temat dzieła Joachima Retyka.

- Czyli jednak jesteś gotowy do udziału w tej grze? - spytał retorycznie Stopniak, choć wiedział, że raczej nie mają wyboru.

Dybowski nie odpowiedział na zaczepkę i kontynuował swój wykład: - Swoją drogą ciekawe, dlaczego dzieło, sygnowane przez Kopernika czyli „De revolutionibus orbium coelestium” nie zostało także wydrukowane w Gdańsku ale w Norymberdze. Mniejsza o to. Wydanie „Narratio prima” było poprzedzone rocznymi debatami Retyka i Kopernika, prowadzonymi we Fromborku i w Lubawie. Przyjechał do Kopernika jako wysłannik swego duchowego mistrza - Filipa Melanchtona. Miał poznać punkt widzenia Kopernika, ale nie stawać się jego zwolennikiem. A jednak... To ciekawe, że chłodno myślący matematyk, zwolennik tradycyjnego pojmowania świata tak bardzo dał się

przekabacić staremu astronomowi, że wkroczył na grunt herezji. Napisał coś takiego: „Każda planeta, poprzez swe miejsce, bieg i każdą zmianę swojego ruchu, dostarcza dowodu na to, że Ziemia się porusza” - niewinne słowa, a jednak niebezpieczne. Lubię tę jego teorię o złotym łańcuchu, wiążącym wszystkie zjawiska zachodzące we wszechświecie.

- Ja to wszystko wiem, mogę jeszcze dodać, że w „Narratio prima” znalazła się pochwała Prus, która miała przychylnie do całej sprawy nastawić księcia Alberta - przerwał przyjacielowi historyk. I mówił dalej: - Także to, że mając ze sobą oręż w postaci tej księgi von Lauchen czyli Retyk, pojechał do Wittembergi, by przekonywać tamtejszych naukowców do idei kopernikańskich. I tak dalej, i tak dalej. To wszystko są podstawy, można je znaleźć w akademickich podręcznikach i w Internecie. Ale my musimy dotrzeć do czegoś, co nie jest powszechnie dostępne. Kiedy Kopernik dokonał wpisu, czy tę księgę ktoś, poza Retykiem, widział? A może i Retyk nie widział? Jakie mogły być jej dalsze losy.

- Najbezpieczniej byłoby napisać, że egzemplarz należał do prywatnego gdańskiego kolekcjonera, który zginął w 1945 roku. Albo do kogoś z rodziny Kopernika. Najlepiej do pra-pra-pra-

wnuczki córki Kopernika - zaśmiał się nienaturalnie Dybowski.

- Dlaczego ten cholerny Parezzio nie powiedział ci, skąd ma tę reprodukcję? Byłoby nam ła twiej.

- Obiecał, że jeszcze się odezwie i, jak się wyraził, będziemy współpracować przy pisaniu naszego wybitnego dzieła. Wtedy pewnie ujawni to, co trzyma w rękawie. Obawiam się, że dowiemy się rzeczy, jakich nie chcielibyśmy wiedzieć.

Kiedyś zlecono jej temat, który okazał się jednym z najbardziej fascynujących wyzwania zawodowych - fałszerstwa zabytkowych dokumentów.

Punktem wyjścia było aresztowanie pewnego antykwariusza z Salzburga, który postanowił zbić fortunę na sprzedaży cennej książki z XVII wieku. Chodziło o osławiony podręcznik dla inkwizytorów autorstwa Eliseo Masiniego - „Sa-cro Arsenale”.

Masinus w latach 1609-1627 był inkwizytorem Genui i przez lata swojej posługi zdobył ogromną wiedzę na temat przestrzegania czystości wiary. Postanowił przekazać ją swym następcom, aby nie zbaczali z jedynej słusznej drogi. W 1621 roku, w Genui naturalnie, ukazało się pierwsze wydanie tego dzieła. „Sacro Arsenale” zrobiło niewiarygodną furorę w całej Europie, a przemyslenia Masiniego, skądinąd zwolennika najcięższych tortur, zostały opublikowane przez wiele wydawnictw, nie tylko italskich.

Nie będzie przesady w stwierdzeniu, że w wieku XVII i XVIII księga ta była jednym z największych bestsellerów Starego Kontynentu. Do dziś zachowało się wiele egzemplarzy dzieła Masiniego, także z tamtego czasu.

Ale antykwariusz Sigmunt Ganzer miał na zbyciu egzemplarz szczególny - z odręcznym wpisem samego autora. Masini - według wersji Ganzera - tuż przed śmiercią poprosił o pióro i drżącą ręką napisał cztery słowa: „Boże, wybacz mi, Masinus”. Obok widniała niewielka plama atramentu, niczym ostatnia kropla krwi.

Skarb ten Ganzer postanowił sprzedać bez specjalnego rozgłosu, informacja o istnieniu egzemplarza z szokującym przyznaniem się inkwizytora do błędu nie trafiła (początkowo) na łamy prasy.

Antykwariusz rozpuścił wici w swoim środowisku, a dla ewentualnych nabywców miał dowód w postaci skanu strony z wpisem Masiniego.

Ganzer dość dobrze przygotował się do całej operacji - słowa napisane przez rzekomego Masiniego pojawiły się na oryginalnym egzemplarzu z 1625 roku (czyli łatwiej dostępnym niż z pierwszego wydania). Do atramentu antykwariusz dodał popiołu ze spalonego kawałka oprawy innej XVII-wiecznej książki. Wszelkie bada-

nia, także metodą węgla radioaktywnego, musiały zatem wykazać, że atrament faktycznie, a przynajmniej z dużą dozą prawdopodobieństwa, pochodzi z czasów okrutnego inkwizytora.

„Sacro Arsenale” zakupił w Rzymie za kilkaset euro, natomiast za efekt swej pracy zażądał około stu tysięcy. Czyli cena była wręcz promocyjna.

Wpadł głupio, tak głupio, że aż trudno uwierzyć - kolekcjoner, który postanowił kupić owego białego kruka, udał się ze skanem, otrzymanym od Ganzera do znawcy Masiniego oraz do grafologa.

Otóż antykwariusz sądził, że nikt nie będzie porównywał jego wpisu z autentycznym pismem genueńczyka. Zresztą znajomy historyk zapewniał go, że nie zachowały się nawet listy pisane ręką inkwizytora, a jedynie kopie sporządzane przez skrybów. Historyk jednak nie miał zielonego pojęcia o rękopisach Masiniego, ale pragnąc pozostać autorytetem w oczach antykwariusza, mówił mu to, co tamten chciał słyszeć. Poza tym, nie został wtajemniczony przez pytającego, do czego ta wiedza jest mu potrzebna. No i Ganzer sięgnął po pióro.

Owszem, jego pismo było całkiem bliskie ideału (wzorował się na genueńskich rękopisach z epoki), ale tylko dla niewprawnego oka. Spe-

cialisci dokonujący analizy porównawczej mieli niezły ubaw.

Umówionego dnia kolekcjoner pojawił się w antykwariacie, ale w towarzystwie dwóch funkcjonariuszy policji.

Relacjonowanie tej historii sprawiało jej wielką przyjemność - najpierw opisała przypadek Ganzera, a następnie, w najdrobniejszych szczegółach, przypomniała inne sławne fałszerstwa.

Pisząc o nich, zwróciła się o poradę nie tylko do historyków, ale także grafologów z policyjnego laboratorium kryminalistycznego. W kilka godzin pochłonęła książkę Briana Innesa „Fałszerstwa i oszustwa”.

Najwięcej informacji przekazał jej jednak pewien profesor z Niemiec. Rozmawiała z nim przez telefon ponad godzinę. Potem wysłała mu treść jego wypowiedzi do autoryzacji, a on odpiisał, że jest zachwycony i że dawno nie miał do czynienia z tak inteligentną osobą. Ona oczywiście odpowiednio zareagowała na jego kurtuzję, a po publikacji artykułu wysłała mu egzemplarz gazety.

Kilka tygodni później to on odezwał się z pytaniem, czy mogą się spotkać w Wiedniu. Ma konferencję i wkrótce przyjeżdża do stolicy Austrii. Zgodziła się z radością.

Szybko stała się ekspertem - oczywiście jak na dziennikarza - w dziedzinie fałszerstw i nawet po oddaniu tekstu do druku nadal pochłaniała książki na ten temat. Poczła pewną sympatię do antykwariusza Marka Hofmana, który podrobił „The Oath of the Freeman”, pierwszy dokument po angielsku, wydrukowany na półkuli zachodniej. A jeszcze większą do Michaela Barreta. Ten ostatni, zwykły handlarz złodem z Liverpoolu, sfalszował dzienniki domniemanego Kuby Rozpruwacza, czyli Jamesa Maybricka, i przez trzy lata wodził za nos największe autorytety naukowe, chodząc w glorii odkrywcy wielkiej tajemnicy. Bo Maybrick w swym diariuszu przyznawał się do zamordowania pięciu prostytutek.

- I ja mam być gorsza od handlarza złodem? — pomyślała pewnego dnia. Wtedy właśnie wpadła na pomysł, jak zacząć życie od nowa. Jak wyrwać się z kręgu, który każdego dnia zawężał się coraz bardziej.

Ale inspiracja, jakiej dostarczali jej słynni fałszerze, nie wystarczyła do realizacji ambitnego planu. Potrzeba było czegoś więcej. Nowej tożsamości.

Artykuł z dziennika „Wormser Zeitung” opublikowany 17 czerwca 2009 roku.

Ta wiadomość wstrząsnęła środowiskiem naukowym Moguncji. Profesor Heinz Schultz nie żyje. Wybitny historyk, ekspert w dziedzinie ruchu wydawniczego renesansu, autor wielu publikacji na ten temat został znaleziony martwy w swoim mogunckim mieszkaniu przy Neutor-strasse. Najprawdopodobniej popełnił samobójstwo - przez powieszenie - choć policja nie chce jeszcze potwierdzić tej wersji. Wiadomo, że zgon nastąpił mniej więcej dobę wcześniej. Ciało znalazła gosposia profesora, która, jak w każdy poniedziałek, przyszła posprzątać jego mieszkanie. Natychmiast zawiadomiła policję. Funkcjonariusze pojawili się po godzinie od zgłoszenia. Lekarz pogotowia stwierdził zgon.

Nie są znane motywy tego kroku — profesor był osobą lubianą, zarówno przez kolegów-na-ukowców, jak również studentów.

Nie miał też raczej żadnych problemów natury zdrowotnej czy finansowej. Jak powiedziała nam, pragnąca zachować anonimowość sąsiadka profesora, był on uosobieniem sukcesu, ale takiego, który musi wzbudzać respekt, a nie zawiść. Prawdomówny, skromny, życzliwy dla innych mógł stanowić wzór dla swoich wychowanków.

61-letni Schulz był od wielu lat pracownikiem naukowym Uniwersytetu Jana Gutenberga w Moguncji, przez pewien czas piastował stanowisko prodziekana wydziału nauk historycznych i kulturalnych.

Ostatnio zajmował się głównie pierwszymi wydaniem dzieł europejskich teologów i filozofów epoki renesansu. Chętnie wypowiadał się także dla prasy, która uważała go za wielki autorytet nie tylko naukowy, ale także moralny — warto wspomnieć, że Schulz często angażował się w działalność na rzecz wspierania nauki w krajach rozwijających się. Na początku roku gościł w Macedonii na zaproszenie Uniwersytetu imienia Cyryla i Metodego w Skopje. Wygłosił tam szereg wykładów na temat kultury europejskiej, rezygnując z honorariów.

Kilkakrotnie służył też swoją wiedzą policji, która zwracała się do niego po ekspertyzy w sprawie domniemanych fałszerstw. To, między innymi, dzięki profesorowi udało się zatrzy-

mać szajkę fałszerzy, próbujących wprowadzić do antykwarycznego obiegu nieznane rzekomo listy XVI-wiecznego reformatora Ulricha Zwingliego.

Oczywiście, listy zostały wyprodukowane przez oszustów.

Rektor Uniwersytetu Jana Gutenberga, profesor Thomas Himmel powiedział nam:

- Jeśli policja ustali, że ktoś nastawał na życie Schulza, ja w to nie uwierzę. Bo to był kryształowy człowiek, którego kochaliby nawet jego wrogowie. Oczywiście, nie miał wrogów. Ale dlaczego sam nastawał na swe życie? Tego nie wiem i nie chcę się dowiedzieć.

Już kiedyś pracował w sferze starych ksiąg...

Także wtedy zlecenie dostał od Stefano. Miał odpalić w Dubrowniku desperata, który wierzył, że zbije fortunę na kradzieży jakichś szpagłów z dominikańskiego klasztoru. Jak on się nazywał?

Casals? Tak, na pewno Casals, Viktor, historyk z Uniwersytetu w Barcelonie. A dokładnie rzecz ujmując - zwolniony z pracy w tej uczelni. Bo stare akta starymi aktami, daty datami, a Casals bardziej nadawał się na matematyka -

liczył butelki. Z każdym miesiącem było ich coraz więcej. Mnożył doskonale. Gdyby nie został zastrzelony, na pewno przekręciłby się w trakcie kolejnego delirium. Taki desperado z tytułem naukowym. O co wtedy chodziło?

Facet miał ukraść kilka tomów „Historii Kościoła w Dubrowniku” autorstwa XVII-wiecznego mnicha, Cervy Crijevicia. Niby nic nadzwyczajnego, bazgroły na szarym pergaminie, a do tego po łacinie, ale znaleźli się goście, którzy chcieli nieźle za nie zapłacić. Plan był taki: Casals poprosi mnichów, aby udostępni mu te księgi i pozwolili spędzić kilka dni, a może tygodni w klasztornej bibliotece. I wszystko szło jak z płatka - przeor o mało nie posikał się z radości, że wybitny historyk z Barcelony zechce się pochylić nad ich zbiorami. A swoją drogą ten Casals to był niezły skurwiel - tak okłamać naiwnych ojców... Skurwiel albo desperat. Może jedno i drugie?

Przyjechał do Dubrownika, wzbudził zaufanie dominikanów i zaczął swoje lipne badania. Pewnego dnia wyszedł z biblioteki, taszcząc pod pazuchą skradzione dzieło Cervy Crijevicia. Oczywiście, nikomu w klasztorze nie przyszło do głowy zapytać, co jest w torbie. A nawet gdyby ktoś do niej zajrzał, to Casals by wytłumaczył, że zabiera Cervę do miejsca, gdzie jest lepsze światło.

I nikomu by nie przyszło do głowy, że facet kręci.

Dopiero jak znaleźli historyka w okolicy jednej z dubrownickich bram z kulką w głowie i jedną z ksiąg pod marynarką, mnisi zaczęli coś podejrzewać.

Wracając do planu... Casals miał przekazać kurierowi księgi, a kurier wysłać historyka do nieba.

Ale Victor chciał być cwany i przekazał torbę z trzema tomami, a czwartego nie dał. Myślał, że uda mu się wynegocjować wyższą cenę. Zaczął nawet coś mówić o schowanym tomie, w którym zakodowane są informacje na temat skarbów jakiegoś średniowiecznego papieża.

Negocjacje z kurierem - czyste szaleństwo.

Tymczasem kurier sądząc, że trzyma w rękach kompletny towar, nie słuchał bajek o papieskich klejnotach i zastrzelił Casalsa. Po czym odjechał w stronę dal.

Ale zanim to się stało, kilka tygodni wcześniej zadzwonił Stefano i mówi:

- Słuchaj „Oko”, jest facet do odpalenia. Znasz teren jak mało kto - Dubrownik. Szybka robota. Weźmiesz torbę z księgami, wpakujesz gościowi kulkę w głowę i pojedziesz z towarem do Awinionu. Lubisz Dubrownik, jazdę samochodem, kochasz francuskie wina, wszystko

przemawia za tym, że jesteś właściwym człowiekiem do tej roboty.

Ale „Oko” akurat nie wybierał się do Chorwacji.

- Widzisz Stefano, ja nie jestem mile widziany w Dubrowniku. Przecież chorwacka policja doskonale wie, co robiłem w czasie wojny. No wiesz, jako serbski najemnik.

- Ty naprawdę uważasz, że wszyscy pamiętają twoją twarz? Zapuścisz wąsy, włożysz ciemne okulary, weźmiesz francuski paszport...

- Nie, Stefano, wolę być ostrożny niż martwy. Są goście, którzy mnie pamiętają, a ja bym czuł ich oddech na plecach.

- Nie bądź śmieszny. Przez Dubrownik przelewają się tłumy turystów. Nikt na nikogo nie zwraca uwagi. I na pewno nikt na ciebie tam nie czeka.

- Ale ja nie potrafiłbym przestać o tym myśleć. A jeśli coś pójdzie nie tak i chorwackie gliny zatrzymają mnie na gorącym uczynku? Raz dwa ustalą, z kim mają do czynienia. Uwierz mi, będzie lepiej, jeśli zlecisz to komuś innemu.

Stefano, choć z ciężkim sercem, przyznał płatnemu zabójcy rację i zlecił kontrakt komuś innemu. Robotę spartaczył Džavo, dobry killer, ale raptus. Miał przywieźć do Awinionu cztery tomy, a przywiózł trzy. Bo nie wysłuchał skazańca...

Ale potem już nigdy „Oko” nie odmawiał. I chyba tylko w akcie skruchy za tamten Dubrownik, godził się na podle zlecenia — najpierw feralna rozmowa z profesorkiem z Moguncji, a potem śledzenie tej austriackiej pindy i czekanie na kolejny rozkaz.

Wracając do profesorka... Schultz miał na nazwisko. Umówił się z nim na rozmowę w mo-guncckiej katedrze. Naukowiec sam wybrał to miejsce, bo podobno akurat tego dnia odczytywał jakąś tablicę czy inny nagrobek.

Stary komediant... Na pewno chciał zrobić wrażenie na swym rozmówcy i udowodnić, jaki to z niego spec, który tylko ślęczy nad starymi literami. Bo „Oko” przedstawił się jako osoba zainteresowana rewelacją Schultza.

„Narratio prima” z odręczną notatką Kopernika to przecież prawdziwa rewelacja. Czy pan profesor jest pewien, że widział tę księgę w Uppsali? Trzeba ją jak najszybciej zakupić, aby nie dostała się w ręce jakichś amerykańskich barbarzyńców. Nie jest pan pewien, że znajduje się w Uppsali? A gdzie?

Spotkajmy się.

Dobrze, niech będzie katedra. Spokojnie, poznam pana profesora, widziałem zdjęcie w gazecie.

Spotkali się. Gadu gadu i wychodzi na to, że profesor wie więcej, niż ktokolwiek by się spo-

dziewał. Oczywiście, żadna Uppsala — bezcenny egzemplarz znajduje się w bezpiecznym miejscu i czeka na nabywcę. Profesor może i nie jest jej właścicielem, ale reprezentuje osoby, które ją posiadają.

- To dobrze się składa - mówi „Oko” - bo ja też reprezentuję bogatych klientów, których ta księga bardzo interesuje. To jak moglibyśmy sfi nalizować tę transakcję?

A profesor zamiast się ucieszyć i zacierać ręce, zaczyna coś kręcić, że nie tak szybko, że musi się skontaktować z pewną panią, trzeba będzie prześwietlić kontrahenta, zresztą tych jest więcej i tak dalej, i tak dalej.

Na to „Oko” nieprzyzwyczajony do debat z naukowcami (bo przecież w Legii Cudzoziemskiej żadnych profesorów nie było) zaczął ostro: - Nie ma na co czekać. Wiem, gdzie pan mieszka, czym się zajmuje, gdzie pana szukać. Jeśli w ciągu kilku dni nie otrzymam odpowiedzi, oczywiście - pozytywnej odpowiedzi, zacznie pan tracić cenniejsze rzeczy niż ta zasrana książka. Na przykład palec. Jeden tydzień zwłoki - jeden palec. A jak zabraknie palców u ręki, to nie będziemy się bawić z palcami u stóp, tylko odpalimy tę cwana główkę.

- A jeśli ta księga po prostu nie istnieje? — za pytał profesor i widać było, że zaraz zrobi pod siebie.

- Nie ma księgi, nie ma człowieka. Jest księga — są pieniądze - „Oko” nie miał wątpliwości, że egzemplarz istnieje, a profesorek zaczął jakąś szemraną grę.

Standardowa rozmowa, żadnych nadzwyczajnych gróźb, po prostu biznes.

Na pewno nie powód, żeby się od razu wieszć. A Schultz się powiesił sam, z własnej woli.

Antykwariat „Porta Antiqua” znajdował się mniej więcej pośrodku Czarnieckiego - ukrytej wśród drzew kameralnej ulicy starego Żoliborza. Jego właścicielem był od kilkunastu lat Marcin Zarębski, antykwariusz, którego wiedza o książkach wpędzała w kompleksy nawet utytułowanych uczonych. Zarębski jednak nigdy nie marzył o karierze akademickiej — po prostu chciał jak najlepiej prowadzić biznes i żyć z tego, co kocha. Wprawdzie nieczęsto wystawiał do sprzedaży rzeczywiste białe kruki, ale co jakiś czas można było u niego nabyć woluminy o wysokiej wartości.

Jednak najwięcej zarabiał na handlu starymi mapami i grafikami, które masowo nabywali trzydziestolatkowie aspirujący do klasy średniej. Najczęstszą klientelę stanowili bowiem świeżo upieczeni posiadacze mieszkań w apartamentowcach, pragnący tchnąć zacnego ducha w lokale oddane „pod klucz”. Naturalnie, w na-

stępnej kolejności po zakupie odpowiednio prestiżowego samochodu.

Gdy Łukasz Dybowski przekroczył próg antykwariatu, Zarębski, w gumowych rękawiczkach na rękach, przyglądał się przez szkło powiększające jakiejś pożółkłej księdze.

- Biblia królowej Zofii? - zażartował gość, mając na myśli nieukończony XV-wieczny przekład Pisma Świętego na język polski.

- Została spalona podczas wojny, zachowało się jedynie kilka kart - mruknął Zarębski i odłożył na bok szkło powiększające. - Coś znacznie nowszego, co nie znaczy, że bezwartościowego. Powiedziałbym wręcz, że jest to kruk o wyjątkowo bijącej w oczy bieli. Pierwsze wydanie „Pana Tadeusza” na obecnych ziemiach naszego kraju. Toruń, 1858 rok, drukarnia Ernsta Lambecka.

- Tego samego, który wydał „De Revolutionibus orbium coelestium” Kopernika, prawda? A „Pan Tadeusz”, choć opublikowany w 1858 roku, jest datowany na 1859 rok, bo wtedy przypadała setna rocznica urodzin Schillera. Lambeck był wielbicielem jego poezji - pochwalił się wiedzą Dybowski. O oficynie Lambecka wspominał w książce, napisanej na zlecenie Fundacji, więc przeczytał wszystko, co tylko możliwe, na temat tego wydawcy.

- Brawo, lubię jak przychodzisz na rozmowę przygotowany. Podać herbatkę? - Zarebski wstał od biurka i podszedł do okrągłego stolika, którego od biedy można by wziąć za krewnego biedermeiera. Ozdobą stolika była platerowa taca braci Buch - stał na niej elektryczny czajnik, dwie szklanki w zabytkowych uchwytych oraz puszki z kawą, herbatą i cukrem.

- Chętnie, z cukrem - odparł Dybowski zadowolony, że Zarebski najwyraźniej zamierza poświęcić mu czas dłuższy niż dziesięć minut.

Antykwariusz był dla niego alfą i omegą w dziedzinie starych wydawnictw. Znali się jeszcze z czasów studiów, gdy snuli wspólne plany stworzenia małej księgarni naukowej. Nic z tego nie wyszło, ale obaj pozostali wierni książkom i często dzielili się swoimi doświadczeniami. Poza tym Dybowski kupił u Zarebskiego piękną grafikę, wzorowaną na pracach Dahlberga, przedstawiającą XVIII-wieczną panoramę Warszawy, widzianą od strony Wisły. Była ozdobą jego biura i wisiała na eksponowanym miejscu w gabinecie.

- A zatem, co to za księga? - zapytał Zarebski, mieszając łyżeczką w szklance.

- „Narratio prima” Joachima Retyka.

- Nie obrażaj mnie, doskonale wiem, że Retyka, a nie Szekspira. Które wydanie, bo było ich sporo?

- Chodzi o pierwsze, gdańskie wydanie z 1540 roku.

- Także zachowało się ich kilka, o ile mnie pamięć nie myli, jedno znajduje się w jakiejś naukowej bibliotece w Kansas.

- Tak, w Linda Hall Library, ponoć największej naukowej bibliotece świata. Kupili to dzieło za niebagatelną sumkę - półtora miliona dolarów. Myślisz, że to jest tyle warte?

Zarębski rozłożył ramiona:

- A co ja mogę myśleć? Skoro ktoś wyklada taką kasę... Nie sądzisz chyba, że ktoś wyprał brudne pieniądze? Mówiąc poważnie - pierwsze wydania epokowych dzieł, szczególnie, jeśli pochodzą sprzed kilkuset lat, zawsze kosztują horrendalne sumy. A przecież tu po raz pierwszy została ogłoszona teoria heliocentryczna. Półtora miliona w tym wypadku nie powala na kolana.

-Aha...

Antykwariusz spojrzał uważnie na Dybow-skiego:

- A dlaczego to cię interesuje? Trafiłeś na egzemplarz z 1540 roku?

- Niezupełnie. Jest ktoś, kto podobno ma tę księgę. Rzecz w tym, że jest to dość wyjątkowy tom.

- Na czym polega jego wyjątkowość?

Dybowski splótł dłonie za głowę i wyprężył pierś, nabierając powietrza do płuc. Wyglądało to na próbę zrelaksowania się przed wyjątkowo ciężkim zadaniem.

- Wiem, że mogę ci zaufać, niech to zostanie między nami. Nie obrażę się, jeśli nie uwierzysz w to, co usłyszysz.

I opowiedział Zarębskiemu o rozmowie z Parezzio, pomijając wątek zawołanych gróźb ze strony Włocha. Nie chciał wystraszyć Zarębskie-go, dlatego przedstawił Parezzio jako biznesmena, robiącego dobre wrażenie. Gdy skończył, dostrzegł na biurku kolegi sporą plamę - anty-kwariusz nawet nie zauważył, że z wrażenia rozlał prawie całą herbatę na zabytkowy mebel.

- „Narratio prima” z odręcznym dopiskiem Kopernika, który zaprzecza własnym teoriom? Człowieku, przecież to jest rewelacja porównywalna z odkryciem na przykład nieznannej sztuki Szekspira. Albo zaginionej księgi prorocत्व. A byłem pewien, że te rewelacje Schultza to bajka dla naiwnych dzieci! - krzyknął podniecony sprzedawca starych książek.

- A może to jest jakiś podstęp? Skąd mam mieć pewność, że skan, który pokazał mi ten Włoch, nie został wyprodukowany przez jakiegoś grafika w photoshopie? To przecież żadna sztuka. O fałszerzach wiesz więcej niż ja.

- Jeśli to falsyfikat - o ile wydruk z komputera można w ogóle traktować jako falsyfikat - to nie ma sprawy i moja wiedza jest ci niepotrzebna. Ale jeśli taki egzemplarz faktycznie istnieje...

- Powiedz mi tylko, ile byś za niego dał, gdy byś dysponował taką kwotą.

Zarębski uśmiechnął się blado: - Mowa o księgach bezcennych. To prawie tak, jakbyś prosił o wycenę Biblii z oryginalnym autografem Jezusa Chrystusa i to takim, w którym czytamy, że było zupełnie inaczej.

- Wszystko ma swoją cenę - nalegał wydawca.

- Biorąc pod uwagę znaczenie odkrycia Kopernika nie tylko dla nauki, ale w ogóle naszej cywilizacji, a zarazem sensacyjny wątek zaparcia się swoich tez przez astronoma, moglibyśmy mówić o...

Dybowski wstrzymał oddech.

-...nawet o kilkunastu milionach dolarów.

- A może kilkudziesięciu?

- Zachłanny jesteś. Prawdę powiedziawszy, żadna wersja nie jest niemożliwa. Niech ci będzie - kilkudziesięciu milionach.

W końcu nie wytrzymał i zadzwonił do Parez-zio z awanturą.

- Co ty sobie do jasnej cholery wyobrażasz? Nie jestem psem, którego wyprowadzasz na spacer i to na krótkiej smyczy. Wiesz, że nigdy nie zadaję zbędnych pytań, robię to, co do mnie należy, ale tym razem musisz mi powiedzieć, co jest grane. Za chwilę każesz mi pojechać na Syberię i tropić niedźwiedzie. Bo taki jest twój kaprys. Ja nie umiem rozmawiać z subtelnymi profesorami i nie mam ochoty przesiadywać w kawiarni, przyglądając się jakiejś cizi. Chcesz, żebym ją zdjął - powiedz. To nie jest wielki problem, tym bardziej, że ona jest wciąż w Budapeszcie. A przynajmniej jeszcze niedawno była. Widziałem ją w taksówce i bynajmniej nie jechała w stronę lotniska. Nie, nie wiem dokąd. Co jest grane?

Parezzio ciężko westchnął i syknął: - To nie jest rozmowa na telefon.

-
- Możemy się w każdej chwili spotkać.
 - Nie mam czasu, za kilka godzin wylatuję z Budapesztu.
 - Jeśli nie dowiem się, o co chodzi w tej całej sprawie, to ja też wylecę.
 - Nie wygłupiaj się, masz zlecenie. Kazałem ci czekać na sygnał, więc czekaj. Trochę cierpliwości.
 - Nie jestem cierpliwy. Gdybym był, zostałbym zegarmistrzem. Jeśli nie puścisz pary, zacznę myśleć, że w coś mnie wrabiasz.
 - Dobrze „Oko”, spotkajmy się, ale nie obiecuję, że zaspokoję twoją ciekawość w stu procentach.

Gdy płatny zabójca wyszedł z windy na poziomie lobby hotelu Palazzo Zichy, Stefano, jak zwykle ubrany w lekki fioletowy garnitur, już na niego czekał. Wstał z rozłożystego fotela, podszedł do „Oka” i rozłożył ręce w serdecznym geście powitania.

- Sto lat, albo i dłużej. Dawno się nie widzieliśmy - powiedział rubasznym głosem. Uścisnęli dłonie i usiedli.
- Stęskniłeś się za mną, to miłe - odparł po nuro zabójca.

- Nie aż tak bardzo, jak sądzisz, ale bardziej niż chciałbym. Napijemy się czegoś? Ja stawiam.

- Nie traćmy czasu, przejdźmy do rzeczy.

- Dlaczego tak ci zależało na tej rozmowie? Przecież wszystko jest jasne. Chyba nie masz zastrzeżeń do wysokości wynagrodzenia?

„Oko” pokręcił głową - nigdy nie narzekał na hojność zleceniodawców reprezentowanych przez Parezzio, tym bardziej, że Włoch dobrze grał rolę impresaria i zabiegał o jak najwyższe kwoty dla swego człowieka.

- Po prostu chcę, żebyś mi powiedział, o co chodzi.

Parezzio wzruszył ramionami i przecesał dłonią swe siwiejące włosy.

- Jest księga, którą trzeba zdobyć za wszelką cenę. Jeśli będzie to najwyższa cena, to ty będziesz ją egzekwował - powiedział konfidencko nym szeptem i stuknął palcem wskazującym w pierś Serba.

- Tyle to i ja wiem. Co ma wspólnego tamten profesorek z Moguncji z tą babką, którą musiałem obserwować u Gundela?

- Powiedzmy, że to była para biznesowa. On stanowił mózg, ona serce. Albo jeszcze jakiś inny organ. Nie jestem w stanie określić, kto był faktycznym szefem tej akcji - wiemy, że kobieta została sama.

- To są ogólniki...

- Zaraz przejdę do szczegółów - Parezzio rozparł się w fotelu i powiódł wzrokiem po ścianach lobby urządzonego w nowoczesnym, designerskim stylu. - Ależ paskudztwo, nie powinni mieszać starego z nowym. Jeśli odnawiają dziewiętnastowieczny pałac, to niech zachowają jego pierwotny charakter... - dodał tonem akademickiego wykładowcy.

„Oko” uderzył pięścią w oparcie swego fotela:

- Stipe, ja nie przyszedłem rozmawiać o wystrój wnętrza. Zawsze uciekasz od głównego tematu, ale ja znam twoje sztuczki. Im szybciej załatwimy sprawę, tym szybciej się uspokoję. W moim fachu takie stany niepokoju są nie wskazane. Ostatnio serce mi nawala.

Parezzio zaśmiał się szyderczo: - Oto prawdziwy twardziel z Legii Cudzoziemskiej... Dobrze, słuchaj dalej. Według mnie, to wyglądało tak: ona miała księgę, a on autorytet. Zaproponowała mu układ - ty potwierdzisz naukowo istnienie egzemplarza „Narratio prima” z odręcznym pismem Kopernika, który odżegnuje się od swoich własnych teorii, a ja dzielę się z tobą zyskami. Jeśli, naturalnie, znajdą się nabywcy.

- A skąd ona ma to dzieło? Ukradła, odziedzi czyła?

Parezzio wbił wzrok w podłogę i przez chwilę milczał. Potem odparł: - Tego nie mogę ci powiedzieć. Jej wersja jest naprawdę zaskakująca i musimy to sprawdzić. Jedyne konkret to skan tytułowej strony „Narratio prima” z wyznaniem Kopernika.

- Myślisz, że autentyczny?

- Istnieje duże prawdopodobieństwo, że tak.

- A kiedy zdecydujecie się na zakup?

Włoch splótł dłonie jak do modlitwy i uśmiechnął się chytrze:

- Wiesz, kiedy kobieta działa w pojedynkę i stawia wygórowane warunki cenowe, sama sobie szkodzi.

- Czyli nie dostanie ani grosza?

- Tego nie powiedziałem, ale, oczywiście, lepiej byłoby dostać od niej prezent. Musisz ją do tego przekonać.

- Nie jestem szantażystą. Brakuje mi finezji i wiedzy psychologicznej. Uświadomiłem to sobie podczas rozmowy z tym gościem z Moguncji. Paskudnie wyszło, ale przecież nie mam nic wspólnego z jego śmiercią.

Parezzio strzepnął niewidzialny pyłek z rękawa marynarki i odparł:

- Wierzmy w to, w co chcemy wierzyć. Ale faktycznie, to nie ty go zabiłeś. Po prostu wzbu dziłeś w nim pierwszy niepokój i o to chodziło.

- Pierwszy niepokój?

- Ten stary palant podjął się zadania przez kraczającego jego możliwości. Także - jakby to powiedzieć? - zdrowotne czy raczej psychologiczne. Zamarzyła mu się wielka forsa, czyli coś, o czym nigdy wcześniej nawet nie myślał. Na stare lata zapragnął zagrać w filmie sensacyjnym, a potem kupić sobie bentleya. A może chciał dokarmiać dzieci w Afryce? Ostatecznie, filantrop z niego był. I myślał, że to takie łatwe. A kiedy uświadomiłeś mu, że igranie z ogniem źle się kończy, zaczął trząść dupą. Pewnie chciał się wycofać z tego interesu.

- A może wiedział, na przykład, że ta księga, nie istnieje? No, bo przecież nie miałeś w rękę tego egzemplarza. Może to wszystko to jedna wielka lipa?

- Nie wiem, co wiedział i nigdy się nie do wiem. Ja mam nadzieję, że księga istnieje i jest na wyciągnięcie ręki. Ale profesor niekoniecznie wiedział, gdzie jej szukać, dlatego spanikował i wybrał prostą drogę do nieba. Niby niewiarygodne, ale ze starszymi ludźmi czasem tak się dzieje. Cholera, ja też już mam swoje lata na karku. Muszę być ostrożniejszy niż kiedyś.

„Oko” spojrział na zegarek - było jasne, że Pa-rezzio za chwile zakończy rozmowę i pojedzie na lotnisko.

-
- Czy coś jeszcze powinienem wiedzieć?
- Właściwie nie, ale ja jestem dobrym sprzedawcą, więc dostaniesz ode mnie małego bonusu, tak na zachętę - odparł Parezzio.
- No, to dawaj, lubię bonusy.
- Włoch nachylił się w stronę swego rozmówcy i powiedział najciszej, jak umiał:
- Od razu zakładaliśmy, że spanikuje. I, że wtedy łatwiej będzie od niego wydostać szczegóły. Postanowiliśmy więc jeszcze trochę potrząsnąć jego układem nerwowym. Najlepsze do tego są beta-blokery...
- Widzę, że lekarz z ciebie. Jak wam się to udało?
- Mówiłem ci, że znam się na handlu. Przed jego domem zorganizowaliśmy promocję nowego bawarskiego jogurtu. Panienci w skórzanych spódniczkach rozdawały kubeczki z jogurtem i profesor bez problemu dał się skusić. Nie muszę ci dodawać, że panienci były wyjątkowo sympatyczne i wygadane, a jogurt - wzbogacony. Jestem pewien, że już kilka godzin później Schultz był chodzącym lękiem. Nie chcieliśmy, żeby się wieszał, a tylko zaczął widzieć demony. No, ale skoro tak się stało, to należy dostrzegać pozytywy tej sytuacji. Została sama i teraz znacznie popełniać błędy.

Rzeczywiście, spotkali się w Wiedniu.

Po jednej z konferencyjnych sesji zaprosił ją na kolację do bistro „Wein und Kunst” przy Ar-gentinierstrasse. Rozmawiali bardzo długo, nie tylko o słynnych fałszerstwach. Po kolejnym kieliszku wina opowiedziała mu o swoim nieudanym małżeństwie, a on jej o karierze naukowej, która przyniosła mu mniej radości, niż się spodziewał jako młody historyk.

A potem ona pojechała do Moguncji. Mąż, który doskonale wiedział, że Schultz nie stanowi jakiegokolwiek zagrożenia dla ich małżeństwa, wzruszył tylko ramionami, gdy poinformowała go o wyjeździe. Była pewna, że jest mu to na rękę, bo za kilka godzin w ich wspólnym łóżku pojawi się jakieś ciało obce, oczywiście o wiele od niej młodsze. Ale to, z kolei, jej już zupełnie nie obchodziło. Profesor zaprosił ją do siebie do domu - chciał popisać się przed nią swym kulinarnym talentem. Podał tuńczyka pieczonego z ra-

barbarem i szalotkami, a do tego znakomite Chablis.

Przy drugiej butelce tego wina zaczęli - naturalnie żartem - przerzucać się rozmaitymi pomysłami, jak odmienić swoje życie. Schultz co i raz powtarzał, że jest za stary na jakiegokolwiek zmiany, a ona przekonywała go, że na to nigdy nie jest zbyt późno. Sama - dodawała - też nie należy do najmłodszych, ale kto powiedział, że ludziom dojrzałym nic już się nie należy?

Profesor, niby mimochodem, powiedział:

- Powinniśmy się uczyć od fałszerzy. Nieste ty, oboje należymy do ludzi uczciwych i taka nauka na nic nam się nie przyda.

- A skąd wiesz, że jesteśmy uczciwi? Tak nam się tylko wydaje, bo odgrywamy określoną rolę w społeczeństwie. Gdyby pojawiła się okazja złamania dekalogu, zrobilibyśmy to bez zmruczenia oka - odparła, czując miły szum chardonnay w głowie. Chwilę wcześniej przeszli na „ty”, co znacznie ułatwiało szczerą wymianę myśli.

- Nie, to niemożliwe. Nawet jeśli tylko gramy rolę porządných obywateli, wcielamy się w nią do samego końca - odparł Schultz.

W jego głosie nie było jednak smutku, a raczej nadzieja, że ona będzie nadal trwała przy swoim stanowisku. Nie pomylił się.

- A nie miałeś czasem ochoty wykorzystać swej wiedzy, a może raczej - pozycji naukowej do zrobienia czegoś wbrew prawu i dobrym obyczajom? - spytała.

- A cóż może historyk? Podawać studentom nieprawidłowe daty, przeinaczać fakty? Nic innego nie przychodzi mi do głowy.

Zaśmiali się, Schultz rozlał resztkę wina i wstał, by wyjąć z barku kolejną butelkę. Tym razem z niższej półki - austriackiego Grinera Veltlinera z doliny Krems.

- Właściwie nie ma się z czego śmiać - powie działa, dotykając językiem krawędzi kieliszka.
- Datami też można grać o wysoką stawkę.

- Nie umiem sobie tego wyobrazić.

- Przed chwilą wspomniałeś mi o fałszerzach. Oni, przynajmniej w jakimś sensie, żonglują datami, prawdami historycznymi i czerpią z tego wymierną korzyść.

Schultz zasepił się:

- Do tego trzeba mieć odpowiednie predyspozycje. Także psychiczne i moralne. Nie każdy może uprawiać boks czy być pilotem. Nie każdy może fałszować stare księgi.

- Myślę, że w tej robocie najgorsza jest gra z klientem, handel kłamstwem, świadomość, że porażka może oznaczać spore kłopoty. Ale samo wymyślenie tego kłamstwa nie przekracza moż-

liwości przeciętnego profesora, mam rację? - wysłała Schultzowi zawadiacki uśmiech.

- Dobrze powiedziane, przeciętny profesor, to chyba o mnie - zażartował.

- Oboje jesteśmy przeciętni i chcemy wykonać jakieś spektakularne salto. Raz kozie śmierć, uda się albo...

-Albo...

- Musi się udać.

- W większości przypadków to się nie udaje.

- Ale my będziemy w mniejszości. Już teraz w niej jesteśmy - ty lubisz chłopców, a ja nie lubię facetów, może dlatego, że zapomniałam, na czym polega przyjemność w ich ramionach.

- Skąd wiesz, że lubię chłopców? - zapytał, ale w jego głosie nie było ani niepokoju, ani gniewu.

- Jestem dziennikarką. Poza tym, podpowiada mi to kobieca intuicja. Chyba źle się maskujesz.

- No, dobrze, lubię chłopców, ale już tylko platonicznie. Jestem estetą i wiem, że nie pasuję do takich rozrywek. Zresztą nie tacy jak ja lubili chłopców, a dziś windujemy ich na najwyższe piedestały.

- Kogo masz na myśli? Piotra Czajkowskiego, Oskara Wilde'a?

- O, lista słynnych i niezwykle zasłużonych dla ludzkości gejów jest bardzo długa. W staro-

żytnym Rzymie patrycjusz, który nie posiadał zaprzyjaźnionego chłopca, cokolwiek to znaczy, uważany był za dziwaka. Ale po co sięgać tak głęboko w przeszłość? Słyszałaś o Joachimie von Lauchen, zwanym Retykiem?

Skinęła głową. Oczywiście, sporo wiedziała o przyjacielu Kopernika, dzięki któremu świat usłyszał o teorii heliocentrycznej.

- A zatem Retyk, gdy po śmierci Kopernika wrócił do Niemiec, stał się bohaterem wielkiego skandalu obyczajowego - ciągnął Schultz. - Okazało się, że ceniony profesor, wielki autoritet naukowy opromieniony chwałą „odkrywcy” Kopernika ma... romans ze studentem. Może romans to zbyt wielkie słowo, ale inne nie przychodzi mi do głowy. Nie chcę być wulgarny, rozumiesz? Wtedy, a był rok 1550, takie figle zagrożone były stosem. Wyobrażasz sobie ten absurdalny paradoks? Retyk, który rozpowszechniając nauki Kopernika, rzuca wyzwanie Kościołowi, tak katolickiemu jak i protestantskiemu, ginie na stosie za homoseksualizm! Do prawdy zabawne.

- I jak to się skończyło?

- Powiedzmy, że dobrze. Retyk uciekł z Lipska, przez pewien czas mieszkał w Pradze, potem pojawił się na dłużej w Krakowie. Już nigdy nie pracował jako wykładowca matematyki, ale

skromny lekarz. No, inna sprawa, że lekarz ma lepszy dostęp do ludzkiego ciała, także męskiego niż matematyk.

Profesor chciał kontynuować ten wątek, ale przerwała mu, mówiąc:

- Wróćmy do poważniejszych tematów. Czy nie myślałeś kiedyś, aby opchnąć jakiemuś frajerowi rzecz niewiele wartą za wielkie pieniądze? Podkreślam: czy nie myślałeś? Wiem, że nigdy tego nie zrobiłeś.

- Chodzi ci o sfalszowanie książki albo dokumentu? Ależ zapewniam cię, że to nie jest takie proste. Wykonanie podróbki doskonałej albo ocierającej się o doskonałość, to bardzo żmudna i nierzadko kosztowna praca.

Rozłożyła bezradnie ręce: - Tak tylko pytałam. Wydawało mi się, że wybitny, choć przeciętny, profesor zna rozmaite sztuczki.

Schultz głęboko westchnął: - Profesorowie są jak dzieci we mgle. Owszem, można wykorzystać ich wiedzę do niecnych czynów, ale prawdziwi gracze na tym rynku nie mają przeważnie wysokich naukowych tytułów. Z reguły również nie wykładają studentom, chyba, że uczestnikom więziennych kursów dla złodziei. Nieważne... Wiesz, przez długi czas zajmowałem się naściennymi malowidłami, jakie pozostawił po sobie Kopernik w Olsztynie. To takie miasto położone

w dawnych Prusach Wschodnich, dziś należy do Polski. Kiedyś nazywało się Allenstein - nawet astronom używał tej nazwy w swych listach pisanych po łacinie. Wprawdzie większą część życia spędził we Fromborku, ale w roku 1516 a może 1517 - nie pamiętam dokładnie - został wysłany do Olsztyna jako urzędnik kurii. Miał dogłądać dóbr należących do diecezji warmińskiej, położonych w okolicach tego miasta. Był tam w sumie cztery lata. Nawet udało mu się wykazać zdolnościami przywódczymi, bo kierował obroną miasta przed Krzyżakami.

- A co to ma wspólnego z naszą rozmową o fałszerzach?

- Teoretycznie ma, choć związek jest wyjątkowo luźny. Otóż Kopernik mieszkał na zamku w Olsztynie, gdzie wieczorami oddawał się swej pasji.

- Wino, kobiety i śpiew?

- Nie wykluczam, że i tak mogło być, ale zakładam, że między jedną a drugą przyjemnością doktor Mikołaj siadał w swym obserwatorium i patrzył niebo.

- Nie chcesz chyba powiedzieć, że Kopernik był fałszerzem i ukradł czyjeś dzieło?

- Ależ oczywiście, że nie! - Schultz wstał z krzesła i podszedł do okna, jakby chciał przez chwilę zamienić się rolami z Kopernikiem. Po-

patrzyłby w ciemne niebo, podczas gdy on, astronom, zabawiałby Annę rozmową.

- Słuchaj dalej. W Olsztynie zachowało się malowidło, znajdujące się nad wejściem do mieszkania Kopernika, czyli w północno-wschodnim skrzydle zamku i jest jego bodaj największą atrakcją. Wyobrażasz sobie? To prawie jak Mona Lisa Leonarda da Vinci - namacalny dowód istnienia konkretnego człowieka i jego geniuszu.

- Jakieś piękne malowidło?

- Piękno nie było domeną Kopernika -już raczej Leonarda.

- Czyli nie przedstawiało kobiety?

- A już z pewnością nie rozebranej. To tablica astronomiczna, ułatwiająca śledzenie jesienno i wiosennego zrównania dnia z nocą.

- Ho, ho, ależ ciekawe zajęcie! - krzyknęła podochocona alkoholem.

- Pewnie, że ciekawe. Może nie dla mnie i nie dla ciebie, ale obiektywnie - fascynujące. Rzecz w tym, że ostatnio coraz częściej się mówi o tym, jakoby malowidło powstało dwa wieki po Koperniku. Czyli, mielibyśmy do czynienia z państwowym fałszerstwem, dokonany dla potrzeb turystycznych. Zakładając, że władze Polski znają prawdę na temat tego fresku.

- Ale to chyba łatwo sprawdzić!

- Właśnie trwają badania, mające ostatecznie określić czas pochodzenia tablicy astronomicznej. Z tego co słyszałem, rzecz jest jak najbardziej autentyczna, a całe zamieszanie zostało wywołane przez sceptyków, którzy pojawiają się nieoczekiwanie i na szczęście równie szybko znikają, gdy im utrzeć nosa.

- To bardzo ładna historia, ale niewiele ma wspólnego z moimi próbami sprowadzenia cię na drogę grzechu. Wymyśl coś bardziej praktycznego.

Pokręcił głową i otarł z czoła pot. Nabił na widelec ostatni kawałek rabarbaru i już kierował go do ust, gdy nagle znieruchomiała mu ręka. Odłożył widelec na talerz. Coś sobie przypomniał.

- Oczywiście, są różne sposoby na oszukanie naiwnego klienta, ale w takich wypadkach trzeba też umieć zapaść się pod ziemię.

- Chętnie się tam znajdę - odparła i zmierzyła Schultza przenikliwym spojrzeniem, czekając na rozwinięcie przez niego wątku.

Przytoczył kilka przykładów, w których szajki fałszerzy sprzedały amatorom starych ksiąg nieistniejące egzemplarze. Właściwie nie trzeba było niczego nowego wymyślać - wystarczyło zmodyfikować pomysły poprzedników. Od lat marzyła mu się pewna mistyfikacja z wykorzy-

staniem sławnego renesansowego dzieła. I pięknej, a mało znanej legendy.

- To genialny plan! - krzyknęła, gdy skończył mówić i dodała:

- Choć faktycznie niezbyt bezpieczny.

- Powiedziałem ci: trzeba się zapaść pod ziemię, rozplynać we mgle, po prostu zniknąć. Nie boisz się ryzyka? - odparł spokojnym głosem akademickiego wykładowcy.

- Rozumiem, że ta mgła to gdzieś w Kalifornii?

- Mnie wystarczy Szwajcaria.

- A na czym miałyby polegać moja rola w tym przedsięwzięciu? - spytała, spoglądając na potężny księgozbiór profesora, jakby odpowiedź znajdowała się w zakurzonych woluminach.

- Niestety, to ty musisz je firmować. Ale nie jako ty - musimy uczynić z ciebie kogoś, kim nie jesteś. A może się mylę?

- Kim miałabym być?

- Pewną damą urodzoną na początku XVI wieku.

Zmroziła go spojrzeniem udającym wściekłość:

- Może i nie należę do najmłodszych, ale chyba nie wyglądam na pięćset lat?

- Skoro to dla ciebie zbyt duże wyzwanie, musisz wcielić się w jej pra-pra-pra-prawnucz-

kę. Albo kogoś, kto umie udowodnić swoje powiązania rodzinne z ową renesansową pięknoscią. A ty przecież jesteś piękna. To oczywiste nawet dla starego, zgnuśnialego geja. No, i masz na imię Anna.

Nad resztą trzeba będzie popracować.

- Stary, to wszystko wygląda bardzo logicznie. Kopernik naprawdę mógł się obawiać zarzutu herezji. Poczytałem trochę na ten temat i... Cholera, być może ta kobieta faktycznie dysponuje skarbem - w oczach Huberta Stopniaka pojawił się błysk, zarezerwowany wyłącznie dla nierozwikłanych zagadek historii.

Dybowski lubił ten entuzjazm przyjaciela, ale teraz - po godzinie wyczerpującego treningu - nie potrafił dostroić się do fal, na jakich nadawał historyk. Usiadł ciężko na ławce, zdjął rękawice bokerskie i zaczął odwijać taśmy blokujące nadgarstki. Raz w tygodniu rezerwował salkę w klubie tylko dla siebie, by móc w samotności wystawiać na najcięższą próbę wytrzymałość worka bokerskiego. Także i tym razem, to worek okazał się lepszy - Dybowski musiał uznać jego wyższość i zakończył trening. Szykował się do walki, jaką miał stoczyć za kilka tygodni, po raz pierwszy w formule full-contact, a więc tej

dla twardzieli. Nie spodziewał się wizyty przyjaciela.

- Czy ty w ogóle mnie słuchasz? - spytał Stopniak, widząc, że Dybowski jest myślami zupełnie gdzie indziej.

- Oczywiście, że słucham, choć za godzinę słuchałbym jeszcze uważniej. Ale rozumiem, że masz jakąś rewelację, która nie może poczekać?

Stopniak siadł na ławce obok Dybowskiego i zaczął referować swoje przemyślenia, co chwila przerywając dla nabrania tchu.

- Osiander, Andrzej Osiander, czy coś ci to mówi?

Kick-bokser pokręcił głową. - Kto to taki?

- Luterański teolog z szesnastego wieku.

- A, to nie miałem przyjemności...

- Ten sam, który sprawował pieczę nad pierwszym wydaniem „De revolutionibus”.

-...orbium coelestium - kończył automatycznie Dybowski.

- Jesteś tego pewien? Przecież nie zachowała się pierwsza strona manuskryptu Kopernika. Wielu badaczy sądzi, że pan Mikołaj zatytułował swoje dzieło „O obrotach”, a imię Osiander dodał do tego to i owo, bez zgody autora. Także przed mowę „Ad lectorem de hypothesisibus huius operis”, czyli do czytelnika o hipotezach tego dzieła. Bo Osiander uważał, że teorie Kopernika wywo-

łaja ogólnoludzki skandal i lepiej przedstawić je jako niewinne hipotezy. A zatem, kiedy norymberscy drukarze składali tekst, on siedział i kombinował, jak i co jeszcze zrobić, żeby Kopernik i jego zwolennicy za nadto nie dostali po tyłku. Astronom, czując, że może być z tym różnie, napisał list do Osiandera, dzieląc się z nim swoimi obawami. Niestety, list ten się nie zachował. Osiander odpisał mu, że trzeba będzie użyć słowa „hipoteza” i nikt się nie przyczepi.

Dybowski zdjął podkoszulek, odsłaniając muskulaturę, której Stopniak - choć nigdy się do tego nie przyznał - bardzo mu zazdrościł.

- Dziękuję za wykład. I jakie z tego wnioski? Bo na razie nie widzę związku z „Narratio prima” - powiedział pozornie obojętnym głosem, choć powoli wszystkie informacje zaczęły się składać w jego głowie w logiczną całość. Stopniak prychnął oburzony: - Nie widzisz, bo nie chcesz zobaczyć. Przecież to jasne jak słońce: skoro Osiander tak bardzo obawiał się gwałtownej reakcji świata chrześcijańskiego - i katolików, i protestantów - to znaczy, że zagrożenie było realne. Jakie zagrożenie? Podejrzewam, że mowa o najcięższych restrykcjach, ze śmiercią włącznie. Chodzi o to, abyśmy dobrze zrozumieli realia, w jakich rodziła się teoria o obrotach Ziemi.

- Masz rację, Kopernik, Retyk i Osiander sporo ryzykowali. Ale czy to znaczy, że nasz astronom musiał uciekać się do kiepskiego fortelu, jakim było odręczne odżegnanie się od własnych tez?

Stopniak zamrugał oczami i wstał z ławki, jak mówca udający się na podest w Hyde Parku.

- Może i kiepski, z dzisiejszego punktu widzenia. Kilkaset lat temu mógł uratować skórę. A nie zapominaj, że Kopernikowi groził proces, do którego na szczęście nie doszło.

- No tak, ale z zupełnie innego paragrafu: publiczne zgorszenie - odparł Dybowski, doskonale zorientowany w temacie, który przez wieki urósł do rangi legendy. Otóż Mikołaj Kopernik, już jako kanonik diecezji warmińskiej, przyjął do siebie na służbę niejaką Annę Schilling. Wprawdzie historycy nie byli pewni, o którą Annę chodzi, bo pojawiło się kilka kandydatek „pasujących do opisu”. Jednak najpopularniejsza była teza, jakoby za porządek i dobrą kuchnię we fromborskim domu doktora Mikołaja odpowiadała urodzona w 1518 roku w Gdańsku Anna Schilling, córka Anny Schilling, z domu Kruger i Holendra Arnedo van den Schellinga. Kopernik zaproponował jej pracę dlatego, że należała do jego rodziny i mógł jej zaufać. Co nie przeszkodziło mu zapalać do dziewczyny wiel-

kim, odwzajemnionym uczuciem. Być może nie od razu, nie w 1531 roku, gdy po raz pierwszy przekroczyła próg mieszkania Kopernika, ale pod koniec lat trzydziestych. Wtedy też domniemany romans astronoma wywołał w mieście lawinę skandali. Jak to? - pytali ludzie - kanonik, osoba duchowna, utrzymuje kochankę?

Sprawa stała się na tyle poważna, że sam biskup warmiński, Jan Dantyszek, informowany o gorszących obyczajach lekarza astronoma także przez innych kanoników, postanowił wkroczyć do akcji. Najpierw udzielił swemu podwładnemu ustnej reprimendy, a następnie wyśtosoował do niego list, w którym nakazał mu odesłanie Anny gdziekolwiek, najlepiej do diabła. Kopernik wystraszył się gniewu hierarchy i odpisał: „Przewielebny w Chrystusie Ojcie i Panie, Panie Wielce Łaskawy, któremu we wszystkim winienem posłuszeństwo. Napomnienie waszej Przewielebności uznaję za ojcowskie, a nawet więcej niż ojcowskie i wzięłem je sobie głęboko do serca. I chociaż o tym poprzednim, udzielonym mi przez Waszą Przewielebność oświadczeniem i wyrażonym ogólnikowo, dobrze pamiętam i chciałem uczynić to, o czym mi Wasza Przewielebność przypomniał, jednakże mimo, że niełatwo było znaleźć natychmiast zaprzyjaźnioną i uczciwą rodzinę, chciałem sprawę zakoń-

czyć do świąt Wielkiej Nocy. (...) Pragnę bowiem, wedle sił swoich, nie dopuścić do tego, bym stał się powszechną przyczyną zgorszenia wśród uczciwych ludzi".

Siły jednak były na tyle wątpliwe, że choć obiecał, nie usunął ukochanej z Fromborka. Prawdopodobnie nie brał na poważnie gniewu biskupa. Ten przecież sam miał córkę, którą spłodził w Hiszpanii, bawiąc tam jako osobisty poseł polskiego króla. Co więcej - także inni fromborscy kanonicy utrzymywali kochanki, z czym się specjalnie nie kryli. Zresztą jako posiadacze jedynie niższych święceń mogli sądzić, że należy im się od życia nieco więcej niż kapłanom. W styczniu 1539 roku Kopernik doniósł Dantyszkowi, że Anna opuściła jego dom i wszystko wróciło do katolickiej normy. Kłamał - Anna nadal mieszkała z nim w Fromborku, o czym skrzętnie doniósł biskupowi inny kanonik, Paweł Płotowski, człowiek o wielkich ambicjach i niewielkich szansach na ich realizację. Gdy Dantyszek dowiedział się o oszustwie swego przyjaciela z dawnych lat, czyli Kopernika, wpadł we wściekłość i nakazał, aby Anna natychmiast zniknęła z życia kanonika. Tym razem nie było innego wyjścia - piękna gdańszczanka spakowała swój dobytek do podróżnej skrzyni i wróciła do rodzinnego miasta, nad Motławę.



- Uważasz, że Dantyszek chciał go ukarać za niesubordynację i sianie zgorszenia? Nie bardzo chce mi się w to wierzyć.

- Przeczytaj - odparł Stopniak i wyciągnął z aktówki książkę w żółtej obwolucie. - „Mikołaj Kopernik w świetle swej korespondencji” Jerze go Drewnowskiego. Słyszałem o tym, ale nigdy nie czytałem. Jest tu coś, co może nam się przydać? - Dybowski wziął do ręki książkę, przez chwilę ważył ją w dłoni, po czym zaczął kartkować.

- Strona 149, sprawa Jana Scultetiego, chyba wiesz, o kim mowa?

- Tak, o kanoniku, z którym przyjaźnił się Kopernik. Niestety, Sculteti był śmiertelnym wrogiem Dantyszka i biskup nie mógł wybaczyć Mikołajowi tej zdrady. Przyjaciele naszych wrogów są naszymi wrogami, no nie? - uśmiechnął się Dybowski i otworzył książkę Drewnowskiego na wskazanej stronie. Po czym zaczął czytać na głos podkreślony ołówkiem fragment: „Zaniechanie procesu nie oznaczało rezygnacji Dantyszka z zamiaru zniszczenia Scultetiego. Jeszcze w tym samym roku (1539) zaatakował go Dantyszek z powodu poglądów religijnych. Spowodował przeprowadzenie rewizji w jego domu, podczas której znaleziono dzieło Bullingera, wyznawcy nauk Zwingliego. Książka zawierała ad-

notacje poczynione ręką Scultetiego. Na tej podstawie zwrócił się Dantyszek do króla Zygmunta I o uznanie Scultetiego za heretyka, co nastąpiło w maju 1540 roku. Skazany na banicję, udał się Sculteti do Rzymu, gdzie wytoczył proces, chcąc się oczyścić z zarzutów, lecz został skazany i osadzony w zamku św. Anioła".

Dybowski skończył czytać i spojrział pytająco na przyjaciela, który podsumował ich rozmowę: - Musiałbyś być głupi, żeby nie rozumieć obaw Kopernika. Skoro jego przyjaciel trafia za kraty tylko za posiadanie protestanckiego dzieła i oficjalnie bez związku ze sprawą kochanek, to co dopiero mogło grozić Kopernikowi, który nie dość, że obala dotychczasowe, kanoniczne postrzeganie świata, to jeszcze czyni to w zмовie z luteranami? No i do tego nieletnia panienka. Przecież ta Anna miała kilkanaście lat, a on sześćdziesiąt.

- Wtedy kilkanaście lat znaczyło tyle, ile dziś dwadzieścia kilka. - Niezły z siebie pedofil, zupełnie jak tamten gość z Fromborka - zażartował Stopniak i kopnął worek treningowy. Potem dodał:

- Tak czy inaczej, naprawdę niezłe sobie nagabił. Dlatego w chwili zwątpienia mógł zrobić ten cholerny dopisek, w jakimś sensie zdradzając siebie samego. Ale też chroniąc się przed ka-

rzącą ręką sprawiedliwości. A może nawet poradził mu to Retyk? A teraz, kiedy znasz już prawdę, możesz z powrotem myśleć o ringu. O ile dobrze pamiętam, czeka cię jakiś niezły łomot.

Artykuł opublikowany w „Dzienniku Bałtyckim” wiosną 2008 roku.

Sensacja archeologiczna w Gdańsku! Podczas prac badawczych poprzedzających remont jednej z kamienic na starym mieście, archeologowie dokonali zaskakującego odkrycia. W piwnicy najstarszej kamienicy miasta, przy ulicy Mariackiej 1, a więc w bezpośrednim sąsiedztwie Bazyliki Mariackiej odnaleziono fragmenty skrzyni sprzed prawie pięciuset lat.

Znalezisko jest skromne: składa się nań fragment kratownicy i dębowa deska z wyraźną inskrypcją. To wprawdzie niewiele, ale już na tej podstawie można snuć rozmaite hipotezy.

Otóż wspomniany napis głosi, że skrzynia należała do „Anny Schill...” (reszta nieczytelna) i została wytworzona w 1539 roku. Dla historyków jest to prawdziwa rewelacja, bowiem właścicielką skrzyni mogła być Anna Schilling - gdańszczanka, którą podejrzewano o romans z Mikołajem Kopernikiem. Schilling, córka ho-

lenderskiego kupca Arenda Van den Schellinga, powróciła do Gdańska właśnie w 1539 roku, po tym, jak biskup warmiński, Jan Dantyszek, nakazał kanonikowi Kopernikowi pozbycie się swej pomocy domowej. Hierarcha, podobnie jak wielu ówczesnych mieszkańców Fromborka, uważał, że kanonik Mikołaj, nie ukrywając swego związku z o wiele młodszą Anną, sieje publiczne zgorzienie. Owszem, nazwisko Schilling było w renesansowym Gdańsku dość popularne, ale wiele wskazuje na to, że chodzi o Annę, która przez lata stanowiła inspirację dla wielkiego astronoma. Dlaczego? Po pierwsze zgadza się data przybycia tej pięknej damy nad Motławę. Po drugie - lokalizacja: najbliższe sąsiedztwo Bazyliki i siedziby parafii. Wprawdzie historycy dość powściągliwie wypowiadają się na temat wizyt Kopernika w Gdańsku po 1539 roku, ale wydaje się mało prawdopodobne, aby nie miały one miejsca. W naszym mieście żyła jego rodzina. Kopernik jako znamienity przedstawiciel rodziny, z pewnością brał udział w uroczystościach chrztu czy zaślubin. W tamtych czasach nieobecność na tak ważnych rodzinnych świętach byłaby poczytana jako despekt. A nie zapominajmy, że Kopernik był człowiekiem bardzo rodzinnym (nawiasem mówiąc, Anna Schilling także była jego daleką krewną).

Co więcej - w 1540 roku nakładem wydawnictwa Franciszka Rhodego (ul. Piwna 8) ukazało się dzieło, które po raz pierwszy ujawniło teorie kopernikańskie: „Narratio prima” Joachima Retyka. Nie sposób sobie wyobrazić, aby wielki astronom nie brał udziału w ostatnich pracach redakcyjnych, które musiały mieć miejsce w oficynie Rhodego. Nie ulega wątpliwości, że bawiąc w Gdańsku, mieszkał na plebanii Bazyliki, znajdującej się przy ul. Plebania w kamienicy wzniesionej przez proboszcza Maurycego Ferbera, znanej jako dom pod trzema świńskimi łbami. Czyli o kilka kroków od kamienicy przy Mariackiej 1. Dziś mieści się tam hotel „Kamienica Gotyk”, który może stać się turystyczną atrakcją Gdańska nie tylko ze względu na swój późnośredniowieczny charakter. Być może już wkrótce wszyscy będą o nim mówić, jako o kamienicy Anny Schilling.

Nareszcie otrzymał zadanie, które można było - choć od biedy - uważać za sensowne. Dlatego następnego dnia musiał wyjechać z Budapesztu. Po kilku leniwych dniach spędzonych w tym mieście, miał ochotę na coś nieco bardziej ekscytującego. Już dawno nie strzelał i chciał sprawdzić, czy nie zaczęła mu drzeć ręka. W jego fachu byłby to znak, że trzeba zacząć myśleć o emeryturze. A on jeszcze nie zarobił tylu pieniędzy, żeby zrezygnować z dobrze płatnej pracy. Oczywiście, nie zamierzał strzelać do ludzi do samej starości, ale póki co, nie miał - i nie chciał mieć - innego wyjścia. Tym bardziej, że nie należał do osób oszczędnych, umiających odmawiać sobie kosztownych przyjemności.

Teraz jechał do Wiednia i już cieszył się na myśl, że zamieszka w dostojnym, pięciogwiazdkowym hotelu Sacher, położonym tuż przy reprezentacyjnej wiedeńskiej ulicy - Karntner. To, że kilka kroków dalej mieściła się słynna wiedeńska opera, nie budziło już jego emocji.

Wystarczył hotel i świadomość, że do miejsca akcji dotrze na piechotę w kilka minut. A potem - jak zawsze - rozplynie się we mgle.

Ale najpierw spotka się z nią...

Mieszkała w samym sercu starego miasta, przy ulicy Wollzeile - wprawdzie kilkadziesiąt metrów od katedry świętego Szczepana, ale jednak z boku głównego turystycznego szlaku. Musiałby mieć wyjątkowego pecha (a ona szczęście), aby - akurat w chwili, gdy się do niej zbliży - trafiła się jakaś japońska wycieczka bądź wścibski turysta z USA.

Ale nawet jeśli zdarzy się coś nieoczekiwanego, „Oko” poczeka - ma dużo czasu i jeszcze więcej do wygrania. A ona, nawet jeśli bezpiecznie dotrze do domu, kiedyś znowu z niego wyjdzie. I natknie się na niego. Jest skazana, choć sama o tym jeszcze nie wie. Ale trudno jej żałować, skoro sama się prosiła o kłopoty.

Na razie jednak „Oko” wkroczył do swojego hotelowego pokoju - bywał już w bardzo luksusowych miejscach, ale to przewyższało wszystko, w czym dotychczas mieszkał.

Mruknął zadowolony, niczym kot, którego pan pogłaskał za uchem. Siadł w secesyjnym fotelu i głęboko westchnął - był w pracy i to poczucie przyprawiało go o dreszcz radości. Podczas gdy jego przyjaciele z lat dziecińczych harowali

w stolicy Austrii jako nielegalnie zatrudnieni za nędzne grosze mechanicy samochodowi, on był panem świata. Bo jak inaczej nazwać faceta, któremu pracodawcy fundują *executive suite* w jednym z najelegantszych hoteli Europy?

Wyjął szampana z barku i nalał do wysokiego kieliszka. Upił dwa łyki - Deutz był idealnie schłodzony.

Następnie wydobyl z walizki swego przyjaciela - H&K Mk23 i powoli, pedantycznie zaczął go polerować szmatką antystatyczną.

Potem wziął prysznic.

Nie czekał na nią długo - wiedział, o której mniej więcej wraca z pracy, i godzinę wcześniej pojawił się w okolicach Wollzeile. Nie stał pod bramą, bo obawiał się, że jakiś domownik zwróci uwagę na czatującego mężczyznę i zacznie się nim interesować. Po prostu krążył po najbliższej okolicy, dyskretnie zerkając w stronę interesującego go adresu.

Zobaczył ją podczas kolejnej rundy wokół katedry - wychodziła ze sklepu Żary, znajdującego się tuż przy świątyni. Nie zwracała uwagi na przechodniów, bo podziwiała swój zakup spoczywający w firmowej torbie.

Przekroczyła próg kamienicy i już chciała rozpocząć wspinaczkę po schodach, gdy popchnął ją na ścianę.

Spojrzała na niego przerażona, nie mogąc wydobyć z siebie żadnego słowa; była w szoku.

- Powinienem przeprosić, ale nie przeproszę, bo popchnąłem cię celowo - wycedził „Oko” i się gnał pod marynarkę. Wyjął pistolet, a jego lufę skierował w stronę kobiety.

- Nie radzę krzyczeć, bo to się źle skończy - powiedział półszepem i podszedł do niej. Nie odpowiedziała, patrząc jak na zjawę i wypuściła z rąk reklamówkę.

- Ty jesteś Anna Schiegl, prawda? - Zapytał. Pokiwała głową.

- A ja nazywam się Śmierć - przedstawił się, poniekąd zgodnie z prawdą, przykładając lufę do jej szyi.

- O co chodzi, to chyba jakaś pomyłka? - wydukała drżącym głosem.

- Śmierć nigdy się nie myli, co najwyżej przychodzi niespodziewanie. Ale bez obaw - nie musisz dzisiaj nas opuszczać. Możesz żyć całkiem długo i bardzo pięknie. To wszystko zależy od ciebie.

- Jesteś w sprawie księgi?

„Oko” uśmiechnął się niemal dobrodusznie:

- Nie muszę ci się tłumaczyć z tego, co robię, na-



wet jeśli to dotyczy ciebie. Nieważne, w jakiej jestem sprawie. Chcę ci tylko powiedzieć, że mądre dziewczynki tańczą na balach, a głupie dziewczynki leżą pod ziemią. Ty chyba jesteś mądra, prawda?

Cofnęła się dwa kroki i zatrzymała na ścianie.

- Na pewno przysyła cię Stefano. Ale dlaczego grozisz mi śmiercią?

- Po pierwsze, nikt nie powiedział, że znam jakiegokolwiek Stefano. Po drugie, przybywam do ciebie z dobrą radą, a nie z zamiarem wysłania cię do Pana Boga. Jesteś wierząca?

Wzruszyła ramionami.

- A ja kiedyś byłem wierzący. Ale przeszło mi i wcale tego nie żałuję. Jednak szanuję tych, którzy żyją w świecie iluzji. Bo przecież wiara w Boga to iluzja. Nieważne. Oto moja rada: postępuj tak, aby ludzie, którzy mogą ci zrobić krzywdę, nie mieli do ciebie o nic żalu. Proszę cię o coś - ty im to dajesz. I już, żadna filozofia, żaden problem - powiedział i strzelił do ściany. Tłumik wygłuszył hałas, więc nikt w kamienicy przy Wollzeile - oprócz nich dwojga - nie miał pojęcia co się dzieje. Anna zakryła twarz dłońmi.

- Ściana już jest martwa - powiedział zabójca. - Wystarczy nacisnąć na spust, a kula robi wszystko za ciebie. Ściana nie żyje, a ty wciąż

jeszcze jesteś z nami. To chyba dobra wiadomość, prawda?

Milczała, ciężko dysząc.

- Prawda, że dobra? Odpowiedz! - zażądał to nem niebezpiecznego psychopaty. Nie był jednak psychopata, a zawodowcem. Zachowania, które wzbudzały przerażenie ofiar, miał doskonale opanowane - w jakimś sensie był doświadczonym psychologiem i wiedział, jak rozmawiać z osobą pokroju Anny.

- Przecież nic złego nie zrobiłam... - szepnęła.

- Naturalnie, że nie. Ale kto wie, co ci chodzi po tej ładnej główce?

Spojrzał surowo na dziennikarkę i przypomniał jej:

- Pamiętaj, profesorek jest już w niebie, nie masz nikogo, kto mógłby cię wyciągnąć z opresji. Zresztą, żaden był z niego bohater. Samotna kobieta, która porywa się na dużego przeciwnika, nie ma zbyt wielu szans. A może się mylę?

- Czego chcesz?

- Na razie niczego. Przejeżdżałem przez Wiedeń, pomyślałem: poznamy się, pogadamy. No i to wszystko - pogadaliśmy. A jak mnie najdzie ochota, aby powtórzyć tę sympatyczną pogawędkę, wrócę.

Schował pistolet, odwrócił się na pięcie i wolnym krokiem wyszedł z kamienicy. Dołączył do

grupy niemieckich turystów zmierzających w stronę placu Graben i szedł wraz z nimi przez kilka minut. Następnie zniknął w jednej z bocznych uliczek starego Wiednia.

Trzykrotnie wypuszczała telefon z drżącej dłoni, zanim w końcu udało jej się wystukać numer. Po kilkunastu sekundach usłyszała głos człowieka, który mógł jej wyjaśnić, co tak naprawdę przed chwilą zaszło. Gdy opowiedziała mu o spotkaniu z „Oko”, wydawał się zaskoczony.

- Naprawdę ktoś pani groził? Ciekawe kto to był. Może mi go pani opisz?

- Niech pan nie udaje głupiego, to pan go na słał! - krzyknęła, mając świadomość, że jej gniew nie robi na nim jakiegokolwiek wrażenia. Nie myliła się. Odpowiedział jej spokojnie, z nutą lekkiego lekceważenia w głosie:

- Proszę się uspokoić, pani jest wzburzona, nie dziwię się. Sam pewnie też czułbym pewien dyskomfort psychiczny. Ostatecznie, bliskie spotkanie z lufą pistoletu nie należy do przyjemności. Tak mi się przynajmniej wydaje - na razie jeszcze nikt nie próbował mnie w ten sposób nastraszyć.

- Proszę ze mnie nie żartować...

- Nie mam nastroju do żartów - odparł znacznie poważniejszym tonem. - Ale jak mam reagować na wstrętą sugestię, jakobym nasłał na panią tego zbira? To nie w moim stylu, ja się zajmuję rzeczami pięknymi.

- To kto go nasłał?

Parezzio ciężko westchnął: - Ech, szanowna pani, mój biznes to gigantyczna struktura. Ja jestem tylko małym trybikiem, który nie ma pojęcia, jak działa cała machina. I nie powinien się tym interesować. Kto, kogo i na kogo wysłał? Nie mam pojęcia. A jest pani pewna, że ta przykra przygoda, jaka panią spotkała, ma w ogóle związek z targiem, którego chcemy dobić?

- Tak, mam, bo ten potworny człowiek przy pomnił mi, że profesor nie żyje. A to już chyba wystarczający powód, by sądzić, że to nie był agent ubezpieczeniowy.

Parezzio długo nie odpowiadał, więc przyszło jej do głowy, że się rozłączył.

- Jest pan tam?

- Naturalnie, zamyśliłem się. Pewnie ma pani rację - skoro wspomnił profesora, to nie był agentem ubezpieczeniowym. Zresztą, diabli wiedzą. Ci agenci to dziwni faceci, bardzo namolni i nieprzewidywalni.

- Znów pan stroi sobie żarty?

- Już mówiłem: nie mam nastroju do żartów. Boję się o panią. Jeśli raz przyszedł i zapowiedział, że może ponowić wizytę, to ja bym mu ufał. Kimkolwiek jest.

- A ja mam wrażenie, że doskonale pan wie działo o jego wizycie.

- Ech, a pani znowu swoje... Inna sprawa, że ja mam kiepską pamięć, to i owo mogło mi wypaść z głowy. Niby mógłbym przysiąc, że nikogo do pani nie wysyłałem, ale... Hmm... Różnie to w życiu bywa.

- Teraz wszystko jasne: gra pan ze mną w kotka i myszkę. Uważa pan, że znalazłam się w wyjątkowo kiepskim położeniu.

- A czy to nie prawda? Jest pani niczym ten szeryf z „W samo południe”. Wszyscy panią opuścili, a źli ludzie nadciągają do miasteczka. Ale przecież ja jestem dobry, stoję po pani stronie. Rzecz w tym, że pracuję dla tych, którzy chcą od pani coś kupić. Czyli, w jakimś sensie, są przeciwko pani. Oto moja rada: niech im to pani sprzeda. Kupi sobie pani jacht i popływa po Adriatyku. Albo wynajmie murzyna.

- A na co mi murzyn?

- Nie mam pojęcia, pewnie by się przydał. Taka pani ładna, a taka samotna. Ale skoro zapytała pani, na co ten murzyn, to znaczy, że zaczęła pani myśleć w kategoriach pragmatycznych.

A to dobrze rokuje. No, to jak - uda nam się sfinalizować transakcję? Na razie musimy się obejść zapachem przystawki, a my mamy ochotę na danie główne. Mówi pani, że dysponuje tytułową stroną z adnotacją Kopernika i wie, gdzie jest reszta tego egzemplarza „Narratio prima”?

- Tak, wiem, ale nasyłając na mnie bandytów, niczego pan nie wskóra. Nie rozmawiam z bandytami.

Parezzio zaśmiał się serdecznie: - Naprawdę? To się jeszcze okaże. A zresztą nie wiem, o czym pani mówi.

Anna nacisnęła klawisz z czerwoną słuchawką - nie miała siły dłużej słuchać tego kiepskiego, cynicznego aktora.

Włączyła komputer i połączyła się z Internetem. Wkrótce znalazła to, czego szukała. Postanowiła działać - plan, który naprędce wymyśliła, był jedynym, który dawał szansę na doprowadzenie całej sprawy do szczęśliwego końca. Tak przynajmniej sądziła.

Napisała do męża krótki list: „Możesz umiać się, z kim chcesz. Przez kilka dni, a może tygodni, będę poza domem. Chata wolna, a łatwych kobiet - dużo. Zapewniam cię, że to nie jest żaden podstęp - nie zaskoczę was figlujących w naszym łóżku. Naprawdę wyjeżdżam. Powiedzmy, że jest to wyjazd służbowy bez okre-

słonego celu. Taki objazd po Europie w poszukiwaniu tematów. Nie martw się, wszystko jest ok, będę się co jakiś czas odzywać. Jeśli sądzisz, że mam kogoś na boku, to muszę cię rozczarować: niestety, nie mam nikogo. Jestem stara, niezbyt piękna i nikt już na mnie nie poleci. Kocham cię w takim samym stopniu, w jakim ty kochasz mnie, Anna".

Spakowała się do niewielkiej torby i wybiegła z domu. Zatrzymała taksówkę i - żałując, że nie należy ona do znajomego z Budapesztu - zamówiła kurs na lotnisko Schwechat. Nie miała pojęcia, o której odlatuje samolot do interesującego ją miasta, ale wiedziała, że wśród innych podróży i służb ochrony lotniska będzie bezpieczniejsza niż w domu.

* * *

Zanim weszła na pokład samolotu, zażyła tabletkę valium; leku, z którym już od dawna się nie rozstawała. Postanowiła wygłuszyć wszelkie lęki nie alkoholem, ale chemią. Środek zaczął działać mniej więcej w połowie lotu z Wiednia do Warszawy. Nawet zasnęła na kilka minut, ale szybko włączył się jej wewnętrzny alarm ostrzegawczy - powinna być cały czas świadoma tego, co się wokół dzieje.

W Warszawie powtórzyła budapeszteński manewr - poprosiła taksówkarza, aby zawiózł ją do hotelu, który sam uważa za przyzwoity. A przy okazji niezbyt luksusowy.

Tak znalazła się w Sheratonie przy placu Trzech Krzyży. I znów wiedziała, że będzie trochę za drogo, ale była spokojna o stan swego konta bankowego. Spoczywało na nim wystarczająco dużo pieniędzy, by mogła podróżować jeszcze przez kilka tygodni, a może nawet miesięcy.

Dostała pokój z widokiem na jakiś brzydki blok, zupełnie niepasujący do zabytkowego otoczenia. Jednak ta okoliczność zupełnie jej nie przeszkadzała, tym bardziej, że było późno i niedostatki w urodzie miasta przykrywał mrok.

Wyjęła z torebki telefon i zadzwoniła pod numer znaleziony w Internecie.

- Słucham - usłyszała po chwili.

- Dzień dobry, mam na imię Anna, moje nazwisko nic panu nie powie. Przepraszam, że dzwonię o tak późnej porze, ale dopiero pojawiłam się w Warszawie. Czy rozmawiam z panem Łukaszem Dybowskiem? - spytała po angielsku.

- Tak, niech zgadnę, pani na pewno dzwoni w sprawie „Narratio prima” - odparł wydawca, wyraźnie zaintrygowany jej telefonem.

- Ma pan rację. Właściwie nie wiem, od czego zacząć...

- Od początku, bardzo chciałbym wiedzieć, o co w tym wszystkim chodzi.

- Rozumiem, że już ktoś do pana w tej kwestii dzwonił?

- Nie tylko dzwonił, ale także spotkał się ze mną.

- Czy był ubrany na fioletowo?

Najpierw usłyszała śmiech w słuchawce, a potem odpowiedź:

- Tak, widzę, że nasz wspólny znajomy jest konsekwentny. Czy ma pani jakąś wiadomość od niego?

To wszystko wydarzyło się tak szybko, że Anna nie zdążyła opracować odpowiedzi na pytania, mogące się pojawić w trakcie tej rozmowy. Po chwili wahania powiedziała: - I tak, i nie. Musimy się spotkać.

- Czyli ma pani dla mnie jakieś informacje?

- Tak, tyle, że nie od niego. A raczej, nie tylko od niego.

- Tajemnicza z pani osoba.

- Ktoś, kto sprzedaje dokument sprzed pięćset lat, o którym dotychczas nikt nie słyszał, musi być odrobinę tajemniczy.

- Ach, czyli to pani dysponuje tym białym krukiem z odręczną adnotacją Kopernika?

- Powiedzmy, że tak, ale nie chciałabym wyjawiać wszystkich szczegółów.

- Proszę mi powiedzieć jedno: czy Parrezio wie, że pani chce się ze mną spotkać?

- To nie ma znaczenia - ucięła krótko.

- W każdym razie to nie od niego mam pański numer telefonu.

- Wiem, wiem, chyba niepotrzebnie zamieściłam go na naszej stronie internetowej.

- Dobrze pan zrobił. No to jak, spotkamy się? Zapewniam, że nie będzie pan żałował.

- Naturalnie, od rana będę w biurze, mogę też przyjechać tam, gdzie się pani zatrzymała. Przed południem, po południu? Dostosuję się do pani terminarza.

- Nie jutro - teraz. Proszę mi wierzyć: nie mamy czasu. Jeśli będziemy zwlekać, to się może dla nas źle skończyć.

- Powoli przyzwyczajam się do grózb. Widzę, że przyjaciele Stefano mają podobną, co on, metodę prowadzenia konwersacji - odparł chłodnym głosem Dybowski.

- Nie jestem jego przyjaciółką i nie grożę panu. A, że zrobiło się niebezpiecznie, to fakt. Dla mnie i dla pana. Dlatego nalegam, abyśmy jeszcze dziś porozmawiali.

- Dobrze, gdzie mam przyjechać?

- Do Sheratona, mieszkam w pokoju 206. Spojrzała na zegarek - dochodziła dwudzieścia trzecia.

Faktycznie, jeden raz robotę schrzanił. Głupio, bardzo głupio i po dziś dzień nie mógł sobie tego darować. Wtedy nie chodziło o stare księgi, ale o coś naprawdę ważnego - o broń dla jakiejś polskiej mafii. Sprzedawali ją chłopcy z Albanii, a dostawę organizowali Ukraińcy. I wszystko szło jak należy - karabiny dotarły do Polski tradycyjną drogą: Serbia, Bułgaria, Rumunia i Ukraina. Ale ciężarówkę zatrzymały te pajace z Inspektoratu Kontroli Transportu. Czyli już w Polsce. Coś im się nie spodobało, wezwali gliny i zaczęła się afera. Śledztwo prowadził młody prokurator z Warszawy - taki, którego nikt jeszcze nie znał i nie dało się z nim dogadać. Kali-nowski miał na nazwisko. Ludzie Stafano podjęli próbę dotarcia do tego frajera, ale on chciał być niezłomny. Niestety, udało mu się zatrzymać gościa, który pośredniczył pomiędzy Ukraińcami a Polakami. Na czym konkretnie polegała jego rola, tego „Oko” nie wiedział, ale było

jasne, że aresztowany miał sporą wiedzę. I dość szybko zaczął sypać. Nie było możliwości, żeby go odstrzelić, więc przyszło zlecenie: trzeba nastraszyć prokuratora. Polska to nie Włochy, prokuratorzy chodzą normalnie po ulicach i póki ktoś im nie zrobi krzywdy, czują się bezpiecznie. Nastraszyć, ale nie wyeliminować - niech się odsunie od sprawy albo zaczną współpracować. Co mu szkodzi zostawić w spokoju ludzi, którzy jak nie teraz, to później, zdobędą karabiny i będą do siebie strzelać? Chcą się pozabijać - ich sprawa. Dostał adres tego prokuratora i cały pakiet jego zdjęć. Wkrótce znał tę twarz na pamięć, więc wystarczyło spotkać go na pustej ulicy. Zresztą mieszkał w takiej okolicy, gdzie raczej nie zapuszczały się zagraniczne wycieczki. Czekał, czekał, aż się doczekał. Prokurator wyszedł z klatki schodowej i skierował się przed siebie. Zupełnie, jakby nie zdawał sobie sprawy, że robota prokuratorska bywa niebezpieczna. Nawet nie wszedł do samochodu, tylko spacerował pustą ulicą, prowokując los. „Oko”, nie wierząc własnym oczom, uznał, że takiej okazji nie wolno przepuścić - zabiegł mężczyźnie drogę i strzelił mu w kolano. Z małego kalibru, żeby dało się uratować nogę. Tamten zwinął się jak zasypiający jeź i upadł na chodnik. Następnego dnia dzwoni Stefano i wrzeszczy:

- „Oko”, kogoś ty postrzelił?
- Jak to kogo, prokuratora - odpowiada Serb.
- Jesteś pewien?
- Oczywiście, dałeś mi jego zdjęcia.
- Cholera, przecież miał brata bliźniaka. Mówiłem ci o tym!

- Ale to było pod domem prokuratora!
- Facet był z wizytą u brata. Do prokuratora tak łatwo się nie strzela, wsiadłby do służbowego samochodu i tyle byś go widział. Spaprałeś robotę. Teraz prokurotek będzie jeszcze ostrożniejszy.

Na wspomnienie tamtej „wtopy” zabójca wzdrygnął się - przez dłuższy czas nie śmiał pokazać się Stefano na oczy. Tym bardziej, że broń nigdy nie dotarła do adresata i wielki deal zakończył się fiaskiem.

Zadzwoił telefon - na wyświetlaczu pojawił się komunikat Donna Clara. To znaczyło, że Stefano czegoś od niego chce.

- Narobiła w majtki? Jak cię znam, Vlado, to jeszcze nie przestała się trząść - powiedział we soło Stefano.

- Chyba narobiła, w każdym razie była blada jak ściana - odparł Serb. - Akurat stała pod białą ścianą.

- No, ale jednak głowy nie straciła.

- Nie rozumiem.

- Jakieś pół godziny po waszym sympatycznym tete a tete wyszła z domu i chyba nie zamierza szybko wrócić.

- A skąd ty o tym wiesz?

- Ktoś ją widział z niedużą torbą podrózną w ręku. Szła bardzo szybko, właściwie biegła.

- Kto taki?

- Człowiek, któremu mogę zaufać.

- Czy to znaczy, że mnie nie ufasz?

- Ależ „Oko”, ufam ci bardziej niż sobie samemu. Staram się ciebie chronić...

- Co ty pieprzysz? Ja nie potrzebuję żadnej ochrony.

- Ależ potrzebujesz, wszyscy jesteśmy jak dzieci we mgle. Zresztą mój człowiek miał obserwować ją, nie ciebie. Ty zrobiłeś swoje i rozplynąłeś się w tłumie. Dobra robota, profesjonalna. A mnie interesowała jej reakcja. Uciekła nam, ale nie na długo. Nie będzie bez końca włóczyła się po świecie. Do tego potrzebne są pieniądze, a ona chyba nie wygrała kilku milionów w lotto. Myślę, że to ona się do nas odezwie, sądząc, że znajduje się w bezpiecznym miejscu. A nie jest bezpieczna, dopóki ty, „Oko”, stary druhu, jesteś gotów jej poszukać. Mam rację?

- Daj znać, jak coś będziesz wiedział - mruknął zabójca i rozłączył się, nie czekając na pożegnane słowa Stefano.

* * *

Zapukał delikatnie, jakby obawiał się, że ktoś mu zrobił zart i w pokoju numer 206 nikt na niego nie czeka. Otworzyła mu filigranowa brunetka o delikatnej urodzie, na oko nieco starsza od niego, ale nie więcej niż o pięć lat.

- Nazywam się Łukasz Dybowski, rozmawialiśmy pół godziny temu — powiedział.

- A ja Anna Schiegl, miło mi - podali sobie ręce. Kobieta zaprosiła go do pokoju. Usiedli obok siebie na tapczanie.

- Jeśli chce się pan czegoś napić, to służę barkiem hotelowym - wskazała ręką szafkę, znajdującą się pod telewizorem. Pokręcił głową i odparł: - Właściwie to pani jest moim gościem. Mógłbym panią zaprosić do jakiegoś baru, ale obawiam się, że o tej porze nie znajdziemy niczego sensownego. Chyba, że w hotelu.

- Może innym razem - uśmiechnęła się zalotnie. - Teraz chciałabym z panem porozmawiać, a do tego wystarczy nam pokój hotelowy. Bez obaw, nie zajmę panu dużo czasu.

- Jeśli to ważne, to proszę nie przejmować się moim czasem. Zresztą zwykle późno chodzę spać.

- To zupełnie tak, jak ja... Przejdźmy do rzeczy, żeby w porę uchronić się przed wiecznym snem.

- A pani nie przestaje mi grozić...

Spojrzała mu w oczy i dotknęła jego prawej dłoni.

- Myli się pan, ja po prostu przewiduję różne scenariusze.

Wstał z tapczanu i okrążył pokój, czując jej wzrok na sobie, niczym aktor grający Hamleta. Nagle zatrzymał się i zapytał:

- Jakie scenariusze, o czym pani mówi? Co jest, do diabła, grane? Od czasu, gdy wydałem na zlecenie jednej z fundacji pewną niewinną, naprawdę niewinną książkę, zaczęły się dziać wokół mnie bardzo dziwne rzeczy.

- Nie tylko wokół pana. Faktycznie, sytuacja z dnia na dzień staje się coraz bardziej dziwna. Powoli mnie to wszystko przerasta...

- A ja mam wrażenie, że to pani jest tą osobą, która nakręciła całe to zamieszanie.

Otworzyła barek i wyjęła z niego dwie małe buteleczki whisky. Wyciągnęła do niego rękę z jedną z nich. Odmówił, tłumacząc się tym, że przyjechał samochodem. Ona wypiła, nie zadając sobie trudu szukania szklanki.

- Bardzo tego żałuję, ale nie mam innego wyjścia - muszę doprowadzić transakcję do samego końca.

- A jaka w tym moja rola? Dlaczego wciąga cie mnie w jakieś podejrzone interesy? Kontakt

ze światem przestępczym ograniczam do oglądania filmów w telewizji. No i wydawania książek o takiej tematyce.

- Proszę mi wierzyć, ja też jestem uczciwą osobą. Niestety, kontrahent, który chce ze mną dobić targu, chyba nie do końca przestrzega zasad określonych przez prawo. To nie ja pana w to wciągam, przecież wcale pana nie znam.

- A jednak, gdyby nie księga, którą chce pani sprzedać, nie miałbym przyjemności spotkania się z człowiekiem, od którego na kilometr śmierdzi mafią. Obawiam się, że moja znajomość z nim może potrwać nieco dłużej. Mówiąc pół żartem, pół serio - jeśli znajdą mnie z kulką w głowie, pani nie będzie mogła powiedzieć: to nie moja wina.

Otworzyła drugą buteleczkę i nadspodziwianie łatwo poradziła sobie z jej zawartością. Spojrzał na nią ze zdziwieniem pomieszanym z podziwem. Uznała za konieczne wytłumaczyć mu się z tego.

- Zapewniam pana, że nie mam problemów z alkoholem. Prawdę mówiąc, nie przepadam za whisky. Ale ostatnio moje życie jest - jakby to powiedzieć? - trochę nerwowe.

Opowiedziała mu o spotkaniu z „Oko” sprzed kilku godzin, choć swą relację wyrwała z kontekstu swych rozmów ze Stefano - po prostu

ktoś jej groził i zapowiedział ciąg dalszy represji.

- Oto, dlaczego chciałam się z panem spotkać. Boję się, że i pan może stać się dla nich celem. Tak, jak ja. Musi pan być ostrożny - dodała.

- Nie dziwię się, że sięgają po takie metody. Tacy ludzie nie bawią się w finezyjne negocjacje. Coś, co jest wskazane w dyplomacji, w mafii byłoby potraktowane jako objaw słabości. Rozumiem, że chcą panią nastraszyć. To jest właśnie ustalanie ceny tej księgi. Ale spóźniła się pani: mnie już grożono, a przecież nie mam niczego cennego do zaoferowania.

Odwzajemnił się jej swoją opowieścią o spotkaniu w bielańskim kościele.

- Pan może im pomóc w uzyskaniu lepszej ceny, kiedy już będą mieli moją księgę i zechcą ją sprzedać komuś naprawdę bogatemu. Pana świadectwo będzie jednym z dowodów na to, że podpis Kopernika jest autentyczny. Tak samo, naturalnie, jak strona tytułowa oraz księga.

- Czyli teraz są osobno?

- Powiedzmy, że tak. Ale bez problemu da się oba elementy połączyć w jedną całość. Co, oczywiście, znacznie podniesie wartość całości.

- Nie pytam, jak to się stało, że strona tytułowa została oddzielona od reszty „Narratio prima”. W ogóle nie chcę za dużo wiedzieć. Ale jed-

na rzecz bardzo mnie frapuje: skąd pani ma księgę?

Odwróciła głowę do ściany i przez ciągnącą się w nieskończoność minutę nie odpowiadała na jego pytanie.

W końcu szepnęła: - Sądzę, że pan nie uwierzy. Parezzio też długo nie mógł uwierzyć.

- Proszę dać mi szansę - obszedł tapczan naokoło i przykucnął przy niej.

- W porządku. Zna pan historię Anny Schilling?

- Oczywiście, bardzo się tym interesowałem. Ostatecznie, kochanka kanonika Kopernika to fascynujący temat - uśmiechnął się, po czym, gdy coś zaczęło mu świtać, wytrzeszczył oczy.

- Co pani ma wspólnego z Anną Schilling?

- Krew - odparła spokojnie.

- Nie wierzę...

- Mówiłam, że pan nie uwierzy.

Zaczął machać rękami jak kiepski bramkarz, który nie ma pomysłu na obronę trudnego strzału.

- Bo ta informacja należy do katalogu rzeczy niewiarygodnych. Może jeszcze mi pani powie, że jest owocem związku Anny i Kopernika?

Na jej twarzy pojawił się pobłażliwy grymas.

- Oni nie mieli dzieci. Anna opuściła astronoma w 1539 roku i zamieszkała w Gdańsku. Owszem, spotkali się jeszcze kilkakrotnie, ale po-

tomstwa z tego nie było. W ogóle nie jestem pewna, czy łączyło ich coś więcej oprócz uczucia czysto platonicznego. Anna miała dzieci z legalnego małżeństwa.

- Przeglądałem kiedyś tabele genealogiczne linii Anny i ślad się urywa już na następnym pokoleniu. Nie wiadomo, kto był jej wnuczką, prawnuczką i tak dalej.

- Może miał pan do dyspozycji kiepskie tabele? Zapewniam, że te, które przechowuję w domu, nie pozostawiają wątpliwości.

- Powiedzmy, że to prawda. Ale to jeszcze nie wyjaśnia, skąd pani ma tę księgę?

Przykucnęła obok niego.

- Księga przekazywana jest z pokolenia na pokolenie i chyba nadszedł czas, aby zrobiła coś dobrego dla rodziny. Kopernik dał ją Annie pomiędzy 1540 a 1542 rokiem, czyli jeszcze przed wylewem, dopóki mógł samodzielnie działać. Ufał jej bardziej niż komukolwiek na świecie i chciał, aby jego wyznanie znalazło się we właściwych rękach. Miała je upublicznić tylko w ostateczności. Wiarygodna historia?

Pocałowała go po matczynemu w policzek. Rozmawiali jeszcze przez pół godziny, z każdą chwilą czując coraz większe powinowactwo dusz.

Kiedy wyszedł, zadzwoniła do Parezzio.

Od rozmowy z Anną minęły dwa dni. Kobieta obiecała mu, że odezwie się już wkrótce i przedstawi swój plan: jeśli będą działać wspólnie, obojgu się to opłaci. Jeśli mocodawcy Parezzio zapłacą uzgodnioną sumę, Dybowski otrzyma taką jej część, że z pewnością będzie zadowolony. Jednak nie powinien lekceważyć propozycji włoskiego pośrednika, który zlecił - choć właściwsze byłoby określenie nakazał - wydanie książki, potwierdzającej istnienie egzemplarza „Narratio prima” z odręcznym dopiskiem Kopernika.

Kiedy Dybowski wspomniał Annie o swej rozmowie z antykwariuszem i sumie, jaką nabywca powinien zapłacić za tego najbielszego z kruków, ona machnęła ręką.

- Niech zapłacą jedną dziesiątą tej kwoty, i tak będziemy zadowoleni.

- A nie sądzi pani, że to wszystko wygląda zbyt bajkowo? Przynajmniej z mojego punktu widzenia. Oferuje mi pani bogactwo właściwie

w zamian za nic. Nie wierzę, że działa pani sama. Pytanie: czy powinienem się bardziej obawiać gangsterów czy może raczej pani? - Zapytał, gdy ich rozmowa dobiegała końca.

- Tak naprawdę, to oni pana wybrali. Nie ja. O pana istnieniu dowiedziałam się z książki, którą Parezzio miał ze sobą w Budapeszcie. Po prostu, wolę mieć pana po swojej stronie. Zbliża nas do siebie wspólne zagrożenie - jeśli nie do staną ode mnie tego dzieła, mój los będzie przesądzony. Jeśli uznają że działa pan wspólnie ze mną - a po wydaniu książki o Gdańsku stał się pan dla nich osobą o podejrzanych intencjach - także pan ma się czego bać. Myślałam, że mam do czynienia z kolekcjonerami. To, co się dzieje, wymyka się spod mojej kontroli.

Także teraz, idąc do biura, Dybowski nie mógł przestać myśleć o tej rozmowie. Z jednej strony podniecała go myśl o niespodziewanym wzbogaceniu się (już rozważał stworzenie serii najsłynniejszych powieści sensacyjnych świata i zakup praw do tuzów gatunku), z drugiej bał się, że bańka mydlana jego marzeń pęknie z wielkim hukiem.

Przekroczył próg kamienicy, gdzie znajdowała się siedziba jego wydawnictwa, wszedł na piętro, przemierzył niedługi korytarz, nacisnął kłamkę i otworzył drzwi. Wstrzymał oddech. To,

co zobaczył, wyglądało jak plan kiepskiego kryminalnego filmu - na podłodze leżała Kasia, a obok niej stał mężczyzna, kierujący lufę pistoletu w stronę jej głowy. Po podłodze walały się książki i maszynopisy, które wysypały się z przewróconych półek. Zrobił krok do przodu i wtedy poczuł tępy ból z tyłu głowy - zapadł się w jakąś mroczną otchłań.

Gdy się ocknął, ujrzał nad sobą zimne, świdrujące oczy nieznanego mu mężczyzny z pistoletem w ręku. Czyli napastników było dwóch, bo przy Kasi cały czas stał jej oprawca.

- Życzę miłej pracy nad książką - wycedził nieznanomy łamaną angielszczyzną.

- To dość osobliwa zachęta - szepnął Dybowski i pomacał tył głowy. Na palcach zobaczył ślady krwi.

- Zawsze może być gorzej - odparł sentencjonalnie napastnik. - Nie próbuj nas oszukiwać, bo to się źle skończy.

- Przecież wcale was nie oszukuję. Zbieram materiały do tej cholernej książki. Ciężko mi idzie, bo zadanie jest prawie niewykonalne.

- Masz rację, znacznie łatwiej zastrzelić niż napisać coś sensownego - powiedział człowiek z pistoletem i przystawił broń do policzka Dybowskiego. - Postaraj się chłopie, a wtedy wszyscy będą zadowoleni.

Wydawca spojrzał na Kasię - w jej oczach dostrzegł błaganie: nie rób głupstw, nie stawiaj się, zgódź się na wszystko, czego tylko chcą. Kiwnął głową.

- Parezzio mówił, że będziemy współpracować przy pisaniu tej książki, a nawet się nie odezwał. Skąd mam brać materiały do tej mistyfikacji? Bo przecież chodzi o mistyfikację.

Napastnik poklepał Dybowskiego po ramieniu:

- To była właśnie pierwsza sesja tej współpracy. Powiedzmy, że dostałeś materiały do pierwszego rozdziału. Z następnymi powinno pójść łatwiej.

Wstał, schował pistolet do kieszeni i kiwnął głową na swego kompana. Tamtej wsunął broń za pasek i wyjął zza pazuchy niewielką butelkę. Jej zawartość wylał na papiery i książki, po czym zapalił zapałkę i położył ją na podłodze. Ogień buchnął prawie do samego sufitu. Dybowski rzucił się do gaszenia pożaru, jednak Kasia cały czas leżała niczym sparaliżowana.

- Tak jest, zajmijcie się czymś pożytecznym. Umiejętność gaszenia ognia bywa bardzo przydatna - zaśmiał się ten, który rozmawiał z wydawcą.

Po chwili napastników już nie było - Dybowskiemu nawet nie przyszło do głowy, by ich wypatrywać przez okno.

Godzinę później, gdy po kilkuset stronach maszynopisów pozostał jedynie popiół, zadzwoniła komórka.

- Udała się rozmowa? - z głosu Parezzio trudno było wywnioskować, czy wie, na czym owa rozmowa polegała.

- Dlaczego pan mi to robi? - szepnął Dybowski.

- Nie rozumiem, chcę dać panu zarobić.

- Naprawdę? A mi się wydaje, że chce mnie pan nastraszyć. Dostałem kolbę pistoletu w głowę, podpaliliście mi biuro. O jakim zarobku pan mówi?

Parezzio ciężko westchnął: - Ech, ludziom nie można ufać. Mieli z panem porozmawiać spokojnie, wytłumaczyć to i tamto, uczciwie przedstawić i szansę i zagrożenia. A oni od razu w łeb... Ja bym nigdy tak pana nie potraktował.

- Nie wierzę panu.

- A czy ja mogę panu wierzyć? Bardzo mnie pan zawiódł.

- Tym razem to ja nie rozumiem.

- Rzekomo nie znał pan Anny Schiegl...

Dybowski nie wiedział, co odpowiedzieć. Czy Parezzio dowiedział się o ich spotkaniu w Shera-tonie?

- Nie muszę spowiadać się panu ze swoich znajomości - odparł wymijająco, choć wiedział, że to kiepska odpowiedź.

- A więc zna ją pan? Potwierdza pan to?

- Kiedy rozmawialiśmy na Bielanach, pan i ja, nie miałem pojęcia, kto to taki.

- I ja mam uwierzyć, że poznał ją pan przy padkowo w ostatnim czasie? Powiedzmy wczoraj? Szła ulicą, upadła, a pan ją podniósł.

- Powiedzmy...

- Posłuchaj gnojku, nie będziesz robił ze mnie durnia - głos Włocha zmienił się nie do poznania. Nie było w nim już ani odrobiny udawanej jowialności, a jedynie czysta wściekłość.

- Wiem, że coś kombinujesz z tą austriacką dupą. Nie mam pojęcia, jaka jest w tym twoja rola, ale chyba cię nie doceniłem.

- To nieprawda, nie mam z tym nic wspólnego... - próbował przekonywać Dybowski, ale Paruzzio zignorował jego rozpaczliwe wezwania i ciągnął dalej:

- Masz, wiem o tym z bardzo dobrego źródła. Dlatego nie zaprzeczaj, tylko posłuchaj i prze myśl to, co ci powiem. Tam, gdzie się gra o wielkie stawki, nie ma sentymentów. Dostałem zlecenie i je wykonam, choćby po trupach. Także po twoim i tej twojej przyjaciółki. A gdyby okazało się, że to wszystko lipa, że nie ma żadnej autentycznej księgi z rękopisem Kopernika, a jest tylko wydruk z komputera, to jeszcze gorzej. Przecież my już ponieśliśmy wielkie koszty i nie odpuścimy temu, kto nas w nie wpędził. Zrozu-

miałeś? Odezwe się w ciągu kilku dni i umówimy się na oględziny tego, co macie do sprzedania. Lepiej, żebyście to mieli. Jeśli nie, moi ludzie wrócą i wyślą cię do piekła razem z twoimi niewydanymi książkami. Ona ci będzie towarzyszyć. Ale co cię to obchodzi? Przecież prawie zupełnie się nie znacie...

* * *

Tym razem to on do niej zadzwonił. Był tak przerażony, że początkowo ledwie konstruował logiczne zdania złożone.

- Pobili mnie i podpalili moje biuro, nie mam pojęcia dlaczego.

Anna Schiegl nie wydawała się zaskoczona.

- Mówiłam panu, że oni są nieobliczalni. Na razie to wszystko są groźby, które mają nas zmiękczyć. Za jakiś czas zaostrzą metody - powiedziała tonem delfickiej wyroczni.

- Dzwonił do mnie Parezzio. On twierdzi, że pani i ja jesteśmy, jakby to powiedzieć, parą biznesową i to już od jakiegoś czasu. Że razem wymyśliliśmy ten interes z „Narratio prima”.

- To przecież absurd! - krzyknęła.

- Zapewniał mnie, że wie to z dobrego źródła. Proszę mi wybaczyć, ale sądzę, że to pani jest tym źródłem.

- On blefuje, jak zawsze. Dlaczego miałabym narażać pana na tak wielkie niebezpieczeństwo?

- Nie mam zielonego pojęcia. Wiem tylko, że zostałem wrobiony w cholernie dużą aferę i nie ma z niej dobrego wyjścia. Wolałbym, aby pani rzeczywiście nie była jego wtyka.

Otarł zroszone potem czoło i powiódł spanikowanym wzrokiem po nadpalonych okładkach książek. Kasia cały czas tkwiła w pozycji nieruchomej i wyglądała jak osoba pozująca do obrazu.

- Niedawno rozmawiałam z Parezzio, fakt, on bardzo często do mnie dzwoni, pyta jak sprawy, wciąż nalega na spotkanie. Ale to jeszcze nie znaczy, że pan jest tematem tych rozmów - powiedziała głosem tak szczerym, że nie mógł wątpić w prawdziwość jej wyznania.

- Właściwie wszystko mi jedno. Pętla się zaciska i muszę coś z tym zrobić. Zaraz idę na policję zgłosić napad.

- Niech pan tego nie robi! - zaprotestowała gwałtownie. Przecież ludzie Parezzio mogą być cały czas w pobliżu. Jeśli zobaczą pana w pobliżu komisariatu - nawet jeśli pojawi się pan tam zupełnie przypadkiem - mogą zrobić coś jeszcze gorszego.

Dybowski wcale nie zamierzał iść na policję, przynajmniej nie od razu, kilka minut po napadzie. Chciał tylko poznać jej reakcję na taki pomysł.

- Dobrze, zaczekam, choć sędzę, że to głupia decyzja. Co pani proponuje?

- Jeszcze jedno spotkanie.

Wybuchnął sztucznym śmiechem: - Może w obecności tych drani, którzy podpalili mi biuro? Jasne, przejdźmy się razem Marszałkowską, to główna ulica w Warszawie, niech nas wszyscy zobaczą.

- Musimy zachować ostrożność. Czy może mi pan poświęcić dwa dni?

- Nie rozumiem.

- A co tu rozumieć? Dwa dni, tyle nam wystarczy.

- Zapowiada się długa rozmowa. Chyba nie w katedrze?

- Czemu nie? Tam, gdzie chcę pana zobaczyć jest bardzo piękna katedra.

- Ma pani na myśli inne miasto niż Warszawa?

- Tak, Toruń.

- Dlaczego akurat Toruń? Mamy wiele pięknych miast...

- Proszę nie żartować, uroda polskich miast w tym momencie zupełnie mnie nie interesuje. Żeby było jasne - austriackich również nie. W Toruniu znajduje się klucz do całej zagadki.

Dybowski nerwowo przełknął ślinę i przełożył telefon ze spoczonej lewej ręki do prawej. Chciał

jak najszybciej zakończyć tę rozmowę, bo Kasia powoli wychodziła z niby-letargu i zaczęła wydawać z siebie żalosne piski. Zgarniała z podłogi popiół, po czym czarnymi dłońmi ocierała twarz. Po chwili wyglądała komicznie, ale wydawcy nie było do śmiechu.

- To chyba nie dzieje się naprawdę... - szepnął.

- Niestety, to wszystko prawda - odparła.

Umówili się na następny dzień. Mieli dotrzeć do Torunia osobno - on samochodem, ona pociągiem. Poprosiła go jeszcze, aby zabrał ze sobą aparat fotograficzny. Jeśli nie ma porządnego, dobrze by było, aby sobie taki sprawił.

Nie pytał, na co im aparat, ale obiecał wziąć swojego Nikona F4.

Kiedy odkładał telefon na biurko, zobaczył fioletową kopertę, której wcześniej tam nie było. Po kolorze sądząc, nadawca był oczywisty. Najwyraźniej napastnicy zostawili wiadomość od Włocha.

Rozerwał kopertę, wydobyl ze środka niewielką kartkę papieru i przeczytał to, co było na niej napisane.

- Jezu, nie opuszczaj mnie teraz - powie dział, patrząc na Kasię, która wciąż rozcierała w dłoniach popiół.

Dwulitrowy silnik w kilka sekund rozbijał se-ata leona do setki. Dybowski pędził Marymoncką i wkrótce znalazł się na siódemce - drodze prowadzącej do Gdańska. Niecałe pięćdziesiąt minut później minął Płońsk i zjechał na szosę prowadzącą do Bydgoszczy i Torunia. Wprawdzie na trasie było wiele automatycznych radarów, on nie zwracał uwagi na znaki ograniczające prędkość - chciał być jak najdalej od Warszawy i jak najszybciej spotkać się z Anną Schiegl.

Dochodziło południe, gdy minął tablicę z napisem „Toruń”. Umówili się w miejscu, które łatwo było odnaleźć: wszystkie drogi prowadziły pod pomnik Kopernika, stojący tuż obok staromiejskiego ratusza.

Zostawił samochód na parkingu pod teatrem Horzycy i ruszył wolnym krokiem ulicą Chełmińską w stronę rynku. Mieli się spotkać mniej więcej o pierwszej po południu - jej pociąg wyruszał z Warszawy o dziewiątej rano i przyjeżdżał



do Torunia niespełna trzy godziny później. Dy-bowski miał zatem jeszcze sporo czasu, więc, zgodnie z obyczajem uświęconym przez lata, odwiedził sklep ze swoimi ulubionymi toruńskimi piernikami.

Jego sekretarka, Kasia (której zabronił przychodzić do biura podczas jego nieobecności), nie mogła zrozumieć dlaczego - mając do wyboru niezliczoną ilość czekolad i herbatników - zawsze kazał kupować do biura wypieki z Torunia.

- Z szacunku dla tradycji - odpowiadał jej niezmiennie. - Czy wiesz, że te pierniki powstają w Toruniu już od trzynastego wieku? A fabryka, która je produkuje, działa od prawie trzystu lat - dodawał tonem wykładowcy.

- No, ale czasy się zmieniły - argumentowała.

- Coś, co smakowało ludziom średniowiecza...

- Smakuje również współczesnym.

Kasia kręciła głową z niedowierzaniem. - Ale ten smak jakiś taki... niedzisiejszy.

- Masz rację, nikt już nie dodaje do ciastek prawdziwego miodu, cynamonu, goździków, imbiru. Gdybyś wiedziała, z czego naprawdę robi się te modne słodczyce...

- Niby z czego?

- Z preparatów chemicznych. Nawet czekolada nie jest czekoladą. A tu mam chociaż coś prawdziwego, choć, przyznaję, nie każdemu to smakuje.

- Gdybyś chociaż pozwalał mi kupować cze koladowe pierniki, z nadzieniem. Są smaczniejsze, a też z Torunia.

- To prawda, ale kiedy jem Katarzynki, czyli pierniki w czystej postaci, to czuję się, jakbym oglądał starą księgę albo podziwiał ołtarz Wita Stwosza.

Sekretarka, widząc, że nie zmieni obyczajów swego szefa, wruszała ramionami i schodziła do sklepu po Katarzynki, ewentualnie po glazurowane serca. Ciekawe, że taka rozmowa, niemal w niezmienionej postaci, powtarzała się co tydzień i nic nie zapowiadało tu zmiany. Tym razem kupił paczkę serc toruńskich w firmowym sklepie przy Żeglarskiej, bo postanowił zaraz potem wejść do Katedry Świętych Janów, wznoszącej się nieopodal. Zamierzał przygotować się duchowo do rozmowy o „Narratio prima” - ostatecznie kaplica Zaśnięcia Najświętszej Marii Panny, zwana kopernikańską, znajdująca się na samym początku prawej nawy, idealnie się do tego nadawała. Chociaż stosunek Dybowskiego do spraw religii był mocno liberalny i będąc w kościele, niezwykle rzadko klękał przed ołtarzami, tym razem nie chciał się odróżniać od reszty zebranych w świątyni. Akurat w kaplicy znalazła się rozmodlona wycieczka z kółka różańcowego, więc i on przyklęknął, kierując swój

wzrok ku średniowiecznej chrzcielnicy. Wprawdzie tabliczka ustawiona przy zabytku głosiła, że ochrzczono w niej Kopernika, ale wydawca nie wierzył w prawdziwość tych słów.

- To zupełnie tak samo jak z kołyską Chopina w Żelazowej Woli, która nie ma nic wspólnego z kompozytorem - pomyślał, a potem spojrzął na portret astronoma z 1580 roku.

- No i co mi powiesz, doktorze Mikołaju? Na prawdę istnieje egzemplarz „Narratio prima”, w którym zaparłeś się swoich teorii? Naprawdę przekazałeś go twojej ukochanej, by zrobiła z niego użytek, jeśli znajdzie taka potrzeba? A może z Anną wcale nie łączyła cię miłość: po prostu dobrze gotowała i sprzątała? - szeptał, jakby wierzył, że portret da mu jakiś znak.

Jednak astronom, patrzył przed siebie i nie zwracał uwagi na faceta z Warszawy. Dybowski wstał z klęczek i nie odrywając wzroku od Kopernika, dodał w myślach:

-1 jeśli dziś zginę, to pamiętaj, że to w jakimś sensie przez ciebie.

Zobaczył, jak krąży po rynku, rozglądając się na boki - była na obcym dla niej terytorium i nie czuła się zbyt pewnie. To było oczywiste dla po-

stronnego obserwatora. Do umówionego spotkania pozostało jeszcze kilka minut, więc nie podchodziła do pomnika, ale przyglądała się starym kamienicom na rynku. Największe wrażenie robił na niej neorenesansowy Dwór Artusa - lustrowała go od góry do dołu niczym modela na wybiegu, prezentującego bieliznę.

- Pewnie myśli, że jest starszy niż w rzeczy wistości - pomyślał Dybowski, ale nie podchodził do Anny.

Z każdą chwilą ta kobieta stanowiła dla niego coraz większą tajemnicę: czego od niego chce? Czy faktycznie posiada skarb i jest gotowa zmierzyć się z mafią?

Tymczasem ona zadarła głowę - pewnie zobaczyła anioła dzierżącego w dłoni klucze do miasta i grodzki herb. Skrzydlaty chłopiec nie interesował się damą z Wiednia, spoglądał w niebo, być może na gołębice, które zniżały lot nad pomnikiem astronoma.

Anna podeszła do Dworu i przylgnęła do szyby wystawowej. Dybowski zarechotał. Żaden detal architektoniczny, żaden znak wywodzący się z odległej przeszłości nie zainteresował jej w tym stopniu, co sklep kosmetyczny. Kobieta. Weszła do środka, a on za nią.

- Ja też lubię piękne zapachy - powiedział, stając tuż za jej plecami.

Delektowała się zapachem wody toaletowej, sprzedawanej w bardzo atrakcyjnej cenie.

- Od lat używam Kenzo... - powiedziała za skoczona, jakby Dybowski złapał ją na jakiejś wstydlivej czynności. Odstawiła flakonik i po dała mu rękę.

- Napijemy się kawy? - zaproponował. Skinęła głową i wyszli z perfumerii.

Kawiarnia znajdowała się kilka kroków dalej - także w Dworze Artusa - i nosiła osobliwą nazwę „Struna światła”. Była pomyślana jako hołd dla twórczości Zbigniewa Herberta. Na jednej ze ścian wisiała tabliczka z myślą ukutą przez poetę: „Kura jest najlepszym przykładem, do czego doprowadza bliskie współżycie z ludźmi. Zatraciła zupełnie ptasią lekkość i wdzięk. Ogon sterczy nad wydatnym kuprem jak za duży kapeluszy w złym guście. Jej rzadkie chwile uniesienia, kiedy staje na jednej nodze i zakleja okrągłe oczy błoniastymi powiekami, są wstrząsająco obrzydliwe”.

Zagraniczni turyści, którym nazwisko Herbert nic nie mówiło, mogli odnieść wrażenie, że znaleźli się w głównej sali starego niderlandzkiego ratusza. Zaraz pojawią się rajcy i rozpoczną spór.

Usiedli pod ostrołukiem, jakby żywcem przeniesionym z czasów powstania pierwszego Dwo-

ru Artusa, czyli drugiej połowy XIV wieku. On zamówił kawę, ona kieliszek czerwonego wina.

- Dlaczego chciała pani spotkać się akurat w Toruniu? - zapytał.

- Proszę mówić do mnie Anna, tak będzie prościej.

Uścisnęli sobie dłonie.

- A zatem? - oparł głowę na zaciśniętych pięściach i czekał na odpowiedź. Ona wypila dwa łyki bordeaux i odparła:

- Gdybyśmy mieli więcej czasu, być może mogłabym nieco dłużej krążyć wokół sedna. Być może udałoby mi się zwodzić i ciebie i cały świat przez następne tygodnie. Opóźniałabym odkrycie kart. Niestety, nie mamy czasu.

- Dlaczego miałabyś zwodzić cały świat? Masz na pieńku z całą ludzkością?

- Powiedzmy, że mam na pieńku z tą częścią świata, którą najbardziej kochałam, której najbardziej ufałam.

Dybowski opuścił głowę, udając, że zajmuje go wyłącznie mieszanie kawy. Nie bardzo wiedział, jak zareagować, gdy wkroczyła na terytorium spraw osobistych. Nie chciał patrzeć na nią jak śledczy, bo mogłoby to wzbudzić w niej nieufność.

- Ale to teraz nie ma znaczenia. Interesuje mnie dokończenie tego, co zaczęłam. Ciebie też

to powinno interesować - kontynuowała. - Rzecz w tym, że sprawy trochę się pokomplikowały.

- Tak bardzo, że musimy się spieszyć, żeby zdążyć przed katastrofą?

-Tak.

Teraz wydawca przeniósł wzrok na Annę i spytał:

- Czemu po prostu nie pokażesz im tej książki? Niech zobaczą, że to nie jest kot w worku, niech zapłacą i wynoszą się tam, skąd przyszli.

Kobieta dopiła wino i odparła:

- Bo ta księga nie istnieje.

Pociąg włókł się niemiłosiernie - jeszcze kilka lat wcześniej ekspres z Warszawy do Gdańska przemierzał tę trasę w niespełna cztery godziny. Teraz, w związku z remontem torowiska, potrzebował ponad sześciu godzin.

Ale Hubertowi Stopniakowi ta ślimacza podróż nie przeszkadzała. Miał więcej czasu, by przemyśleć to, co się zdarzyło w ostatnim czasie. Czy rzeczywiście powinien jechać na spotkanie z człowiekiem, który najpierw groził jego przyjacielowi, a potem nasłał na niego dwóch bandytów? A może Parezzio mówił prawdę, zapewniając, że wydarzenia wymknęły się spod jego kontroli - nie chciał, aby jego ludzie dewastowali biuro, a jedynie porozmawiali o biznesie? Nie, to chyba niemożliwe, w takie bajki nie wierzą nawet średnio rozgarnięte dzieci.

Tak czy inaczej, nie było innego wyjścia - ustalili z Dybowskim, że ten pierwszy pojedzie do Torunia, a historyk spotka się w Gdańsku z Parezzio.

Treść listu, jaki napastnicy zostawili w siedzibie wydawnictwa, była całkiem obiecująca:

„Chyba nadszedł czas, abyśmy porozmawiali jak dorośli ludzie. Jeśli chcecie, abyśmy traktowali was poważnie, to i wy musicie poważnie nas traktować. My wiemy, że macie księgę, a wy wiecie, że chcemy ją za wszelką cenę kupić. To doskonała okoliczność, by uczynić nasze życie piękniejszym. Musimy kontynuować negocjacje - sugeruję, aby tym razem waszą stronę reprezentował pan Hubert Stopniak. Chciałbym porozmawiać z nim nie tyle o finansowej stronie naszego dealu, ale historycznej. Zadam kilka pytań, a pan Stopniak odpowie na nie, rozwiewając wątpliwości, od których nie jesteśmy wolni.

Wynająłem pokój w gdańskim hotelu „Kamienica Gotyk” przy ulicy Mariackiej 1. To piękne, historyczne miejsce - niemal u stóp Bazyliki Mariackiej. Jak pewnie wiecie, niedawno odkryto tam rzeczy osobiste, prawdopodobnie należące do Anny Schilling. Tej samej, której - rzekomo - Kopernik przekazał egzemplarz „Narratio prima” z wiadomym dopiskiem. Czy można sobie wyobrazić bardziej odpowiednią oprawę do rozmowy o księdze? Pozwolę sobie na metaforę: ta kamienica to najbardziej fioletowe miejsce świata.

Panie Hubercie - czekam na Pana, liczę, że stawi się pan niezwłocznie na Mariackiej i obaj będziemy czerpać przyjemność z tego spotkania.

Z wyrazami szacunku, Przyjaciół".

Parezzio nie użył w liście swojego nazwiska co trochę zaniepokoiło Stopniaka i Dybowskiego, ale uznali, że w jego świecie nie należy zostawiać po sobie zbyt wyraźnych śladów.

Historyk odczuwał coś, co było mieszanką lęku i tremy, a jednocześnie musiał przyznać, że list od Włocha sprawił mu także przyjemność - ostatecznie potraktowano go jak eksperta.

Czy jednak będzie umiał odpowiedzieć na wszelkie pytania i czy jego ewentualna niewiedza nie doprowadzi do fiaska transakcji?

Był pewien, że Parezzio - a może pojawi się także potencjalny nabywca „Narratio prima”? - będzie drażył wątek Anny Schilling. To, że zatrzymał się w „Kamienicy Gotyk”, było czytelnym znakiem. Najpierw trzeba ustalić, czy Kopernik faktycznie przekazał swej przyjaciółce księgę. Potem zaś udowodnić, że Austriaczka wywodzi się z jej rodziny. A to karkołomne zadanie. No, ale na tej tezie opierała się wiarygodność oferty Anny Schiegl.

Sięgnął do torby podróżnej i wydobyl z niej książkę „Badania nad identyfikacją gronu Kopernika”. Powstała pod kierunkiem profesora

Jerzego Gąssowskiego, który kilka lat wcześniej prowadził prace, zmierzające do ustalenia miejsca pochówku astronoma.

- Nie on pierwszy - pomyślał Stopniak, odgrzebując z zakamarków pamięci strzępy informacji. Poszukiwacze grobu Kopernika pojawili się już na początku XIX wieku. W 1802 roku miała miejsce pierwsza poważniejsza próba dotarcia do prawdy, zorganizowana przez Warszawskie Towarzystwo Naukowe. Niestety, nieudana. Kilka lat później na ziemiach polskich pojawił się Napoleon - wielki entuzjasta archeologii, który wcześniej kazał swoim ludziom penetrować egipską pustynię w poszukiwaniu skarbów faraonów. W 1807 roku specjalna ekspedycja napoleońskiej armii podjęła się poszukiwań grobu astronoma, ale także szybko złożyła broń.

W czasie II wojny światowej badacze Hitlera pojawili się we Fromborku z misją ideologiczną: odkryć miejsce pochówku Kopernika i urządzić mu niemiecki pogrzeb. Być może z udziałem samego Fuhrera. Po wojnie pojawiły się głosy, że skoro tak wielu zależy na odnalezieniu grobu astronoma, to być może skrywa on nie tylko doczesne ludzkie szczątki, ale także coś cennego. Skarb? Być może jakąś tajemniczą księgę, którą Kopernik dostał na wieczną lekturę. Spekulacje trwały przez dziesięciolecia.

W końcu profesor Gąsowski, zachęcany przez biskupa pomocniczego Archidiecezji Warmińskiej, Jacka Jezierskiego, postanowił dokonać rzeczy dotychczas niemożliwej.

Zespół, któremu przewodził, wykonał tytaniczną pracę uwieńczoną sukcesem: pod podłogą katedry we Fromborku, a dokładnie - pod ołtarzem świętego Andrzeja, którym opiekował się kanonik Mikołaj - odnaleziono czaszkę męczyzny, który zmarł w wieku siedemdziesięciu lat.

Czaszka trafiła do policyjnego Centralnego Laboratorium Kryminalistycznego. Inspektor Dariusz Zajdel, którego nie poinformowano, do kogo należała czaszka, podjął się wykonania komputerowej rekonstrukcji. Efekt jego pracy był oszałamiający: na ekranie pojawił się mężczyzna, łudzaco podobny do wszystkich portretów Kopernika sprzed wieków.

Badacze znaleźli się zatem w połowie drogi, ale do końca było jeszcze daleko - komputerowa rekonstrukcja stanowiła znakomitą poszlakę, ale nie dowód. Ten „przyplłynął” ze Szwecji. Otóż naukowcy z uniwersytetu w Uppsali, gdzie znajduje się największy księgozbiór Kopernika, w jednej z ksiąg odnaleźli kilkadziesiąt włosów, prawdopodobnie należących do astronoma. Wystarczyło porównać DNA pobranego z najbardziej nadającego się do analizy włosa i z czaszki.

Wkrótce polscy naukowcy mogli ogłosić światu wielki sukces.

Jednak zanim Szwedzi odkryli włosy Kopernika, historycy podjęli trud odnalezienia osoby spokrewnionej z nim, a żyjącej współcześnie. W grę wchodziła linia żeńska, bo genetyków interesowało wyłącznie DNA mitochondrialne, pochodzące od sióstr rodzonych i ciotecznych.

Niestety, wiele miesięcy spędzonych nad księgami kościelnymi nie przyniosło ludziom Gąssowskiego oczekiwanego rezultatu.

Potomkowie autora „O obrotach sfer niebieskich” rozplynęli się w mgłę dziejów.

W „Badaniach nad identyfikacją grobu Kopernika” przedstawiono tabele genealogiczne, których jedną z bohaterek była Anna Schilling, jedna z ośmiu córek Arenda van den Schellinga i Anny z domu Kriiger.

Oto co książka zespołu prof. Gąssowskiego miała do powiedzenia w kwestii Anny Schilling: „Poślubiła w 1537 roku Lorenza Schultza. W roku 1540 urodziła się ich córka Anna Schultz, która poślubiła Marcusa Lukasa. Z badań, jakie przeprowadziła Dorothea Weich-brodt, wynika, że małżeństwo to posiadało ośmioro dzieci. W przeprowadzonej kwerendzie ksiąg metrykalnych parafii gdańskich nie udało się potwierdzić tego faktu. Prawdopodobnie

dzieci z tego małżeństwa nie były ochrzczone na terenie Gdańska".

To wszystko.

- No i bardzo dobrze - pomyślał Stopniak, zacierając ręce. - Byłoby znacznie gorzej, gdyby udało się prześledzić losy potomków Anny do dnia dzisiejszego, a Austriaczka nie miała z nimi nic wspólnego. A tak można powoływać się na dokumenty, które ona - rzekomo - posiada. Załóżmy, że już na początku siedemnastego wieku rodzina przeniosła się do Wiednia. Czemu nie? Ładne miasto. Parezzio na pewno łyknie tę wersję.

Pociąg rozpędzał się coraz bardziej - minął Tczew i sunął w stronę Gdańska.

- Czyś ty oszalała? W co ty nas pakujesz? Przecież to się musi źle skończyć! - Dybowski, z wrażenia, zamiast kierunkowskazu włączył wycieraczki. Jego leon mknął aleją Kraszewskiego w stronę toruńskich Bielan, gdzie mieścił się Uniwersytet Mikołaja Kopernika.

Kierowca, zaskoczony propozycją Anny, nie mógł się skupić na jeździe, co powodowało, że co rusz stawał oko w oko z widmem katastrofy. Teraz zajechał drogę rozpędzonej ciężarówce, z której wydobył się przeraźliwy ryk klaksonu.

- Uważaj, bo nas zabijesz - powiedziała spokojnym głosem, choć czuła, że w jej żyłach krew krąży dwa razy szybciej niż zwykle.

- Może byłoby lepiej, gdybyśmy się teraz roztrzaskali. Przecież my prowokujemy śmierć! - krzyknął i jeszcze mocniej wcisnął pedał gazu. Do uniwersyteckiego kampusu było już tylko kilka minut jazdy.

- Nie przesadzaj, mój plan jedynie wydaje się nieco szalony. Tak naprawdę, całkiem łatwo go zrealizować.

- No naturalnie, wykradniemy „Narratio prima” z biblioteki uniwersyteckiej i nikt tego nawet nie zauważy. A potem sprzedamy księgę z wielkim zyskiem i w nagrodę za perfekcyjne wykonanie zadania popłyniemy w rejs po Pacyfiku. Oczywiście, jakimś luksusowym statkiem, gdzie w kasynie pomnożymy nasz dochód. Bonnie i Clyde, wersja współczesna - ironizował Dybowski, nie mogąc uwierzyć, że Anna Schielg rzeczywiście chce ukraść egzemplarz dzieła Retyka.

Nie odpowiedziała mu. Patrzyła przed siebie, nie mając ochoty na odpieranie kpin. Tymczasem on kontynuował:

- Czy ty naprawdę uważasz, że taka księga jest na wyciągnięcie ręki? Że w naszych bibliotekach nie ma żadnych zabezpieczeń? Nie jeste-

śmy w bananowej republice, ale w całkiem normalnym kraju w środku Europy.

- Wiem, gdzie jestem, bez obaw - odpowiedziała i wzruszyła ramionami, dodając: - O ile mnie pamięć nie zawodzi, najgłośniejsze kradzieże antykwarycznych skarbów czy dzieł sztuki miały miejsce w cywilizowanych krajach - w Stanach Zjednoczonych, we Francji czy w Anglii. W republikach bananowych przeważnie nie ma czego kraść.

- To prawda, ale takich kradzieży podejmują się zawodowcy, najlepsi z najlepszych. A ja w życiu jeszcze niczego nie ukradłem, nawet bułki w spożywczym nie potrafiłem podwędzić. Podejrzewam, że ty masz w tym względzie nie większą praktykę.

Chciał powiedzieć coś jeszcze, ale delikatnie położyła mu rękę na kolanie, co sprawiło, że nagle odeszła mu ochota do kolejnych kpin i oskarżeń. Spojrzał na nią pytająco.

- A cóż to za pomysł kraść bułki w spożywczym? Jeśli już się narażać, to w jakiejś poważniejszej sprawie - powiedziała, nachylając się do Dybowskiego. - Nie martw się, dziś jeszcze niczego nie ukradniemy. Na razie musimy się zorientować, gdzie dokładnie przechowują „Narratio prima”, jaka jest procedura dostępu do tej księgi i jakie są zabezpieczenia.

- Podejrzewam, że nikt nie zechce z nami o tym rozmawiać. A nawet jeśli znajdzie się ktoś kompetentny, to kiedy usłyszy pytanie o zabezpieczenia, od razu zaczną coś podejrzewać.

Pokiwała głową i mruknęła z aprobatą. -Masz rację, musimy być ostrożni. Pomyślałam o tym wcześniej. Wysłałam do dyrekcji biblioteki oficjalnego maila z mojej redakcyjnej skrzynki. Przecież nie mają pojęcia, że zrobiłam to dopiero wczoraj, w Warszawie. Przedstawiłam się jako dziennikarka zajmująca się problematyką fałszerstw, załączyłam linka do moich artykułów na ten temat. A faktycznie, ostatnio sporo pisałam o wielkich fałszerstwach, co łatwo sprawdzić.

- No i co, odpowiedzieli?

- Wyobraź sobie, że dziś rano znalazłam w swojej skrzynce odpowiedź. Bardzo chętnie zaprezentują mi toruńskie zbiory, a historia ich egzemplarza „Narratio prima” - jak zapewnili - jest wyjątkowo interesująca. Podali też nazwisko jakiegoś pracownika z działu zbiorów i kolekcji specjalnych, który oprowadzi nas po bibliotece. Nazywa się Robert Zwoliński, zajmuje się starymi drukami i rękopisami i będzie czekał na mój telefon.

- A kim ja będę w tej mistyfikacji? Twoim tłumaczem?

- Fotografem, mam nadzieję, że nie zapomniałeś aparatu?

- Bez obaw, mam wszystko, co trzeba. Po wiedz mi tylko: co zrobimy, kiedy już ukradnie my białego kruka? Najważniejszy jest rękopis pana Mikołaja.

- Oderwiemy stronę tytułową i na razie pokażemy, a może zresztą sprzedamy pozostałą część księgi. Resztę załatwię w Wiedniu - wiem, jak zdobyć pismo z szesnastego wieku. To znaczy takie, którego nie odróżnisz od szesnastowiecznego. Schultz zostawił mi namiary na swojego przyjaciela, specjalistę od grafologii. Jego ręka jest... bardziej kopernikańska od ręki Kopernika. No i dysponuje atramentem starszym od Giordano Bruno i Galileusza razem wziętych. On dokona wpisu na stronie tytułowej. Następnie sprzedamy ją i zgarniemy całą pulę.

- Przecież kiedy zniknie egzemplarz „Narratio prima” z Torunia, zrobi się huk na cały świat. Włoch od razu będzie wiedział, co chcemy mu opchnąć.

Uśmiechnęła się jak osoba, która przewidziała wszystkie przeszkody. - Nie będzie żadnego huku. W miejsce oryginału podłożymy idealny reprint. Czy sądzisz, że komuś przyjedzie do głowy, aby sprawdzać, co leży w gablocie?

Dotarli na ulicę Gagarina. Dybowski zaparkował samochód na wielkim placu pod siedzibą rektoratu uczelni, po czym ruszyli w stronę nowoczesnego gmachu, mieszczącego imponujący księgozbiór.

- Witam pana profesora, tak się cieszę, że skorzystał pan z mojego zaproszenia - Parezzio zerwał się od stolika i w powitalnym geście wyciągnął rękę do Stopniaka. Historyk nie spodziewał się, że Włoch będzie czekał na niego już na przedprożu „Kamienicy Gotyk”, zupełnie jak stęskniony, niewidziany od lat krewniak. Podał mu rękę i czekał na rozwój wypadków.

- Piękna dziś pogoda, porozmawiajmy na świeżym powietrzu - zaproponował Parezzio i wskazał Stopniakowi krzesło przy stoliku.

Usiedli. Momentalnie pojawiła się kelnerka z kawą i paczuszką pierników.

Gość z Warszawy rozejrzał się dookoła - widok Mariackiej, jednej z najpiękniejszych polskich ulic, po której powoli przechadzali się turyści wpatrzeni w wystawy z bursztynową biżuterią, podziałał na niego uspokajająco. Wprawdzie miał świadomość, że rozmawia z gangsterem, ale Parezzio, jak na razie, zachowywał się niezwykle

uprzejmie, a poza tym, tytułował go, wprawdzie niezasłużenie, profesorem.

- Na początku muszę sprostować: nie jestem profesorem i nie zapowiada się, bym... - zaczął nieśmiało, ale Włoch przerwał mu w pół zdania.

- Zbyteczna skromność, drogi panie. Na Zachodzie prawie wszyscy naukowcy uważają się za profesorów i mają za złe temu, kto zwróci się do nich per „panie doktorze”. Ale dobrze, skoro odczuwa pan dyskomfort z tego powodu, będę mówił „panie Hubercie”, może być? Stopniak pokiwiał głową i spojrzał na Bazylikę Mariacką za mykającą ulicę, na której się znajdowali.

- Absolut, prawda? - Parezzio odgadywał myśli swego rozmówcy.

- Ma pan rację, absolut, trudno sobie wyobrazić coś wspanialszego.

Przez chwilę podziwiali największą ceglana świątynię świata, wbijającą się w niebo monumentalnymi wieżami.

- Trochę przypomina mi to pałac papieży w Awinionie, to samo monumentalne piękno, sacrum bez odrobiny profanum - rzucił od niechcienia Parezzio. - Byłem tam służbowo jakiś czas temu.

- Pan pewnie dużo podróżuje? - spytał Stopniak, raczej przez grzeczność niż z rzeczywistej ciekawości.

- O tak, dopóki stare księgi nie nauczą się same docierać do nabywców, trzeba się za nimi sporo najeździć - Włoch wypił espresso, zagryzł piernikiem, po czym kontynuował: - Czy to nie fascynujące, mieszkać przy tak pięknej ulicy, w najstarszym domu w Gdańsku z widokiem na Bazylikę i mieć świadomość, że pięćset lat temu żyła tu kochanka Kopernika? Zdecydowałem się na ten hotel, bo kto wie, może czekają tu na odkrycie jakieś kolejne historyczne zagadki. Muszę się rozejrzeć.

- Tak naprawdę mówimy jedynie o legendzie, a nie historycznej prawdzie - odparł Stopniak, zapominając, że powinno mu zależeć na przekonaniu Parezzio do wersji Anny Schiegl. - Badacze są w tym względzie raczej sceptyczni.

Włoch z aktorską przesadą wybałuszył oczy: - I to mówi człowiek, który posiada księgę Anny Schilling? Uprawia pan dość szczególny rodzaj promocji.

Stopniak zmieszał się, wzięła w nim górę naukowa rzetelność, a przede wszystkim - naiwność i prostolinijność.

- Ja niczego nie przesądzam, ta bardzo piękna legenda i ma całkiem solidne podstawy w faktach - próbował odwracać kota ogonem, ale zorientował się, że Parezzio spogląda na niego z ironią.

- A jeśli jest wyssana z palca? Jaką wartość ma wówczas pańska księga? - spytał retorycznie.

- Nie jest moja, ja w tej całej sprawie pełnię niezbyt ważną funkcję - odparł historyk. Nie miał pojęcia, jaką przypisać sobie rolę w grze.

- Chętnie dowiedziałbym się, jak wygląda u was podział ról. Czy to wy kierujecie panią Schiegl, czy też ona jest waszą szefową. Jednak nie jestem wścibski, ostatecznie interesuje mnie „Narratio prima”, a nie struktura waszej organizacji.

- Organizacja to zbyt wielkie słowo.

- Lubię doceniać partnera, z którym robię interes. Chętnie przypisuję mu moc, której być może nie posiada.

Stopniak z każdą chwilą coraz bardziej uświadamiał sobie oczywistą prawdę: jeśli będzie umniejszał swoją pozycję w oczach rozmówcy, ten przestanie go poważnie traktować. Nie tylko jego - także Annę i Łukasza. Postanowił podjąć wyzwanie.

- Powiedzmy, że doradzam im w kwestiach historycznych. Sprawdzam autentyczność ksiąg, które zamierzamy wprowadzić na rynek.

- Ho, ho, liczba mnoga! Widzę, że mam do czynienia z poważnym partnerem; hurtownikiem, a nie detalistą. Rozumiem, że macie w ofercie więcej takich białych kruków. A ja,

głupi, sądziłem, że dysponujecie jedynie dziełem Retyka.

Zmierzył Stopniaka przenikliwym wzrokiem.

- Dobijmy targu w sprawie „Narratio prima”, a potem porozmawiamy o innych wydawnictwach.

- Chyba nie jestem upoważniony...

- Rozumiem, ja mam czas. Na razie chciałbym zadać panu kilka pytań w najpilniejszej dla nas obu sprawie. Dlatego proponuję, abyśmy przenieśli się do mojego pokoju, gdzie może nie jest równie pięknie co na ulicy, ale na pewno o wiele przytulniej.

Chwilę później znaleźli się w niewielkim pokoju na poddaszu hotelu - widok z małego okienka także zapierał dech w piersiach: ponad barokowymi kamienicami ulicy Chlebnickiej wyrastała smukła wieża ratusza. Parezzio rozlał do szklaneczek whisky i podał jedną z nich swemu gościowi.

- No, to jak jest z tym „Narratio prima”, na prawdę Kopernik pomazał tę książkę długopisem? - spytał rubasznym tonem wytrawnego kabareciarza.

- Raczej piórem, wtedy nie było jeszcze długo pisów... - odparł ze śmiertelną powagą Stopniak. W zamkniętym pomieszczeniu zaczął odczuwać strach. Coś w rodzaju klaustrofobii celi śmierci.

- Ależ to taki żarcik, przecież obaj wiemy, że nie było jeszcze długopisów. Podobnie jak samo chodów i komputerów. Ale czymkolwiek pisał, czy rzeczywiście napisał?

- No, Anna Schiegl nie ma wątpliwości.

- Ona nie może mieć wątpliwości, tylko pewnoś - przecież posiada tę księgę.

- Jest księga, jest i odręczny dopisek, zapewniam.

- A czy pan to widział na własne oczy?

- Naturalnie, wielokrotnie - odparł historyk, którego oblał intensywny rumieniec. Nie umiał kłamać, a teraz musiał podjąć grę z o wiele lepszym pokerzystą.

- W jakim języku jest ten dopisek?

Stopniak wypił whisky. Nie protestował, gdy Parezzio nalał mu drugą porcję.

- No więc, w jakim języku? - nalegał Włoch.

- Oczywiście, po łacinie.

- No jasne, jak mogłem się tego nie domyślić? Nie znam tego języka, ale włoski jest nieco zbliżony, więc chętnie bym usłyszał, co nasz Kopernik raczył nabazgrac na dziele Retyka. Może coś zrozumieć.

Stopniakowi zrobiło się ciemno przed oczami - oto zabrnął do miejsca, z którego nie było bezpiecznego wyjścia. Zaraz wszystko się wyda.

- Nie pamiętam dokładnie, na pewno było „ego, Nicolaus Copernicus” i coś jeszcze, chyba „admoneo”, przestrzegam.

- Tak, to oczywiste, Nicolaus Copernicus, a nie Thomas Morus czy Galileo. Widzę, że jest pan nieźle zorientowany. Nieźle, ale chyba nie aż tak dobrze, jak sądziłem. Zresztą niepotrzebnie zameczam pana pytaniami o tę łacinę. Przecież ja widziałem ten wpis Kopernika, zapomniałem powiedzieć. Wprawdzie na wydruku, ale niczym się on nie różni od oryginału.

- Tak, Łukasz wspominał mi o tym, ale nie byłem pewien, czy coś mu się nie pomyliło - odparł Stopniak. Gdyby to była bokserska walka, można by mówić o czystym trafieniu prawym hakiem w podbródek. Parezzio szykował się do nokautu.

- Jasne, pomyłka to ludzka rzecz. Przejdźmy do następnego punktu: czy widział pan te dokumenty poświadczające, że Anna Schiegl faktycznie jest potomkinią Anny Schilling? Cóż to za kwity i jaka jest ich wiarygodność?

Stopniak przełknął ślinę i zaczął nerwowo skubać połę marynarki. Znalazł się przed najsurowszym egzaminatorem w swoim życiu.

- Bardzo wiarygodne, ale nie mogę powiedzieć nic więcej. Sam pan rozumie - to jest as w rękawie pani Schiegl. Pokazywała te doku-

menty różnym historykom, wybitnym badaczom...

- Jasne, cały świat już je zna, tylko ja, który mam kupić „Narratio prima”, jakoś nie mam dostępu do tej wiedzy - odparł sarkastycznie Parezzio.

- Ja też tego nie rozumiem, ale Anna prosiła mnie o dyskrecję. Zapewne już niedługo dowie się pan wszystkiego.

- Zapewne.

Włoch rozłożył ręce i uśmiechnął się tajemniczo:

- Trudny z pana przeciwnik. Milczy pan jak przysłowiowy grób. Gdybym miał makabryczne poczucie humoru, powiedziałbym, że bardzo pan pasuje do grobu. Ale nie mam takiego poczucia humoru. Póki co chciałbym coś panu zaproponować - niech się pan przespaceruje po Gdańsku, a wieczorem pojawi pod Bazyliką. A dokładnie przed wejściem od strony Mariackiej. Jest od lat nieużywane, ale mnie nie chodzi o to, aby pan podziwiał wewnątrz świątyni, lecz zewnętrzną iluminację jej murów. Popatrzymy sobie razem, zgoda? Może reflektory oświecą także i nas? Czekam o dziewiątej wieczorem.

Stopniak był już na progu, gdy nagle usłyszał:

- Ego, Nicolaus Copernicus, dogmata hoc in libro contenta alienissima mihi esse testificor.

Odwrócił się, napotykać na kamienne spojrzenie Parezzio.

Przeżony zaczął biec po schodach.

Robert Zwoliński, odpowiadający za zbiór rękopisów i starodruków, wyjął ze szklanej gabloty „Naratio prima” i, tuląc je do piersi jak małe dziecko, podszedł do swych gości. Anna Schielg wydała z siebie westchnienie radości, a Dybow-ski, któremu rozbłyły oczy, sięgnął do torby fotograficznej po aparat.

- Czy mogę zrobić kilka zdjęć? Wyłączę flesz, zapewniam, że nie zrobię księdze żadnej krzywdy - powiedział po angielsku. Występował w roli Marcusa Haasa, fotoreportera, podróżującego po Europie z cenioną dziennikarką.

- Bardzo proszę, to przecież w naszym interesie, aby austriacka prasa informowała o toruńskich zbiorach. Jeśli państwo chcą, pokażę inne cenne księgi, jakimi możemy się poszczycić.

- Ależ naturalnie, o ile czas pozwoli - odparła Anna. - Obawiam się, że mamy tylko godzinę.

- Godzinę? Oplacało się przyjeżdżać aż z Wiednia na tak krótko? - Zwoliński był wyraźnie niepokojony, bo zapowiadał mu się dzień

chwały - chciał popisać się swoją wiedzą i może nawet wystąpić w zagranicznej prasie jako ekspert. A jeśli dziennikarz przyjeżdża jedynie na godzinę, to nawet trudno liczyć na króciutką wzmiankę o pracowniku biblioteki.

- Zobaczmy, może uda się nieco przedłużyć nasz pobyt. Poza tym, jeśli państwa zbiory są rzeczywiście tak cenne, to z pewnością jeszcze tu wrócimy. Na razie podróżujemy po Europie śladami wielkich ludzi doby reformacji. Jutro z rana wylatujemy do Moguncji, oglądać rękopisy Filipa Melanchtona - odparła z rozbijającą-przepraszającą miną Anna, która wcale nie była pewna, czy w Moguncji znajdują się jakiekolwiek rękopisy jednego z największych teoretyków luteranizmu.

- Ja bym ich szukał raczej w Norymberdze, ewentualnie w Wittenberdze - odparł Zwoliński, wytrącając na moment dziennikarkę z równowagi. Jednak zaraz odzyskała pewność siebie.

- Zbiór norymberski jest doskonale znany i opisany, bo mowa o najważniejszych listach tego teologa. A to, co znajduje się w bibliotece Uniwersytetu Jana Guttenbera w Moguncji, jest nieco mniejszej wagi. Jakieś prywatne listy, często niezwiązane z zagadnieniami religijnymi czy politycznymi. Mówiąc krótko - więcej ekonomii i to takiej przyziemnej, a mniej teologii. Zresztą

niewiele o tym wiem. Po prostu jesteśmy umówieni z pańskim odpowiednikiem w tamtej uczelni. Jeśli będzie choć w połowie tak życzliwy jak pan, będę szczęśliwa - odparła kokieterycznie, kończąc tym samym wątek Melanchtona. Zwoliński dał się złapać na sztuczkę Austriaczki i położył księgę Retyka na blacie stołu.

- Proszę, może pan fotografować - wyrwał z zamyślenia Dybowskiemu, który nie mógł się nadziwić refleksowi sytuacyjnemu Anny. Po dziękował i zaczął robić zdjęcia, obchodząc księgę naokoło. Fotografował ją przede wszystkim swoimi oczami - pragnął zrozumieć, co jest w niej tak niezwykłego, że biblioteki świata gotowe są płacić za nią miliony. Zastanawiał się też, jak to będzie, gdy pojawi się tu jako złodziej (tego nie mógł sobie jednak wyobrazić) i okradnie swój kraj z narodowego skarbu.

Gdy skończył, podszedł do Zwolińskiego i wysilając się na ton najwyższej dyskrecji, spytał:

- Nie boicie się trzymać tak cennego dzieła po prostu w gablocie zamykanej na zwykły klucz? Pewnie macie bardzo dobry system alarmowy i pancerne szyby?

Bibliotekarz smutno się uśmiechnął: - Nie, to zwykła szyba, nie ma żadnej specjalnej ochrony.

- Jak to? Przecież ta księga warta jest miliony! - Krzyknęli spiskowcy.

- Oryginalna - tak. Rzeczywiście jest bardzo cenna. Ta natomiast, którą widzicie, przedstawia wartość nieporównanie mniejszą. Bądźmy szczerzy - jest mniej warta niż przyzwoity system elektronicznych zabezpieczeń.

- Co to znaczy? Czy to, co mamy przed sobą, nie jest oryginalne? - Dybowskiego aż zatkało z wrażenia.

- To państwo nie wiedzą? Oryginalne „Narratio prima”, wydane w 1540 roku przekazaliśmy kilka lat temu do Biblioteki imienia Norwida w Elblągu. Było u nas przez ponad pół wieku, od 1945 roku jako depozyt. Niestety, chcąc nie chcąc, musieliśmy je oddać Elblągowi. Przyznam się państwu, że był to dla nas cios - przecież Kopernik pochodził z Torunia, więc największe pamiątki związane z nim powinny pozostać w naszym mieście. Cóż, polityczna poprawność obowiązuje także w sferze starych ksiąg. Muszą jednak państwo przyznać, że ten reprint jest wyjątkowo udany.

Anna i Łukasz popatrzyli na siebie z przerażeniem.

- Ale na waszej stronie internetowej jest informacja, że wciąż posiadacie ten egzemplarz!

- Naprawdę? Czyli potwierdza się teza, że nie należy ufać sieci. Zaraz powiem komu trzeba i naprawimy ten błąd. Mimo wszystko, proponu-

ję, aby państwo jeszcze chwilę pozostali w naszej bibliotece. Naprawdę, mamy tu zbiór, jakiego i Wiedeń by się nie powstydział.

Przez następne pół godziny Anna i Łukasz snuli się smętnie za Zwolińskim, który był w swoim żywiole: opowiadał o księgach z taką pasją, jakby należały do niego i miał prawo codziennie sprzedawać jedną z nich za bardzo duże pieniądze.

To już było...

Tylko gdzie i kiedy?

No jasne, Wilno 2006 rok, zlecenie bardzo podobne do dzisiejszego. Facet miał czekać pod kościołem na jakąś poważną rozmowę, a doczekał się spotkania ze świętym Piotrem. Albo innym świętym - „Oko” nigdy nie pamiętał, który z nich trzymał klucze do Królestwa Niebieskiego. Tak czy inaczej, wystarczył jeden celny strzał w oko (to prawie jak wizytówka zabójcy) i facet przeniósł się do wieczności. Co to był za kościół? Jakaś stara budowla przypominająca fortecę, którą dziwnym trafem omijali turyści. Dlaczego? Bo tuż obok znajdował się cenniejszy, piękniejszy kościół oblegany przez tłumy z aparatami w rękach. Święta Anna? Chyba tak - faktycznie śliczna świątynia, malutka, a taka napuszona - udająca wielką katedrę. A ten kościół, przy którym „Oko” miał odstrzelić klienta, należał do Bernardynów. Zresztą... egzekucja

nastąpiła nie na zewnątrz, a w środku kościoła. „Oko” zobaczył, że facet nie potrafi spokojnie ustać na miejscu choćby przez minutę i co chwila wchodzi do środka. Pewnie z nerwów. Poszedł więc za nim. Wnętrze było koszmarnie - zdewastowane, jakby rozegrała się w nim III wojna światowa. A przynajmniej kilkudniowa bitwa kibiców na młoty i pochodnie. No, ale obiektowi - chodzi o tego gościa, co to miał za chwilę rozstać się z życiem - to nie przeszkadzało. Łaził po kościele, gapił się na sklepienia, widać było, że całość robi na nim piorunujące wrażenie. „Oko”, jak zwykle, nie bardzo wiedział, za co ma mu wpakować kulkę w głowę - Parezzio powiedział mu tylko, że zleceniodawca reprezentuje branżę paliwową. Gość, który miał zginąć, był prezesem jakiejś malutkiej firmy zajmującej się pośrednictwem w handlu ropą naftową. I nie chciał jej sprzedać większemu graczowi, chyba ruskiemu. Jako że chodziło o duże pieniądze i zaangażowanie międzynarodowych koncernów, nie było innego wyjścia. Kiedy prezes uklęknął w lewej nawie, pod obrazem Matki Boskiej (ależ znakomite wyczucie chwili), zabójca podszedł do niego i szybko wysłał go w ślad za modlitwą. Czyli do góry, do nieba. Głowa prezesa opadła na ręce, ale on sam pozostał na klęczniku. Jeszcze przez długi czas nieliczni odwiedzający kościół myśle-

li, że mężczyzna rozmawia z Bogiem. Może zresztą cały czas rozmawiał? Cholera go wie.

Tu, w Gdańsku, nie było mowy o zastrzeleniu wewnątrz Bazyliki. Obiekt siedział na schodkach prowadzących do zamkniętych drzwi i wpatrywał się w oświetlony mur. „Oko” przykucnął obok niego i uśmiechnął się. Facet odwzajemnił uśmiech i wskazał mu ręką wielki banner zawieszony na „Kamienicy Gotyk” - widać było na nim Kopernika i jakąś XVI-wieczną damę.

- Tajemnica Anny Schilling... - przeczytał mężczyzna i stanął na równe nogi.

Zabójca pokiwał głową i strzelił mu prosto w oko.

Zanim zbiegł z miejsca zbrodni, zrobił coś, o co go prosił Parezzio, a czego sam nie rozumiał. Wsunął do kieszeni zabitego kartkę z jakąś tarczą strzelniczą, a może wykresem geometrycznym.

- Błazenada, przerost formy nad treścią - mruknął do siebie niezadowolony. - Jakby nie wystarczyło po prostu strzelić. Stefano bardziej nadaje się na reżysera niż mafijnego bossa.

Zadzwoił do „Oko” dzień wcześniej: - Przyłatuj do Gdańska, jest robota - powiedział Włoch (Jaki tam Włoch, Chorwat z Istrii, który udaje makaroniarza). Spotkamy się, powiem ci, o co chodzi.

Widzieli się w Gdańsku przez kilka minut, Stefano wytłumaczył, gdzie spotka faceta do odpalenia. Na pytanie, dlaczego akurat on, Parez-zio odparł krótko: - Z naszego punktu widzenia jest bezwartościowy. Ale został dopuszczony do pewnych tajemnic, nazwijmy to, handlowych i trochę za dużo o nas wie. Jak mawiają Rosjanie - ciszej jedziesz, dalej zajedziesz. Im mniej o nas słyszało, tym lepiej.

Szli w stronę parkingu w takim tempie, jakby trenowali przed zawodami w chodzie klasycznym. Gdyby przez okno biblioteki przyglądał im się Zwoliński, musiałby dojść do wniosku, że ten pośpiech jest nieco podejrzany. Ale pracownik działu starych druków i rękopisów przeżywał samotnie porażkę nad szklanką herbaty - fotograf nawet nie zrobił mu zdjęcia. Wiedeńscy czytelnicy nie dowiedzą się o istnieniu młodego erudyty, zakochanego w starych wydawnictwach.

Tymczasem Łukasz i Anna zbliżali się do samochodu, nie bardzo wiedząc, dokąd teraz powinni się udać. Gdy znaleźli się w seacie, wydawca wyciągnął ze schowka mapę Polski i rozłożył ją na kolanach swej pasażerki.

- Niecałe dwieście kilometrów, powinniśmy dojechać w trzy godziny - powiedział, wytyczając trasę palcem po mapie.

- O czym ty mówisz? Chcesz teraz jechać do Elbląga? - Anna wydawała się zaskoczona tą propozycją.

- A masz jakieś inne wyjście?

Wzruszyła ramionami i z niedowierzaniem spojrzała w stronę biblioteki.

- Nie mam. Właśnie posypał się mój plan awaryjny.

- Nie trać nadziei. Ostatecznie, co to za różnica - Toruń czy Elbląg? Kilka godzin i będziemy na miejscu. Kto wie, może tam „Narratio prima” będzie jeszcze łatwiejszym łupem dla złodziei amatorów? - W tym pytaniu była oczywiście kpina, ale Dybowski naprawdę zamierzał spróbować szczęścia w Elblągu.

- Nie sądzę, ale nie w tym rzecz, czy księga jest dobrze chroniona. Wiadomo, że dostęp do niej musi być bardzo trudny. Oczywiście, może my jeszcze raz spróbować tricku z wiedeńską dziennikarką i jej fotografem, ale nie da się tego zrobić bez uprzedzenia. Musielibyśmy całą procedurę powtórzyć od początku - wysłałam maila z redakcyjnej skrzynki, powołuję się na dzisiejszą wizytę, oni zaczynają się zastanawiać, co może trwać o wiele dłużej niż w przypadku To-

runią, odpisują, że na razie nie mogą nas przyjąć, bo mają remont albo inwentaryzację, zapraszają na grudzień albo na przyszły rok. A nawet jeśli zadzwonimy, pomijając drogę mailową, wiele to nie zmieni.

Dybowski zasepił się - faktycznie, wiele zależało od dobrej woli bibliotecznych urzędników, a ich łaska jeździła na pstrym koniu.

- Dlatego uważam, że musimy to zrobić „na wariata”, pojechać do Elbląga i zaskoczyć ich. Nie powinni odmówić. Jeśli go nawet nie zobaczymy, to przynajmniej dowiemy się, gdzie przechowują dzieło Retyka - powiedział Łukasz, składając mapę.

Jego entuzjazm najwyraźniej nie przekonał Anny.

- Jestem już trochę zmęczona. Obawiam się, że nie dam rady odegrać dziś roli szalonej reporterki. Daj mi czas do jutra. Poza tym myślę, że musimy poszperać w Internecie i dowiedzieć się czegoś więcej o tym, jak „Naratio prima” trafiło do Elbląga, dlaczego właśnie tam, jakie są związki tego miasta z Kopernikiem. Uwierz mi, dziennikarz, który chce uzyskać dostęp do jakiegoś cennego obiektu, musi się wykazać elementarną znajomością tematu - odparła.

- Ależ oczywiście, właśnie dzisiaj popisaliśmy się wyjątkową znajomością tematu, szuka-

jąc w Toruniu księgi, której tu nie ma od lat - powiedział sarkastycznie Dybowski. Było mu wprawdzie trochę głupio, że cały czas podkpiwa ze swej towarzyszki podróży, ale nie potrafił się powstrzymać przed drobnymi złośliwościami.

Uśmiechnęła się smutno. - Masz rację, trochę się wygłupiliśmy. Dlatego, ucząc się na własnych błędach, powinniśmy teraz przygotować się choćby nieco lepiej. Miejmy nadzieję, że jeden dzień zwłoki nie zrobi różnicy.

Uznali, że pozostaną na noc w Toruniu i czas, który pozostał im w tym mieście, przeznaczą na edukację w zakresie gdańskiego wydania „Nar-ratio prima”. A przede wszystkim, że skontaktują się z Biblioteką im. Norwida.

Wynajęli pokój w kameralnym hotelu „Heban”, znajdującym się w XVII-wiecznej kamienicy przy ulicy Małe Garbary. Uznali, że skoro pozostają w mieście Kopernika, to muszą przenocować na starówce. Dopiero w hotelowym pokoju uświadomili sobie pewną niezręczność sytuacji - otóż wzięli wspólny pokój, zamiast dwóch jedynek. Co więcej, okazało się, że nie ma w nim dwóch łóżek, ale jedno - fakt, wielkie - łóżko małżeńskie. Popatrzył na nią pytająco, ale ona rzuciła, jakby od niechcienia:

- Jestem zbyt zmęczona, aby się nad tym zastanawiać. Jak się położę, natychmiast zasnę,

więc lepiej, abyśmy teraz nie sprawdzali, czy materac jest wystarczająco wygodny. A tak na marginesie - chyba nie boisz się kobiety w łóżku?

- Jeśli kobieta nie boi się mnie...

- Wiesz, ostatnio jakby mniej się boję.

Wyjęła notebooka i zaczęła szukać strony elbląskiej biblioteki. Znalazła ją bez trudu, po czym poprosiła Dybowskiego, aby wybrał numer do osoby, która mogłaby pomóc im w dotarciu do „Narratio prima”. Najpierw jednak sprawdzili, czy wyszukiwarka na stronie biblioteki odnajdzie dzieło Retyka. Niestety, nie odnalazła, ale niezniechęceni, postanowili skontaktować się z pracownią przechowywania, konserwacji i digitalizacji zbiorów zabytkowych.

W imieniu Anny rozmawiał Dybowski, tym razem przedstawiający się jako Wiesław Za-sławski, redaktor działu nauka w „Życiu Warszawy”.

Według jego wersji, pani Schiegl, od lat współpracująca z tym warszawskim dziennikiem, przyjechała do Polski, by zbierać materiały do reportażu o najcenniejszych wydawnictwach i rękopisach znajdujących się nad Wisłą. Skoro Uniwersytet Jagielloński nie miał nic przeciwko temu, aby pani Schiegl obejrzała - oczywiście fragmentarycznie - zbiory Pruskiej

Biblioteki Państwowej, zwanej potocznie „ber-linką”, to trudno sobie wyobrazić, aby Elbląg wykazał się mniejszą gościnnością.

Pani, która odebrała telefon, była niezwykle uprzejma i chętna do pomocy, ale z „Narratio prima” nie miała nic wspólnego. Kolega, który chętnie opowie o dziejach tej księgi, jest na szkoleniu w stolicy i wróci jutro.

Dybowski podziękował i zapewnił, że zadzwoni następnego dnia. Jeśli ekspert od „Narratio prima” wyrazi zgodę na spotkanie, pani z Wiednia pofatyguje się do Elbląga. Wraz z fotoreporterem, panem Haasem.

Wrócili do hotelu nocą. Wcześniej spacerowali po starówce przez kilka godzin, nie mogąc nasycić oczu widokiem gotyckich kamienic.

Postanowił zaprowadzić ją do miejsca, które na nim samym niezmiennie robiło wielkie wrażenie - pod dom Kopernika, znajdujący się na ulicy pod patronatem astronoma. Przed laty, ta, jedna z głównych ulic starego miasta, nosiła nazwę Świętej Anny.

- Myślisz, że naprawdę tutaj się urodził? -
Spytała sceptycznym tonem, przyglądając się wspaniałym frontonom gotyckich „spichlerzodo-

mów", ozdobionych maswerkami i schodkowymi szczytami. To w jednej z dwóch kamienic, traktowanych łącznie jako dom Kopernika, miał przyjść na świat, w 1473 roku, doktor Mikołaj.

- Masz jakieś wątpliwości? - odpowiedział pytaniem na pytanie, uśmiechając się szelmowsko. Wielu historyków spierało się o to, gdzie na prawdę miało miejsce to przełomowe wydarzenie w dziejach nauki. Ale oficjalna miejska wersja głosiła, że właśnie tu. Kopernik wywodził się z zamożnej rodziny kupieckiej i sztywne kamienice doskonale nadawały się do tej roli.

- Naturalnie, gdyby Napoleon mieszkał w tych wszystkich domach, w których rzekomo zatrzymał się na jakiś czas, musiałby żyć co najmniej dwieście lat. Takie miejskie legendy tworzy się na potrzeby turystów i dopóki gotowi są płacić za zwiedzanie mistyfikacji, nie ma sprawy. Na przykład dom, w którym urodził się Mozart w Salzburgu, niewiele ma wspólnego z tą kamienicą sprzed wieków. Zniszczyła ją bomba w czasie wojny, jesienią 1944 roku. Ale Amerykanie i Japończycy nie wyjadą z miasta, dopóki nie sfotografują się pod tym sanktuarium. Bo wierzą, że te mury naprawdę pamiętają Mozarta. A że w okolicy znajduje się setka sklepików z pamiątkami po kompozytorze, to oczywiście czysty przypadek...

- Nie kpij, wojna potraktowała Polskę znacznie gorzej niż Austrię i nawet jeśli w niektórych przypadkach musimy dorabiać legendę do obiektów, to chyba nic w tym złego. Poza tym, jest bardzo duże prawdopodobieństwo, że Kopernik naprawdę urodził się w jednym z tych dwóch domów - odparł Dybowski, z lubością wpatrując się w grę świateł tańczących na fasadach „spichlerzodomów”. - Chyba nie wyobrażasz sobie, że w mieście narodzin naukowego geniusza za brakłoby domu, gdzie po raz pierwszy wydał z siebie głos? No i nie sądz innych swoją miarą...

- dodał. Popatrzyła na niego ze zdumieniem:
— Nie rozumiem.

Wzruszył ramionami i szepnął konfidentycznie:

- To ty dopuściłaś się wielkiej mistyfikacji, przypisując Kopernikowi zdradę własnych przekonañ. Ale to nie znaczy, że wszystko, co o nim wiemy, jest jedną wielką nieprawdą.

Zmroziła go wzrokiem i lekko zdzieliła pięścią w pierś. Wizytę pod domem Kopernika uznała za zakończoną. Ruszyli przed siebie.

Przez chwilę krążyli także po Bulwarze Fila-delfijskim, patrząc na mroczną toń Wisły, leniwie zmierzającej w stronę północy. Tam poczuła dreszcze - ta letnia noc była wyjątkowo chłodna. Przytulił ją do siebie, a ona objęła go w pól.

Wyglądali jak jedna z wielu par kochanków, przechadzających się po tym romantycznym mieście. Par małżeńskich, przedmałżeńskich i pozamałżeńskich, szukających usprawiedliwienia dla swej grzesznej miłości być może w historii Mikołaja Kopernika i Anny Schilling. A może w fakcie, że związki na boku stały się czymś zupełnie naturalnym, niekiedy ważniejszym niż więzy sakramentalne.

Dybowski jednak nie miał takiego dylematu. Przy Annie, z którą był zamieszany w jakąś horrendalną aferę, poczuł spokój, a przynajmniej jego namiastkę. Cały czas korciło go, aby spytać ją o ten świat, który zawiódł. Nie miał wątpliwości, że chodziło o mężczyznę, najpewniej o męża, ale uznał, że znają się zbyt krótko, by mógł odegrać rolę powiernika najgłębszych sekretów. Ona też go o nic nie pytała, choć akurat Dybowski w sferze uczuciowej miał niewiele do ukrycia - kilka związków: jedne poważniejsze, drugie przelotne i absolutną niechęć do małżeństwa. Przerzucając się banałami na temat pogody i urody europejskich miast, wrócili do hotelu.

Gdy otwierała drzwi do pokoju, nachylił się nad jej głową - pachniała perfumami i piernikami, którymi zagryzała wino w kolejnych knajpkach.

Usiadła na łóżku, a on - jakby nie śmiał zrobić tego samego - stał obok niej. Zobaczył siwe

odrosty jej włosów - była farbowaną brunetką, co wcale nie zmieniało jego poglądu na urodę Anny. Podobała mu się, a ukryta siwizna, świadcząca o życiowym doświadczeniu, tylko dodawała jej uroku.

- Nie miałam czasu pójść do fryzjera, a włosy rosną mi wyjątkowo szybko - mruknęła, odgadując jego myśli.

- Ja też mam sporo siwych - odparł, kładąc palec wskazujący na lewym boku głowy.

- Facetom siwe włosy dodają męskości, kobietom muszą je ukrywać. Ale bądź pewien, że połowa z nas - przynajmniej w Europie - nosi na głowie nieprawdę. I chyba nic w tym złego? Poza tym to, co widzisz, to mniej więcej naturalny kolor moich włosów. To znaczy, takie były jeszcze kilka lat temu.

- Co mnie to obchodzi? Podobasz mi się, tak czy inaczej. Myślę, że z siwizną też byłoby ci do twarzy.

Położyła się na łóżku i zmrużyła oczy.

- Dżentelmen z ciebie. Mam nadzieję, że na prawdę taki jesteś, a nie tylko po dwóch butelkach wina. Wiesz, chyba zaraz zasnę. Już czuję, że gdzieś się zapadam, mam ciało z waty...

- Mogę włączyć telewizor, to cię obudzi.

- A dlaczego miałabym się budzić? Sen, czy raczej letarg, jest przyjemniejszy od oglądania

tych kretyńskich seriali o dobrych, pięknych plastikowych ludziach. Albo talk-shows z udziałem głupiutkich gwiazdek estrady.

Dybowski stał nad nią i czuł się, jak taka właśnie głupiutka gwiazdka - mógł składać kolejne, jeszcze bardziej niedorzeczne, propozycje, ale wszystkim towarzyszyłby śmiech widowni z offu.

- Ale jak zasnę, to już zasnę na dobre - szepnęła, wykrzywając twarz w nienaturalnym uśmiechu.

- Czy to propozycja? - Zapytał.

- To ty jesteś mężczyzną, decyduj.

Pocałował ją delikatnie w czoło.

- I może jeszcze opowiesz mi bajkę na dobrą noc? - To była jej reakcja na ojcowski gest Łukasza.

Znów nachylił się nad nią, tym razem całując ją w usta. Chwycił ją za głowę, przywierając swymi wargami do jego warg. Zaczął nerwowo ściągać koszulę, nie przerywając pocałunku. Odsunęła się od niego i popatrzyła na jego tors.

- Ho, ho, sportowiec... - szepnęła z uznaniem. - Mój mąż nie miał skłonności do kultury fizycznej. Chyba, że za taką uznamy zaliczanie kolejnych panienek.

- Nie obchodzi mnie twój mąż. Dzisiaj to ty zaliczysz faceta - odparł podniecony. Postanowił

ją rozebrać. Leżała jak kłoda i nie zamierzała mu w tym pomagać, ale też nie protestowała. Było lato, więc proces rozbierania Anny trwał nie dłużej niż dwie minuty.

- To, co widzisz, fachowo nazywa się cellulitem - powiedziała, przykrywając narzutą część swego ciała.

- Najsmaczniejszy jest cellulit w szampanie - odparł, wyjął z barku małą butelkę z winem musującym i wylał kilka kropel na jej brzuch.

- Banał, w każdym filmie erotycznym polewają się alkoholem, a potem go zlizują - powiedziała ze śmiechem. - Mógłbyś też spróbować z kostkami lodu.

- Nie ma lodu, ale są mocniejsze trunki - je go język szybko radził sobie z rozlanym winem, co Anna kwitowała coraz głośniejszymi pomrukami.

- Przestań tyle gadać, Kochaj się ze mną - wyszeptwała.

I gdy przystępował do wykonania tego zadania, zadzwonił telefon.

Łukasz popatrzył na Annę kamiennym wzrokiem, jakby spodziewał się złej wiadomości, po czym przyłożył telefon do ucha.

Parezzio dzwonił z krótkim komunikatem:
- Jeśli jeszcze pan nie śpi, proponuję, aby oglądał pan programy informacyjne. Na przykład

TVN24 albo Polsat News - tam mają najświeższe wiadomości. Szczególnie jedna powinna państwa zainteresować. Proszę mi wierzyć.

Dybowski drżącą ręką sięgnął po pilota i włączył telewizor. Nie minęło dziesięć minut, a już wiedział - tajemnicze zabójstwo pod Bazyliką Mariacką w Gdańsku. Zabity, którego tożsamości policja jeszcze nie ujawniła, miał w kieszeni kartkę, przedstawiającą kopernikański rysunek orbity planet Układu Słonecznego. Policję zawiadomił przechodzień, który zjawił się na miejscu tuż po popełnieniu morderstwa. Nie widział sprawcy tego potwornego czynu, choć wydawało mu się, że ktoś szybko szedł w stronę ulicy Plebania.

Śledczy mieli nadzieję, że dowiedzą się czegoś więcej od pracowników pobliskiego hotelu „Kamienica Gotyk”, ale o tej porze recepcja była nieczynna, a goście hotelowi mieli swoje klucze do głównych drzwi.

Dybowski nie miał wątpliwości, kim jest zabity. Anna też to doskonale wiedziała i zaniósła się płaczem.

- To wszystko przeze mnie! - jęknęła.

Przytulił ją, znów po ojcowsku.

- Nie, to nie ty zabijasz. Nie możesz się oskarżać o śmierć Huberta, tak samo jak to nie ty doprowadziłaś do śmierci profesora Schultza - odparł, choć w głębi duszy przyznawał, że po-

wodem tych wszystkich nieszczęść, przynajmniej w jakimś stopniu, był jej diabelski plan.

- Mam na myśli co innego - powiedziała. Po chwili milczenia dodała: - Nie wiem, czy mogę ci to powiedzieć. Będziesz na mnie wściekły.

Dybowski przygryzł wargi i czekał na jej wyznanie.

- Wtedy, kiedy zostałam zaatakowana w moim domu, zrozumiałam, że zaczęli mnie zastraszać. Parezzio nie pozostawił mi złudzeń - powiedział, że po śmierci Schultza zostałam zupełnie sama i teraz muszę tańczyć tak, jak mi zagrają. Rozumiesz, bezbronna kobieta, która chce robić wielkie interesy z gangsterami, nie ma żadnych szans.

- Rzeczywiście, byłaś zupełnie osamotniona.

- Dlatego zadzwoniłam do tego skurwiela i powiedziałam mu, że jest w błędzie. Działam razem z tobą, co chyba powinno być oczywiste, kiedy przeczyta się twoją książkę o Gdańsku. Tak naprawdę, wiedziałeś o wszystkim od samego początku i będziesz miał znaczny udział z zysku. No i że masz swoich ludzi, którzy pójdą za tobą w ogień. Tak powiedziałam... Wybacz.

Dybowski wybałuszył oczy, nie wierząc w to, co słyszy.

- Coś ty powiedziała? To ja wymyśliłem ten cholerny deal?

Opuściła głowę: - Wiedziałam, że będziesz wściekły i nigdy mi tego nie wybacysz, chciałam ten sekret zabrać do grobu, ale nie udało się. Zrobiłam to wyłącznie z desperacji - żeby przestali mnie traktować jak łatwy cel.

Wydawca krążył po pokoju, stawiając coraz większe kroki. Czuł, że jego układ nerwowy zaraz eksploduje, a on sam zamieni się w gumową kukłę, z której wypuszczono powietrze.

- Trudno, co się stało, to się stało. Teraz mu simy się bronić. A najlepsza obrona to atak.

- Z kim ty chcesz walczyć? Z międzynarodowym syndykatem zbrodni? Lepiej ratuj swoją skórę, bo w przeciwieństwie do Huberta, ty cały czas żyjesz. Ja też.

- Nic nie wiem o syndykacie, nie widzę go, więc się nie boję. Widzę jedynie drani, którzy nie mogą ot tak, wyjechać z Polski i dalej robić swoje.

Popatrzyła na niego pytająco, ale on nie zamierzał kontynuować wywodu na temat odwiecznej walki dobra ze złem, tylko sięgnął po telefon. Umówili się z Parezzio na następną dzień w Gdańsku.

- Pojadę z tobą- chwyciła go za rękę i mocno ją ścisnęła.

- Nie, tym razem rozegram to sam. A teraz idę pod prysznic - mam mało czasu, żeby wytrzeźwieć.

Pojawił się w Bazylice z rana - wieża i taras widokowy były udostępnione dla zwiedzających dopiero od kilku minut. Nie dziwiło go zatem, że jest jedynym turystą, spragnionym mocnych wrażeń, jakich dostarczało wspinanie się po przylegających do muru schodkach nad przepaścią.

W wieży panował półmrok - jedynym towarzyszem wędrówki Dybowskiego był zabłąkany gołąb, który jak oszalały latał pomiędzy ścianami, nie mogąc znaleźć drogi na zewnątrz.

Po kilku minutach szybkiego marszu wydawca dotarł do celu. Znajdował się kilkadziesiąt stopni poniżej drzwi prowadzących na taras widokowy. Wyjął z kieszeni brzeszczot i przyłgnął do poręczy. Umocowane było do niej ogrodzenie powstrzymujące samobójców przed desperackim krokiem. Jeśli ktoś bardzo chciał rzucić się w dół, mógł wspiąć się na ogrodzenie i skoczyć. Ale to wymagało pewnej zręczności i dawało

szansę postronnym obserwatorom na przeprowadzenie skutecznej akcji ratunkowej. Przypadkowy wypadek był raczej wykluczony. Dybowski piłował cichutko, tak, aby pilnujący tarasu ochroniarz nie zdołał zorientować się, że na wieży dzieje się coś podejrzanego. Po piętnastu minutach robota była skończona. Także gołąb znalazł drogę do wolności prowadzącą przez wąskie, metalowe drzwi tarasu.

- Boże, co za widoki! - powiedział do bileterki, która czekając na kolejnego turystę, spacerowała między lewą a prawą nawą kościoła. Mruknęła coś pod nosem, wzruszyła ramionami i skierowała się do swojego stolika.

Pół godziny później Dybowski pukał do pokoju numer sześć w „Kamienicy Gotyk”.

- Co za punktualność, brawo, brawo! - Parezzio nie potrafił (nie chciał?) zrezygnować z roli dobrego wujka, obdzielającego bratanków serdecznościami i, w razie konieczności, naganami.

Dybowski wpatrywał się w niego z nienawiścią i nie potrafił zrozumieć, jak to możliwe, że ten jowialny jegomość to tak naprawdę bezlitosny wysłannik śmierci. Obok niego stał niewysoki blondyn, którego - biorąc pod uwagę sam wygląd - także trudno byłoby skojarzyć z mafijnym okrucieństwem. Wydawca poznał go od razu - to on kierował napadem na biuro.



- Dlaczego go zabiłeś? - Spytał Dybowski. Chciał powiedzieć o wiele więcej, ale słowa więzły mu w gardle.

- Ja kogoś zabiłem? Mylisz się, nie jestem mordercą- odparł spokojnie Włoch.

- Nie chodzi mi o to, że osobiście go zastrzeliłeś, ale wydałeś rozkaz...

- A czy ja jestem generałem, żeby wydawać rozkazy? Nawet gdybym zlecił zabójstwo, to przecież nie mam żołnierzy, którzy by mnie posłuchali.

- A on nie jest twoim żołnierzem? Przecież zdemolował mi biuro, pamiętam go doskonale - wskazał ruchem głowy „Oko”.

Parezzio spojrział na zabójcę surowym wzrokiem i spytał po angielsku tak, by Dybowski mógł ich rozumieć:

- Vlado, zabiłeś kogoś ostatnio?

- Ostatnio nie.

- A nie ostatnio?

„Oko” podrapał się po głowie, myślał przez kilka sekund, po czym powiedział:

- Też nie. Ja nie zabijam ludzi. Ludzie są do brzy, to po co ich zabijać?

Dybowski nie wytrzymał napięcia, które narastało z każdą chwilą i wrzasnął:

- Przestańcie ze mnie robić głupka. Doskonale wiem, że to wy stoicie za zabójstwem Huber-

ta. Przecież zostawiliście dowód - rysunek orbit planet Układu Słonecznego! Kazaliście mi oglądać wiadomości telewizyjne. Włoch położył palec na ustach i szepnął:

- Ciiii, nie tak głośno. Jeszcze ktoś usłyszy, zadzwoni na policję i dwóch niewinnych ludzi znajdzie się za kratkami.

- I tak sprawiedliwość was nie ominie. Nie można bezkarnie zabić człowieka!

Parezzio i „Oko” uśmiechnęli się jak na komendę, dając Dybowskiemu do zrozumienia, że jego rozumowanie zawiera poważne nieścisłości.

- To zależy od okoliczności - powiedział Parezzio. - Czasami źli ludzie bywają bezkarni, a dobrzy ponoszą konsekwencje nie swoich grzechów. Ale dajmy spokój teoriom etyki.

Włoch rozparł się w fotelu i przyciszył telewizor, w którym nadawano powtórkę transmisji jakiegoś meczu ligi włoskiej.

- Dajmy spokój etyce, filozofii, psychologii i innym duperelom. Przejdźmy do interesów - powiedział. - Widzę, że pani Anna Schilling, przepraszam - Schiegl nie raczyła się do nas pofatygować. A może czeka w jakiejś przytulnej kafejce i zajada tiramisu? Nieważne - nam potrzebna jest księga, a nie widok tej szalonej kobiety.

Dybowski zbliżył się do Włocha, który odruchowo położył dłonie na skroniach - wyglądał niczym bokser spodziewający się ciosu sierpowego.

- Bez obaw, jest księga i dostaniecie ją zgodnie z umową. Rzecz w tym, że teraz musi kosztować o wiele drożej.

- Czyżby? A jakie okoliczności uzasadniają zmianę ceny? - zapytał Parezzio, ale cyniczny uśmiešek zniknął z jego twarzy.

- Śmierć mojego przyjaciela musi trochę kosztować, prawda?

- Dobrze, dołożymy do tego kolację w eleganckiej restauracji. Chyba mają tu w Gdańsku McDonalda? - Włoch jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki odzyskał pewność siebie. Wiedział, że Polak nie uczyni niczego nieobliczalnego.

- Widzę, że dobry humor pana nie opuszcza.

- Masz dobry wzrok, chłopcze - powiedział Włoch i wstał z fotela. - Przestań stawiać warunki, bo skończysz tak samo jak twój przyjaciel. Bo ty jesteś następny w kolejności. Panią Annę trzymamy sobie na deser. Jak to atrakcyjną kobietę. No, dość atrakcyjną. A przecież wszystko może się dobrze skończyć. Przynosisz księgę, my w zamian przekazujemy czarną walizkę...

- W której znajduje się...

- O tym, co tam będzie, to my zdecydujemy. Teraz gra idzie nie o pieniądze, ale o życie. Po rwaliście się z motyką na słońce, nie udało się i teraz musicie przyjąć nasze warunki. Nie sądzisz chyba, że zapłacimy tyle, ile zażądała w Budapeszcie?

- Rozumiem, że to kolejny żart.

- Nie, to twoja ostatnia szansa, żeby nie nosić w głowie kilkunastu kulek. Czy to jest jasne?

Dybowski powiódł wzrokiem po swych rozmówcach, po czym odparł: — Wszystko jasne. To gdzie i kiedy dokonamy transakcji?

- Najlepiej teraz.

- To niemożliwe, nie noszę przy sobie księgi takiej wartości.

- Chyba coś kręcisz...

- Nie bardziej niż wy. Jest dobrze ukryta i tylko ja wiem, gdzie. Nawet Anna tego nie wie. Zresztą nie ma jej w Gdańsku. Postanowiliśmy, że sam załatwię tę sprawę.

- Po co te ceregiele? Próbujesz nas nabrać?

- Nie, po prostu w ten sposób zabezpieczyłem się przed nieoczekiwanymi, a raczej - spodziewanymi trudnościami.

Parezzio zdjął fioletową marynarkę i otarł pot z czoła białą chusteczką.

- Niech ci będzie. To gdzie i kiedy?

- O siódmej wieczorem. Będę czekał w Bazylice Mariackiej pod amboną. Łatwo mnie znajdziecie.

- Dlaczego akurat pod amboną?
- Może chcę wygłosić wam kazanie?

Zobaczył go, przekraczającego drzwi do kościoła - kontury jego sylwetki odbijały się w słonecznym świetle, próbującym bezskutecznie dostać się do środka.

„Oko” najwyraźniej zapoznał się z geografią świątyni, bo od razu skierował się w stronę ambony. Z każdym jego krokiem Dybowski odczuwał coraz większy lęk - wiedział, że za chwilę stoczy najtrudniejszy pojedynek swego życia. Pojedynek, który na wieczność wyeliminuje z tego świata jednego z nich. Nie będzie sędziego, który przerwie walkę w odpowiednim momencie.

Wiedział, że nie jest dostatecznie przygotowany do tego starcia, ale nie było odwrotu. Przypomniawszy sobie, że niedługo miał stanąć na ringu i stoczyć walkę w formule full-contact. Jednak prawdziwy full-contact zapowiadał się tego dnia, już za chwilę.

Gdy „Oko” znalazł się o kilka kroków od Dybowskiego, ten - nieco prowokacyjnie - wycią-

gnał do niego prawicę. Uścisnęli ręce jak dobrzy znajomi, którzy umówili się na wspólne kontemplowanie gotyckiego piękna.

- No, to gdzie ta księga? - zabójca od razu przeszedł do rzeczy.

- Widzę, że bardzo się wam spieszy.

- To prawda, gliny kręcą się tu cały czas, szukają zabójcy twojego przyjaciela. Za chwilę wyjeżdżam z Gdańska, więc nie próbuj mnie za trzymywać.

- A gdzie jest twój fioletowy przyjaciel?

- Daleko, dzięki takiemu wynalazkowi jak samolot, pewnie kilkaset kilometrów na zachód albo na południe stąd. Nie pytaj mnie o konkrety, bo nawet ja ich nie znam.

- Nie chciał być świadkiem przekazania bezcennego dzieła?

- On jest ostrożny, a jednocześnie ma do mnie pełne zaufanie. Dzięki temu, że znika w odpowiednim momencie, wciąż pozostaje poza zasięgiem tak zwanej sprawiedliwości. Nikt go nie jest w stanie oskarżyć o czyny, z którymi ma taki czy inny związek. Z kolei ja mam sporo szczęścia...

- My, ludzie, mamy skłonność do komplikowania prostych rzeczy. Przecież wystarczy, abym krzyknął: „morderca stoi obok mnie!”, a byłoby po kłopotcie. Zaoszczędzilibyśmy policji pracy i wydatków - odparł zgryźliwie Dybowski.

- Chyba nie jesteś tak głupi, żeby sądzić, że przyszedłem tu bez przyjaciela? Wystarczy jeden bezmyślny krok, nawet przypadkowy, i znajdziesz się po drugiej stronie.

- Masz pewnie na myśli jakąś pukawkę, którą trzymasz w zanadrzu?

„Oko” nie odpowiedział, a jedynie uchylił rąbka tajemnicy, spoczywającej w kaburze pod marynarką. Dybowski doskonale wiedział, że zabójca będzie uzbrojony, ale widok pistoletu, który być może wyśle go do nieba, przyprawił go o dreszcz.

- A teraz ty pokaż swoją- zaproponował Serb.

- Ja jestem uczciwym, spokojnym obywatelem, nie noszę przy sobie broni. Po prostu, nie mam jej.

„Oko” pokręcił głową z dezaprobatą: - I może jeszcze nikt cię nie ubezpiecza? Ech, ty frajerze, czego ty szukasz w tym interesie? Naprawdę myślałeś, że wydymasz ludzi, którzy rozmawiają ze sobą przy pomocy rewolwerów? Żal mi ciebie, ale sam się pchasz do paszczy smoka.

Dybowski spojrzał na swego rozmówcę z udawanym zdumieniem: - Nie mam zamiaru nikogo dymać. Ja tylko sprzedaję książkę. Swoją drogą gdzie masz pieniądze? Myślałem, że będziesz miał ze sobą walizeczkę. Przestaje mi się to podobać.

- Bez obaw, ja reguluję należności kartą płatniczą. Pokaż mi tylko, gdzie masz terminal. Poza tym, nie widzę żadnej księgi.

- Bo przyniosłem wersję mini — taką do księgi Guinnessa. Bez mikroskopu nie zobaczysz - zakpił wydawca, nie sądząc, że nerwowa wytrzymałość „Oko” jest bardzo ograniczona. Serb ze wściekłości wyciągnął pistolet i przyłożył go do brzucha Dybowskiego. Ten, nie bardzo wiedząc, jaki będzie następny ruch zabójcy, postanowił nie czekać. Szybkim ciosem lewej ręki wybił mu broń z dłoni, ale „Oko” był szybszy - natychmiast podniósł z podłogi swego H&K Mk23. Jednak zanim zdołał ponownie wycelować go w Dybowskiego, ten dał nura pod ławkę i zaczął ucieczkę. Nieliczni zgromadzeni w kościele ludzie najpierw przecierali oczy ze zdumienia, a kiedy usłyszeli strzały, sami padli na posadzkę, chroniąc się pod ławkami.

Dybowski uciekał wężykiem, a „Oko” strzelał obok niego - nie chciał zabić wydawcy, zanim ten nie powie, gdzie jest „Narratio prima”. Wiedząc, że huk strzałów nie robi na nim oczekiwanego wrażenia, czyli nie zatrzymuje go i nie skłania do poddania się, wycelował w ramię Dybowskiego. Jednak oko snajpera Legii Cudzoziemskiej nie było już tak precyzyjne jak przed laty - kula minęła uciekającego i utkwiała w dębowej tarczy kalendarium Zegara Astronomicznego, dumy świątyni.

Oddał jeszcze kilka strzałów, nieco na postrach, tym razem trafiając w rzeźbę trębacza

z wieńcem jesiennych kwiatów na głowie, także stanowiącego część Zegara.

Dybowski zaczął biec slalomem pomiędzy gigantycznymi kolumnami w stronę wyjścia. Jednak w ostatniej chwili skręcił w prawo i wpadł na klatkę schodową, prowadzącą na wieżę. Bile-terka nie zagroziła mu drogi - leżała na podłodze i zmartwiałymi ustami szeptała modlitwę.

„Oko” znowu oddał strzał, ale tym razem uszkodził jedną z brązowych rzeźb alegorycznych, stojących wokół renesansowej chrzcielnicy. Ofiarą stała się Nadzieja - kobieca postać trzymająca kotwicę. Być może gdyby Serb wiedział, do kogo strzelił, zastanowiłby się nad ciągiem dalszym swego pościgu.

Dybowski błyskawicznie pokonywał kolejne stopnie krętych schodów, fizyczną sprawnością znacznie przewyższał swego oprawcę. W pierwszej części drogi, prowadzącej na szczyt, był bezpieczny - „Oko” nie widział go, natomiast wydawca słyszał ciężki oddech Serba.

- Dlaczego do mnie strzelasz? Martwy do niczego ci się nie przydam - krzyknął wydawca.

- A dlaczego próbowałeś zabrać mi broń?
- padła retoryczna odpowiedź z dołu.

- Zachowujmy się rozsądnie. Puściły nam nerwy i popełniliśmy kilka głupstw. Teraz może my to wszystko naprawić - zaproponował Dy-

bowski, czując, że jego szansę na sukces w tym starciu znacznie się zwiększyły.

- Dobrze, zatrzymaj się i pokaż gdzie schowałeś księgę — Serb mówił coraz ciężiej, jakby miał już dość swojego zlecenia. Najchętniej wyjechałby stąd jak najdalej, wynajął pokój w jakimś luksusowym pensjonacie na Lazurowym Wybrzeżu albo na Krymie i przez miesiąc jedyne grałby w ruletkę oraz dymał rosyjskie dziwki. A potem rzuciłby tę robotę i zajął się czymś spokojniejszym. Ale czym? Może naprawą szwajcarskich zegarków z najwyższej półki? Przecież one także muszą się, do jasnej cholery, psuć.

Dotarł do końca pierwszej klatki schodowej i gdy sapiąc, wychodził na poziom ponad łukowym sklepieniem świątyni, poczuł potworny ból w prawej dłoni - to Dybowski, który zaczął się przy drzwiach, uderzył go z całej siły metalowym prętem. Pistolet znów znalazł się na ziemi, ale tym razem przechwycił go Dybowski.

- I tak nie strzelisz, bo jest zarejestrowany na mnie - odezwał się Serb.

- Myślisz, że ja będę się tym przejmował? - spytał ironicznie Dybowski i dodał: - Ale miło wiedzieć, że prawo jest dla ciebie tak ważne.

- Nie chrzań, chodzi o to, że ten pistolet rozpozna właściciela. Nie będę ci tego teraz tłu-

maczył, ale zapewniam cię, że nie strzelisz. Pewnie w ogóle nie umiesz obchodzić się z bronią.

- To prawda, ale wytrąciłem ci poważny argument z ręki — odparł Dybowski i pomknął w stronę dzwonnicy, czyli ostatniej klatki schodowej, gdzie pod przylegającymi do muru schodami roztaczała się przepaść.

W ręku „Oko” błysnął nóż - taki, jaki większość ludzi na świecie zna z filmu „Rambo”, ale w Legii Cudzoziemskiej był artykułem codziennego użytku. To z jego pomocą „Oko” zamierzał zakończyć to żalosne przedstawienie.

Wszedł na dzwonicę i od razu zobaczył Dybowskiego, opartego o poręcz schodów - podszedł do niego z uśmiechem, przyłożył mu nóż do gardła i wycodził: - Dość łatwy z ciebie cel. A teraz księga. I oddaj mój pistolet, bo to droga zabawka.

Dybowski kiwnął głową, odsunął od siebie ostrze i odszedł na kilka kroków od „Oko”. - Dobrze, zaraz wszystko dostaniesz.

Wyciągnął pistolet i rzucił w przepaść - po chwili H&K Mk23 odbił się od dzwonu.

- Ty mały skurwielu... - syknął Serb i już chciał ruszyć w stronę wydawcy, ale nagle usłyszeł narastający odgłos zbliżających się kroków. To nie mógł być pojedynczy turysta, ale większa grupa, której bardzo się spieszyło.

- Szybciej, dawaj księgę, potem zapłacisz mi za pistolet! - krzyknął „Oko”.

Dybowski kiwnął głową. Serb oparł się o poręcz schodów i patrzył wściekłym wzrokiem na wydawcę. Nie zauważył, że za jego plecami nie ma zabezpieczenia, które Dybowski, kilka godzin wcześniej, zdjął. A potem, niczym na ringu, zapędził przeciwnika w upatrzone miejsce. Wystarczyło celne kopnięcie, aby wysłać zabójcę w otchłań wieczności.

I gdy w dzwonnicy pojawił się oddział policyjnych antyterrorystów, wydawca odwrócił się plecami do napastnika i ugiął kolana. Gdy „Oko” ruszył w jego stronę, Dybowski wyprowadził piekielnie silny cios obrotowy nogą w klatkę piersiową Serba. Ten, choć go zatkało, wciąż był po tej stronie poręczy. Ale powtórka uderzenia, jaka nastąpiła dwie sekundy później, spowodowała, że „Oko” pofrunął lotem koszącym w dół.

Majestatyczny dzwon, w który huknęła głowa zabójcy, oznajmił światu, że zło straciło jednego ze swych mrocznych rycerzy.

- A teraz posłuchaj: tej księgi nigdy nie było. Zginąłś śmiercią frajera! - wrzeszczał w otchłań Dybowski, a echo roznosiło jego nowinę po wieży.

„Oko” zaś leżał spokojnie i problemy związane z Kopernikiem, Retykiem i Anną Schilling, w ogóle go już nie obchodziły.

* * *

- Skąd wiedzieliście, że tu będziemy? - spytał Dybowski prowadzącego go policjanta. Miał ręce skute kajdankami i wychodził z kościoła jako za trzymany na gorącym uczynku przestępca.

- Jakaś kobieta zgłosiła się w Toruniu na policję i wszystko wyśpiewała. Ale ja nie znam szczegółów - nie śledzę przestępców, tylko ich łapię. Było mało czasu, żeby przygotować akcję - odparł zamaskowany antyterrorysta. - Pewnie zaraz wszystkiego się dowiesz. Pojedziesz na przesłuchanie w Komendzie Wojewódzkiej.

Dybowski ciężko westchnął - po raz pierwszy znalazł się w takiej sytuacji. Ale przecież ostatnie dni przyzwyczyły go do stawania wobec zupełnie nieprawdopodobnych wyzwań.

- Ta księga to jedna wielka lipa - powiedział nieoczekiwanie i do policjanta, i do samego siebie.

- Jaka księga? - zapytał tamten bez większego zainteresowania.

- No, „Narratio prima” z odręcznym dopiskiem Kopernika, który rzekomo wyparł się swoich teorii heliocentrycznych.

Twarz w kominiarce zwróciła się w jego stronę:

- O czym ty, chłopie, mówisz? Zabiłeś człowieka, a gadasz, jakby nic się nie stało. Jeśli za-

mierzasz udawać wariata, to wybrałeś zły moment. Ja się nie znam na psychicznych, mnie twoje żółte papiery nie interesują.

- Mówię o tym, że takiego dopisku nie mogło być. Kopernik nie był tchórzem. Najlepiej o tym świadczy obrona Olsztyna przed Krzyżakami. Sam ją zorganizował, za własne pieniądze... A wie pan, ile wówczas kosztowała hakownica? Więcej niż pański karabin maszynowy.

- Ja tam się na tym nie znam. Powiesz to wszystko śledczemu - odparł policjant.

- Powiem, oczywiście, że powiem - zapewnił Dybowski i jeszcze raz spojrzął za siebie. Pro mienie zachodzącego słońca wdzierały się przez wąskie, wysokie okna do wieży, w której wciąż leżał „Oko”.

Spojrzął pod nogi i zobaczył zadrukowaną kartkę, rzuconą przez jakiegoś przechodnia, którego nie zainteresowała treść ulotki.

Nad tekstem znajdował się tytuł: „Tajemnica Anny Schilling”.

Postać Mikołaja Kopernika nie jest owiana tajemnicą w takim stopniu choćby jak Galileusza - o astronomie z Fromborka wiemy prawie wszystko. I właśnie ten fakt, paradoksalnie, stanowi wielkie wyzwanie dla literatury sensacyjnej. Bo skoro wiemy już wszystko, to najwyższy czas, aby dokopać się do sekretów, jakie doktor Mikołaj skrywał przed światem. Czyli do tego, czego nie wiemy.

W 2009 roku miesięcznik „Focus Historia” przeprowadził dziennikarskie śledztwo, mające na celu ustalenie, jaką rolę w życiu Kopernika odgrywała Anna Schilling (postać bardzo ważna dla niniejszej powieści) oraz czy w 1539 roku zamieszkała w Gdańsku przy ulicy Mariackiej 1.

Kilka miesięcy wcześniej, w tym najstarszym ceglany domu Gdańska, archeologowie odkryli fragmenty skrzyni, należącej prawdopodobnie do Anny Schilling. Czy rzeczywiście chodziło o tę Annę, która usługiwała Kopernikowi we

Fromborku i - jak głosi legenda - pozostawała z nim w „grzesznym” związku? Niewykluczone, choć autorytety historyczne wyrażają się w tej kwestii dość sceptycznie.

Nawiasem mówiąc, legenda ta ma mocne podstawy w dokumentach: zachowała się korespondencja pomiędzy Kopernikiem a biskupem Janem Dantyszkiem, który dowiedział się o romansie swego podwładnego i nakazał mu jak najszybsze pozbycie się Anny. Astronom duchowny jednak nie od razu zastosował się do tego polecenia.

Istnieje list innego kanonika Pawła Płotow-skiego z 23 marca 1539 roku. W zatroskanym tonie pisze on do biskupa warmińskiego: „Kobieta doktora Mikołaja odesłała swoje rzeczy do Gdańska, jednak sama pozostaje tutaj we Fromborku”.

Donos ten wywołał wściekłość hierarchy. Kopernik, aby nie pogarszać swej sytuacji (pojawiły się nawet sugestie, że może mu grozić sąd kościelny i to nie za szerzenie herezji, ale moralne zepsucie), musiał się pożegnać z Anną.

Zainteresowanych tym wątkiem w życiu astronoma odsyłam do książki Jerzego Drew-nowskiego „Mikołaj Kopernik w świetle swej korespondencji”, wydanej w 1978 roku w serii Studia Copernicana.

Pytanie: czy Mikołaj i Anna widywali się w Gdańsku po 1539 roku? Wprawdzie nie zachował się żaden dowód gdańskich randek, ale na pewno było wiele do nich okazji; Kopernik z pewnością przyjeżdżał nad Motławę, by brać udział w rozmaitych uroczystościach rodzinnych. Poza tym, musiał uczestniczyć w przygotowaniach do wydania „Narratio prima”, dzieła Joachima Retyka, przedstawiającego teorie ko-pernikańskie. „Narratio prima” po raz pierwszy ukazało się właśnie w Gdańsku w 1541 roku.

Niedawno, w styczniu 2010 roku na kamienicy przy ul. Piwnej, gdzie mieściła się drukarnia Franciszka Rhodogo, została odsłonięta tablica, upamiętniająca to wielkie naukowe wydarzenie.

Czy jest możliwe, aby na jednym z egzemplarzy pierwszego wydania Kopernik własną ręką wyparł się swoich teorii? Badania historyczne tego nie potwierdzają, niemniej nie jest to nieprawdopodobne - Europa czasów kontrreformacji była kontynentem szalejącej inkwizycji oraz płonących stosów. Być może, gdyby Kopernik żył i pracował nieco bardziej na zachód od Rzeczypospolitej, zginąłby za naukę jeszcze przed Giordano Bruno. Na szczęście, jego obserwatorium znajdowało się w prowincjonalnym (acz pięknym) Fromborku.

Na zachowanych egzemplarzach pierwszego wydania „Narratio prima” nie widnieją jakiegol-

wiek odręczne dopiski Kopernika. Może wyznania, będącego osią mojej powieści (które, dodajmy, i tak okazuje się mistyfikacją), należałoby szukać w innych dokumentach? Wydaje się jednak, że zarówno druki, jak i manuskrypty Kopernika (na czele z rękopisem „De revolutionibus orbium coelestium”, znajdującym się w krakowskiej Bibliotece Jagiellońskiej) zostały dobrze przeanalizowane. Nie znajdziemy w nich dowodów asekuracji wielkiego polskiego astronoma. Może trzeba ich szukać w Szwecji? W latach 1626-1627 prywatna biblioteka Kopernika znalazła się w rękach Szwedów. Otóż najeżdżający na Polskę król szwedzki Gustaw II Adolf nakazał przejęcie bezcennych tomów z księgozbioru katedralnego we Fromborku oraz z Kolegium Jezuickiego w Braniewie - łupy miały zasilić powstającą wówczas bibliotekę w Uppsali. Zbiory te, jako zdobycz wojenna, nie podlegają zwrotowi. Na szczęście dziś współpraca naukowców z Polski i Szwecji zajmujących się Kopernikiem jest wzorowa. To dzięki Szwedom udało się w 2008 roku doprowadzić do szczęśliwego końca badania nad identyfikacją miejsca pochówku Kopernika - włosy, znalezione w jednej z ksiąg w Uppsali, miały takie samo DNA jak czaszka wydobyta we fromborskiej katedrze. Gdy Szwedzi, a konkretnie profesor Góran Henriksson

z Uniwersytetu w Uppsali, zaoferowali swą pomoc prowadzącemu prace poszukiwawcze profesorowi Jerzemu Gąssowskiemu - znacznie zwiększyły się szanse na ostateczny sukces. Pod kierunkiem prof. Marie Allen został przebadany materiał genetyczny i już wkrótce stało się jasne: mamy czaszkę Kopernika!

Czyli jedna z największych zagadek dotyczących doktora Mikołaja została rozwikłana. Jednak to wcale nie znaczy, że nie ma kolejnych. Wprawdzie poważni historycy nie lubią „dłubania” w teoriach spiskowych, ale literatura sensacyjna jest od tego, aby co jakiś czas podrzucać im rozmaite tropy...

Epilog czyli początek:

ZEMSTA FAHRENHEITA

Wyglądał jak tancerz break-dance.

Przynajmniej tak wydawało się dziesięcioletniemu chłopcu, który przyglądał się dziwnym ruchom mężczyzny w kapeluszu i długim płaszczu. Mężczyzna początkowo stał spokojnie, opierał się o ogrodzenie pomnika Neptuna i patrząc w nieokreślonym kierunku palił papierosa. Nawet nie zwracał uwagi na spadające na jego płaszcz krople wody z fontanny. Nagle ugięły się pod nim kolana - zrobił kilka niezdarnych kroków w stronę chłopca, złapał się za brzuch, a następnie gwałtownie wychylił do przodu. Głowa opadła mu na pierś, a kapelusz z szerokim rondem potoczył się po Długim Targu. Mężczyzna przez kilka sekund trwał jeszcze w pozycji stojącej, a jego ciałem wstrząsnęły dreszcze. Wreszcie osunął się na ziemię. Głowa odbiła się od

bruku niczym piłka, po czym upadła, by już się więcej nie poruszyć.

Chłopiec wrzasnął na cały głos. Wszyscy, którzy o dziesiątej wieczorem przechadzali się po jednym z najpiękniejszych rynków Europy, nagle zatrzymali się, szukając wzrokiem przyczyny hysterii. Spod ciała leżącego wypłynęła struga krwi, szybko zamieniając się w makabryczną kałużę. Ojciec chłopca, który wybiegł z pobliskiego sklepu spożywczego, zasłonił małemu oczy i przytulił go do siebie.

Nie było mowy o żadnej artystycznej prowokacji czy spektaklu teatru ulicznego - nieznajomy naprawdę był martwy. Najpierw przy jego zwłokach pojawiła się dwójka strażników miejskich, a chwilę potem, z pobliskiego komisariatu przy Piwnej, przybiegło dwóch policjantów. Nikt nie usłyszał odgłosu zamykanego okna na drugim piętrze w kamienicy Schumannów - cichym hotelu, ulubionym przez emerytowanych Niemców, przybywających do miasta nad Motławą z sentymentalną wizytą...

* * * * *

- Dwa strzały w korpus, bingo: jedna z kul trafiła w serce - podinspektor Jerzy Grodzicki z wydziału kryminalnego Komendy Wojewódz-

kiej Policji w Gdańsku pokiwał głową z uznaniem dla zabójcy. Trzymał w ręku raport dotyczący sekcji zwłok mężczyzny, zastrzelonego dwa dni wcześniej na Długim Targu. Wręczył mu go przed chwilą komisarz Dominik Szczepanowski, który - z braku bardziej odpowiednich, czy raczej doświadczonych funkcjonariuszy, oddelegowanych do innych spraw - zajmował się tajemniczym morderstwem pod pomnikiem Neptuna.

- Ależ wybrał sobie lokalizację... W samym centrum starówki, w najbardziej turystycznym miejscu Gdańska - wymamrotał Grodzicki, wzdając wzrokiem po kolejnych wierszach raportu.

- To wygląda na jakąś demonstrację - nie śmiało wtrącił Szczepanowski, któremu marzyło się naprawdę duże śledztwo, znacznie większego kalibru niż te, z którymi dotychczas miał do czynienia. Kilka dni wcześniej udało mu się doprowadzić przed oblicze prokuratora dwudziestolatka, który wbił nóż w ramię swego kolegi na jednej z gdańskich dyskotek. Komisarz, dobiegający trzydziestki, miał poczucie, że już dojrzał do poważniejszych wyzwań. Zbrodnia pod posągami boga mórz wydawała się bardzo odpowiednim.

- Demonstrację? Co masz na myśli?

Grodzicki, który przekroczył pięćdziesiątkę, wiedział, że nawet najbardziej sensacyjne,

skomplikowane sprawy w końcu okazują się banalne.

- Ktoś chciał pokazać, że niczego się nie boi, bo i tak jest poza zasięgiem organów ścigania. Poza tym zapewnił swemu dziełu wielki rozgłos. Nasze lokalne gazety nie zajmują się niczym innym. Ludzie boją się pokazać na Starym Mieście. To może być naprawdę trudne śledztwo.

- Może masz rację, może nie masz. To się okaże - rzucił sentencjonalnie przełożony Szczepanowski i nagle wybałuszył oczy: - O co chodzi z tą rtęcią?

- No właśnie, to też jest bardzo dziwne.

- Piszą, że w ciele denata odnaleziono ślady rtęci.

- A nie mówiłem, że mamy do czynienia ze szczególnym przypadkiem? Proszę czytać dalej - komisarz entuzjastycznie zacisnął pięści i wbił wzrok w podinspektora, oczekując, że ten przyzna mu rację.

- Prawdopodobnie... Jezu, to przecież jakieś brednie. Prawdopodobnie mamy do czynienia z nabojami rtęciowymi. Przecież coś takiego nie istnieje!

- Jest pan tego pewien?

Grodzickiego, którego pasją była historia broni strzeleckiej, niełatwo było zagiąć w tym temacie. Odparł głosem nieznoszącym sprzeciwu:

- Fakt, w Związku Radzieckim ponoć pracowano nad taką bronią, ale nie ma dowodów, że kiedykolwiek została użyta. Myślę, że rtęć nie spełniła pokładanych w niej nadziei - są lepsze sposoby, aby uczynić nabój skuteczniejszym i bardziej toksycznym.

- Ma pan rację, ale skoro prowadzono prace nad nabojami rtęciowymi, to na pewno jakaś ich liczba została wyprodukowana.

- Ależ to było kilkadziesiąt lat temu! Myślisz, że można je kupić w sklepie? Naczytałeś się głupich książek. O ile mnie pamięć nie zwodzi, na boje kropelkowo-rtęciowe występują w „Dniu Szakala”. Pisarzowi wolno popełnić największą głupotę, nikt go z tego nie rozlicza. W rzeczywistości te naboje są jedynie mitem dla maniaków oraz twórców gier komputerowych.

- To co robi rtęć w ciele tego faceta?

- Nie mam pojęcia.

- Miał pod pachą rtęciowy termometr? Mierzył sobie gorączkę? Obaj wiemy, że to niemożliwe.

Grodzicki położył raport na biurku, wstał z fotela i zaczął krążyć po pokoju.

- Nie ma rzeczy niemożliwych - powiedział bardziej do siebie niż swojego podwładnego, po czym spytał:

- A przede wszystkim, co o nim wiemy?

Szczepanowski rozłożył bezradnie ręce i pokręcił głową:

- Właściwie nic.

* * * * *

Był środek nocy, gdy fuga d-moll Bacha obudziła Dybowskiego.

Zerwał się na równe nogi, a na jego czoło wystąpiły kropelki potu. Cztery miesiące wcześniej nocny telefon zwiastował koszmar. Obawiał się, że i tym razem dzwoni Stefano Parezzio. Przecież Włochowi udało się zbiec i nadal jest bezkarny. Co więcej, nie tylko bezkarny, ale i śmiertelnie niebezpieczny. Wprawdzie jego serbski egzekutor rozstał się z tym światem, ale przecież armia płatnych morderców jest wielka.

Intuicja nie zawiodła Dybowskiego - dzwonił Parezzio, choć na ekranie telefonu wyświetlił się komunikat „numer nieznany”.

- Przepraszam, jeśli obudziłem. Przeważnie dzwonię nie w porę, ale tam, gdzie jestem, świeci słońce - powiedział rubasznym, niemal wesołym tonem.

- Czego chcesz? - szepnął wydawca.

- Kontynuowania współpracy. Tak nam do brze szło, a tu nagle wystąpiły pewne nieprzewidziane kłopoty - odparł Włoch.

- Bydlaku...

- Ejże, co to za słownictwo. Ludzie na pewnym poziomie nie obrażają się w tak prostacki sposób - w głosie Parezzio nie było złości, a raczej skłonność do wycieczek pedagogicznych.

Dybowski zignorował tę cyniczną uwagę i ciągnął dalej:

- Myślisz, że skoro uciekłeś, ominie cię sprawiedliwość?

- Ależ to ja jestem sprawiedliwość, alfa i omega, a na pewno alfa i romeo - zaśmiał się Parezzio ze swego, dość oklepanego, żartu, po czym powiedział o wiele poważniejszym głosem:

- Twój przyjaciel nie żyje, mój przyjaciel nie żyje...

- Ty nie masz żadnych przyjaciół - prychnął Dybowski, ale Parezzio mówił dalej:

- Powiedzmy, że jesteśmy kwita. Moi zleceniodawcy nadal są zainteresowani interesami z tobą. Albo inaczej: chcą, abyś odegrał w nich pewną rolę. Naturalnie, za przyzwoite wynagrodzenie.

- Nie boisz się, że jesteś na podsłuchu? Że policja zaraz cię namierzy? - spytał drżącym głosem Dybowski.

- Bardzo się boję - odparł Włoch i parsknął śmiechem. - Czy ty naprawdę wierzysz w to, że ja ten telefon będę miał przy sobie po zakończe-

niu naszej rozmowy? Zaraz go wrzucę do Ty-bru...

- Przecież we Włoszech jest teraz noc, a ty mówiłeś, że świeci słońce.

- Co za analityczny umysł, co za refleks! Bravo, nie dałeś się oszukać. A zatem wrzucę telefon do rzeki, którą umownie określam mianem Tybru, i pójdę do kawiarni na diabelnie mocne espresso. Fioletowe espresso.

- Czego jeszcze chcesz, fioletowy palancie?

Włoch przez chwilę nie odpowiadał, a jedynie ciężko dyszał. Po chwili wyznał:

- Męczą mnie te spaceru... Starość nie radość, a ja właśnie idę pewną piękną ulicą. Jak tylko zobaczę jakąś ławkę, siadam. Poza tym, muszę rzucić palenie.

- Mów, czego chcesz! Jeśli chodzi o „Narratio prima”, to pewnie wiesz, że obaj zostaliśmy zrobieni w konia. Twój egzekutor też już o tym wie. Zapłacił wysoką cenę za tę wiedzę! - krzyknął Dybowski.

- Spokojnie, złość źle wpływa na serce. Faktycznie, „Oko” nie żyje, ale ja jeszcze chodzę po tym świecie i próbuję zarabiać pieniądze. Czego chcę? Pamiętasz, jak zadzwoniłem do ciebie po raz pierwszy? Powiedziałem, że interesuje mnie przedstawienie pierwsze. A teraz chcę czegoś zupełnie innego: zamknięcia.

Jakiego zamknięcia?
Ostatecznego.

* * * * *

Tak rozpoczyna się historia kolejnego starcia Łukasza Dybowskiego i Stefana Parezzio. O tym już w następnej książce Artura Górskiego pt. „Zemsta Fahrenheita”.